

MARIA RODZIEWIČÓWNA

Lato leśnych ludzi

MARIA RODZIEWICZÓWNA

Lato leśnych ludzi

GENEALOGIA

O starodawnym, bo jak bór odwiecznym, rodzie mowa tu będzie. Ma on przodków we wszystkich wiekach i tradycję we wszystkich szczepach ludzkości, boć nie ród to ciała, lecz duszy, nie ród lasu mieszkańców, lecz lasu miłośników, przyrody czcicieli.

Z rodu tego był poeta, co w Helladzie wyśpiewał mit Pana i Faunów, i ten, co stworzył Baldura w Skandynawii, i ten ich krewniak duszny, co w obchodzie religijnym Ariom dał Kupalną noc czarowną. I patrona swego ów ród ma, gdy ludzkość weszła w Pana Jezusowego szeregi.

Ich duszę miał, z ich rodu był słońca miłośnik i śpiewak, ptasząt i ryb kaznodzieja, wszelkiego stworzenia przyjaciel, seraficki święty Franciszek.

Mędrców i uczonych mają w swym rodzie i pozornie teraz wchłonięci w miliony ludzkości, zachowali przecie odrębność i właściwość swych leśnych dusz.

Ogarnęły ich ziemskie przewroty, życie gorączkowe, skomplikowane warunki, materialna walka o byt. Odsunęła ich od przyrody cywilizacja, postęp tak zwany, niszczenie natury przez rozrost przemysłu, straszny ciężar nowoczesnego bytu, nowoczesnych praw i obowiązków.

Pozornie nie ma dla leśnych ludzi ni miejsca, ni życia. Przystosowali się do warunków i już teraz niczym się jakoby od reszty ludzi nie różnią. Spełniają swe obowiązki powszednie, pracują wśród innych z innymi, obcuja z cywilizacją, biorą udział w postępie, korzystają z wynalazków, umieją się obchodzić z pieniędzmi, mieszkają w miastach, ubierają się jak inni, bywają w teatrach. Czyżby ród i tradycja leśnych dusz zginęła? Przecież nigdy! Nieśmiertelny jest duch i ród ducha nieśmiertelny; tylko kto rodu tego ciekaw, z rodu tego być musi i wtedy krewniaka odnajdzie.

Nie trzeba koniecznie szukać go wśród cichej wsi i głębokich borów, wśród ludzi stojących u warsztatu przyrody, w jej królestwie: można tam szukać długo i na próżno, a znaleźć w wielkim fabrycznym mieście. Można znaleźć w uczniowskim pokoiku, gdy chłopak po odrobieniu algebry, zamiast iść szukać rozrywki w dusznej sali knajpy, z gilem chowanym się bawi i dogląda go, można w suterenie szewca, co ledwie wie nazwę ptaka, który mu ćwierka przy robocie. I w tłumie ulicznym poznać można po szczególnym zachowaniu się w nadzwyczajnych wypadkach miejskiego życia.

Gdy wychodzą wieczorem dzienniki z ostatnimi depeşami wojny, skandalicznego procesu, sensacyjnego mordu, a ktoś nie bierze do rąk gazety, ale przypatruje się z uśmiechem sadowieniowi się wróbla na nocleg, z rodu leśnego jest.

I z tegoż rodu jest taki, co wśród uroczystego pochodu ulicznego, gdy wszystkich pochłania muzyka, stroje, ekwipaże, paradne szeregi wojska lub korporacji, dojrzy zziębniętego psiaka przed zamkniętymi drzwiami sklepu i otworzy mu je z dobrym słowem życzliwości.

Wśród ogłoszeń dziennikarskich członek tego rodu wyszuka adres sprzedawcy słowika w klatce, zna handlarzy ptaków, więźniów tych wykupuje z niewoli i z wiosną puszcza na wyraj, równie jak one radosny.

Leśni ludzie zwykle trzymają się samotnie, dusze swe kryją, o swoim wnętrzu z nikim nie mówią, wiedząc, że to innych nie zajmuje.

W potwornym mlynie ziemskim, gdzie bożyszczem jest interes, walka o zbytek i użycie wykwit cywilizacji, obcuja z innymi, mają w oczach często zgrozę lub krytyczną

zdumienie, ale milczą i spełniając swe społeczne obowiązki, baczą tylko, by się nie dać zgnieść, zmiażdżyć. O dusze swe nie są trwożni: tych zaraza świata nie skazi.

I tak trwają, rzadcy wśród świata i obcy mu zupełnie. Czasami znajdują druha. Otwierają się na ścieżaj wrota duszne, krzepią się oni wzajem: marzenia, potrzeby, tęsknice zmieniają się w słowo. Wyrażają ufnie głos swobody, ciszy, obcowania z naturą, przetwarzają swe żądze, aż utworzą czyn, aż wypracują sobie rzeczywiste, żywe, wedle swej duszy bytowanie.

I takie jedno lato leśnych ludzi tu będzie zawarte. Dla tych, co je przeżyli — kronika szczęścia; dla tych, co po świecie rozproszeni, o nim samotnie marzą — bratni upominek i może do czynu pomoc.

*

Było ich wtedy trzech.

Najstarszy, za wodza i kierownika obrany, był przemyślny, uparcie w postanowieniu zawzięty, w wykonaniu zamiaru prędko, naukowo z przyrodą zżyty i obeznany.

Ziemi szmat posiadał, a wśród tej ziemi bagna i lasy, leniwymi rzeczulkami, jak siatką, porżniętą, od ludzkich dróg dalekie, dla ludzkiej chciwości niełakome.

Tam, w głębi tych tajni, ukryta jak gniazdo, powstała pewnej wiosny chata samotna. Jakiś czas białą gontowy dach i trzaski i czerniały koleiny wozów, co z dala przywiozły materiał; po roku wszelki ślad osady zasnęła zieleń traw i mchy.

Dzikie wino i róże pokryły ściany, chata się stopiła, wrosła w okalający ją szczelnie las.

Nazywali ją leśni ludzie swoim wyrajem.

Wódz przez życie potracił swych bliskich i żadnej rodziny nie posiadał. Dom jego natomiast był pełen bożych domowników, nad nimi rząd i opiekę trzymał towarzysz jego, druh, którego sobie wychował i w swym duchu urobił.

W swoistej gwarze leśnej wódz miał przydomek Rosomaka, ten drugi został nazwany Panterą.

Najmłodszy z trzech, cały złożony ze stalowych mięśni, chybki, zwinny, miał też swej imienniczki drapieżność i dzikość. Znał naturę ze współżycia z nią, rozumiał bór i wodę, i pole, i duszę miał na wskroś leśną.

A potem do tych dwóch stowarzyszył się trzeci, którego Żurawiem nazwano.

Ten uchował w życiu najczystsza duszę. Był uosobieniem dobroci, łagodności i wewnętrznej słonecznej pogody. Cieszył się leśnym życiem, jak się młodość tylko radować może. Marzyciel to był, zawsze trochę roztargniony, rad się śmiejący, pracowity za wszystkich, a zdrowia i wytrzymałości żelaznej.

I byli ci trzej, siebie wzajem dopełniając, stałymi letnimi osadnikami głuszy, twórcami tego pierwotnego bytowania, stanowili jedno z puszcza, żyli w niej jak wszelkie stworzenie, co do niej ściągało z wiosną na wyraj, odlatywało jesienią.

Zimą zamknięta na głucho, z końcem lata zasypiała chata. Osypywały dach żółte liście, potem śnieg, niknęły ścieżki letnie, a za to zwierz swoje po śniegu rysował.

Sikory nocowały pod dachem, wiewiórki po skrzynkach gniazdowych, zajęce żywiły się na żarnowcu, w szczeliny podwalin, na sen zimowy, wciskały się węże; na zmarzłe jagody winne i głogi przylatywały gile, a niekiedy podsuwały się do ogrodzenia sarny i skubały uschłe łodygi letnich kwiatów, które Żuraw wypielegnował.

A daleko, wśród ludzkiego mrowia, leśni ludzie o tej chacie swojej marzyli tęskniący i myślą byli z sikorami, gilami i z całą tą resztą swych letnich współtowarzyszy.

I czekali wiosny.

PRZEDWIOŚNIE

Rosomak i Żuraw zimowali w mieście; na straży leśnego raju został Pantera. Wieści zamieniano rzadko — i ptaki zimą nie śpiewają, a tylko czasem witają się i żegnają krótkim a wymownym hasłem zimowym „cierp, cierp, cierp”.

Więc gdy w końcu lutego ujrzał Rosomak kopertę z patykowatym pismem druha, rzekł tylko:

— Będzie wczesna wiosna; musiały już przybyć skowronki, kiedy się Pantera odzywa. Otworzyli chciwie list i czytali razem dla pośpiechu; oczy im błyszczą uciechą:

Wodzowi i druhowi pozdrowienie leśne. Donoszę wam, że wczoraj obudziliśmy się ze snu nasz domownik Tupcio. Zasnął tak gruby, że ledwie się w bucie zmieścił, a wczoraj wyszedł tak szczupły, że cholewa mu była jak korytarz. Wgramolił mi się zaraz na kolana i pokłulił na powitanie, fukając: jeść! Pożarł mnóstwo sera i mleka, od razu rozpęczał, a dziś, gdy to piszę, gania po całym domu, czyniąc nocną policję na myszy. Ma się tedy ku wiosnie. Ale Kuba twierdzi znowu inaczej.

Kuba w październiku zrobił na piecu gniazdo. Zaciągnął tam parę ścierek, moje ciepłe rękawice, czepek Drodzowej, dużo waty z gościnnej koldry, na wierzch przywłókł parę gałęzi z oleandrów, a gdy szopa była pod sufit, wsunął się do środka, wejście zasunął i chrapał. Onegdaj też wyjrzał. Temu sen służy. Szubę ma popielatą, lśniącą, kitę jak strusi pióropusz, na uszach pędzle zawadiackie. Wylazł, przeciągnął się, chlapnął wody, zagryzł orzechem i wyskoczył do ogrodu. Mało wiele bawił, wrócił zły, szubę zmoczył, nogi obłocił, pączki wypłul.

Powiada, że gorzkie, bez żadnego wigoru, i że najlepiej jeszcze spać, a dobre przyjść musi. Powiedział mi to z pieca, otwór chałupy zasunął i tyłem go oglądał.

Bogatka, co u nas też zimuje i ćwiczy mole po całych dniach, zaczęła się jednak na swobodę napierać. Ano, dobrze: otworzyłem okno — poszła, jak na wesele, z wyrwasem. Obiera robactwo z klonu pod oknem i ćwierka do mnie: już czas, już czas.

I komu z nich wierzyć, boć i skowronki są — a jakże! Poszedłem z nimi się przywitać aż daleko w pole.

Po zapadach śnieg leży, lód trzyma, a po haliznach¹ goło i czernieją stare kretowiska. Wicher jak mięta: niby zimny, a smali, skowrończy gwar już posiadał nasz łąn aż do jesieni.

A o innych wędrownikach takie wieści. Zapadły na nocleg w zeszły piątek pierwsze gęgawy i gomon wielki podniosły; poszedłem też posłuchać, jakież zza morza wieści prawią. Czysta, echowa była noc, ale jeszcze mroźna, brzegi zalewów lodem się ścięły i tak trwał on aż do południa. Co noc na sad nasz czarny opadają rzesze podróżnych ptasząt. Spadną, mało co mówią, o świcie ruszają dalej; to nie te, co z nami lato spędzą. Ruszyły dopiero te pułki, co dalej na północ mają przeznaczenie.

Kuropatw trzy pary mam na górcie, znalazłem w sidłach chłopaczych na śniegu, i te mnie co rano pytają, ile jeszcze niewoli.

Rajcują o tym wróble, zmówiny już między nimi, jak w zapust. Te już się klną, że wiosna tuż.

Pszczoły — jak Kuba! Zastukałem do jednych, pytam: matko, czy wiosna? Zaburczały sennie: cyt, cyt — matka śpi.

I komu wierzyć, i jak tu wytrzymać!

Nie wiosna to i nie zima-jędz. Nie pochód to hetmański raj, ale już przednie wici rozesłane: „sposobić się czas”.

Więc się kto gorętszy sposobi. Leszczyna kutasiki karminowe jeszcze od chłodu otula, ale kotki już puściła na wicher; w wodach lodowatych na dnie widać pęczniejące kaczeńce, pod liśćmi w gaju można wyszukać zawilce. Wszystko gotowe czeka i gdy ucho do ziemi przyłożysz, słyhać, że coś grać zaczyna, aż człowiek dorozumieć się nie może: ziemia li gra czy jego własna krew — jedno! Żyć, żyć, żyć!

Gdy wszystko w jeden głos tak krzyknie, zawołam do was: bywajcie!

Tymczasem sposobię chodaki, konopacę czółno, kosze i więcierze narządzam i czekam drząc z ochoty.

¹halizna — powierzchnia leśna, która po wycięciu drzew nie została ponownie zalesiona.

Tyle było listu. Rosomak go raz jeszcze przejrzał.
— Dżdżownice nie ruszyły — rzekł. — Jędza jeszcze wróci.
Westchnęli obaj. Tęsknica skręciła ich serca i Żuraw dodał:
— Zaleciało barwę, wonią, smakiem, muzyką, aż boli — tak tęskno! Wymknijmy się choć za rogatki, posłuchajmy, popatrzmy, wichru się napijmy!
— Choć z wizytą do swoich! — potwierdził Rosomak. — Bo czekać nam jeszcze długo. Do przesilenia i dalej — całe dziewięć niedziel!

PRZESILENIE

W marcu jędza-zima bezczelna wściekła wstała jeszcze raz do boju. Całe hufce zegnała, szare pułki chmur, watahy wichrów północnych i cisnęła tę armię na pęczniejące drzewa, na wyzierające źdźbła, na rzesze ptasze, co jej urągały weselną pieśnią.

Na poczynające życie z chmur tych, przy rechotaniu wichru, poczęły się walić śniegowe zwały jak gżło śmiertelne.

Słońce, jak widmo, stało za tą czeredą chmur, cierpliwe w poczuciu swej siły i pewne triumfu. Jak mocarz wszechpotężny, dawało wrogowi folgę pozorną — niech wszystkie siły w bój wprowadzi, napaścią się wyczerpie — by potem swą światłowładczą potęgą błysnęło i zwyciężyło.

— Biedna nasza Bogatka! — rzekł Żuraw, patrząc na tumany śniegu.

— Bogatka pewnie przy pierwszej zadymce zastukała do okna i wróciła na zimowe leże do Pantery — odparł Rosomak.

Gorzej tym w lesie, jeśli struga wezbrała i pożywienia im dostarczyć nie można. Byle, na dobitkę niedoli, jędza mrozu nie wywlokła sobie w sukurs.

Drzewa wiosennej krwi są pełne, gałęzie nabrzmiałe, bolące, gdy tknąć. Trzeba ratować.

Puścili się we dwóch za rogatki, trafili na zagajnik śniegiem zavalony, jęli otrząsać biały całun.

Rozpoznali drzewiny i mówili do nich jak do serdecznych przyjaciół.

— Korale wyhoduj, jarzębiu smukły! Śmigaj, brzózko srebrna! Ostrożnie się odginaj, kloniku, boś kruchy. Za ciężka nawet tobie szuba, świerczku, zuchu zimowy.

Odginały się z ulgą gałęzie, a oni się śmiali, zgrzani, rozradowani, upojeni mroźnym marcowym powietrzem.

Zmierzch dopiero spędził ich od roboty, a w nocy stało się, co powiedział Rosomak. Mróz-kat pięść z kleszczami ścisnął.

Jęknęły lasy z bólu rwanych tkanek, na całun śmiertelny padały ich członki — jędza cieszyła się zgubą młodego życia.

— I po co to? — szepnął Żuraw.

— Prawo! — odparł Rosomak. — Nad nasze zrozumienie. Prawo! Ale to nie zguba! Bywa twarde i potężne, gdy niszczy, i takie potężne, gdy tworzy. Ale to nie zguba! Zguba — to mała, nikła istota, bez gromu, wichru, nijakiej widocznej mocy, bez klów i pazurów, jak robak, goła. Kędy ta zguba przejdzie, tam nie ostanie ni puszcza leśna, ni zwierz potężny, ni ptak najśmiglejszy, ni żadnego stworzenia schron. Zostaje tylko on!

Trzy dni mróz katował ziemię, trzy noce wichry się szamotały, za bary się wodząc i zmagając, w tumanach śnieżnego kurzu, z wyciem, poświstem, warczeniem, jękiem, aż pewnego ranka na nowiu miesiąca z południa jakby fala runęła powietrzna: hetmański hufiec wiosenny.

Jak chmara nikczemna pierzchły przed nią tumany śnieżne i na błękit promienny wstąpiło na swój majestat zwycięskie słońce. Fala powietrzna niosła ze sobą jego moc krzepką, żywą, moc zdrowia i zaroilo się na ziemi, zatętniło, zawoniało, zagrało — jeden hymn odrodzenia.

Do leśnych ludzi przyszła wieść od Pantery krótka jak okrzyk zdyszanego gońca: „Las ożył — woła, gra! Bywajcie!” Zerwali się, zbierali gorączkowo, ogarnięci jakimś szałem, potrzebą, musem, żądzą swych dusz, jak ptaki wędrownie.

Wołało coś w nich, wszystko inne głuszac:

— Na byt swój, na byt swój!

Na wyraj, na wyraj, na wyraj!

Przed domem Rosomaka rankiem panował ruch i rozmowy². Ranek był kwietniowy, pogodny, słoneczny, wilgły od deszczu, co przeszedł z wieczora. Przeszedł, cuda tworząc. Rozkleił lepko obslony liści, zmył z traw resztę pleśni, roztworzył oczy białych zawilców i fiołków, wywabiał z wody złoto kaczeńców, obmył i w kwiat wyczarował kocanki łóz i wierzb.

W ciszy nocnej szmerem kropel budził, na gody namawiał, a gdy słońce wstało, ziemia ku niemu wystąpiła już strojna, wonna, barwna i rozśpiewana.

Pod gankiem stał długi wóz drabiniasty i ładowano go przemyślnie wszystkim, co w bytowaniu letnim było lub mogło być potrzebne.

Żuraw pakował żywność, odzież, zielniki swe, podręczną apteczkę; Pantera prowiant zwierząt-towarzyszy, sieci, więcierze³, kosze, chodaki, narzędzia rzemieślnicze; Rosomak jakieś swoje specjalne skrzyneczki, tyczki, puzderka, książki — cały balast do badań przyrodniczych; a każdy tak był pochłonięty pracą, że ino się snuli z domu do wozu, jak pszczoły, ładując i ładując. Wóz stawał się kopiasty.

— Teraz już tylko towarzyszków! — rzekł Rosomak, zlustrowawszy wóz. — Jeżeliście zapomnieli, cierpcie!

— Pewnie, że ja coś zapomniałem! — troskał się Żuraw stękając.

Teraz przez wrota od folwarku wkroczyła karmicielka leśnych ludzi, latująca z nimi co roku w puszczy, gniado-srokata Hatora. Chuda jeszcze była po ciężkiej zimie, z sierścią nastroszoną i bez blasku.

Znało bydłatko, co znaczy to ładowanie.

Podeszła do Pantery, obwąchała ludzkie ręce, dostała chleba z solą, obejrzała wóz, skubnęła siana, spenetrowała, czy czuć na dnie kartofle i osypkę, wytarła szyję o luśnię⁴ i stanęła, żując powoli, łagodnymi oczami śledziła ruchy ludzkie.

— Hatora, chcesz „bamboły”? — zagadnął Pantera, wynosząc z domu blaszaną krowią klekotkę⁵ na rzemieniu.

Hatora przecząco poruszyła uszami i odwróciła niechętnie swą rogatą głowę.

— Nie! — Hatora nie lubiła „bamboły”.

Przed paru laty, gdy ją ustrojono w to straszidło, bezustannie gadające, oszalała z trwogi i wstrętu, umęczyła się okropnie, starając się pozbyć, zedrzyć ze siebie po gąszczach obmierzłego stracha.

Nawet w rozdrażnieniu i dzikim buncie popełniła czyn zbrodniczy, rzuciła się z rogami na Panterę, rycząc ponuro: mord, mord. Ale to było dawno, w samych początkach jej leśnej służby. Potem Hatora zrozumiała, że nałożenie „bamboły” oznaczało rozkoszny żywot w puszczy, w obfitości pastwisk, wody — w nieograniczonej swobodzie.

Nie było pastucha i jego bata, nie było psów ani łańcucha w dusznej oborze, ani zdradliwych rogów zawistnych towarzyszek. Bo Hatora przez te lata straciła instynkt stadny i skierowana przez dom, najkrótszym nawet pomrukiem nie pożegnała zimowej kompanii. Bez zapału, ale i bez protestu pozwoliła sobie nałożyć naszyjnik.

— Pantero, zaprzęgać Łataną Skórę. Idę po domową czeladź. Zabierz klatkę z ptakami! — komenderował Rosomak wchodząc do domu. Żuraw lokował właśnie na wóz kosz okryty krasno przetkaną serwetą. Pantera i Hatora zawęszyli z lubością. Pachniał świeży razowiec.

— Wódz tak goni, że i śniadanie się wściekło — rzekł Pantera. — Nie wytrzymam, tak pachnie — sięgnął po nóż za pas, odchylił płótno, bochen jeden krzyżem przeżegnał i spory glon⁶ odkroił. Przełamał i z lubością obydwaj jedli. Wilgotny pysek Hatory wsunął się także do spółki.

— Aha, wódz kazał zaprzęgać! — przypomniał sobie Pantera, ruszając do stajni.

²rozhowor (daw.) — rozmowa.

³więcierz — drewniana lub wiklinowa pułapka na ryby.

⁴luśnia — element wozu drabiniastego.

⁵klekotka (daw.) — kołatka.

⁶glon (gw.) — pajda, kromka.

Po chwili wyszła na słoneczne podwórze klacz srokata, stąpając z rozwagą i ostrożnością. Pociągnęła Panterę do studni, napiła się do syta, a potem nie kierowana poszła ku wozowi.

Spróbowała smaku siana, poszukała na dnie worka z obrokiem, parsknęła, ziewnęła, przeciągnęła się i z rezygnacją podała głowę do chomąta.

— Nie zezuj na ładunek! — rzekł Pantera. — Wiemy, żeś żrebna; w błocie i piachu pójdziemy piechotą. Zachodź w hołoble⁷! — Przyciągnął rzemienie, zaprzął i stał w gotowości do jazdy, pojadając chleb na spółkę z bydłatkami.

— Powiedz Żurawiu wodzowi, że gotowe; szmat drogi, ledwie zdążymy na odwieczkę.

Rosomak tymczasem miał kram z domownikami. Tupcio i Kuba, jeź i wiewiór byli szczytem sprzeczności obyczajów i upodobań.

Mało się znali, ale dość, by się nienawidzić, chociażby dlatego, że jeden drugiemu nie dawał spać.

W nocy Tupcio bezustannym dreptaniem płoszył Kubę, że wyprowadzony z cierpliwości wysadzał pyszczek z gniazda na piecu i wymyślał.

— Czolgaczu pługawy, zjadaczu stonóg, pantoflarzu obmierzły, bodajżeś się żabą udławił. Oka zmrużyć nie daje ten robaczarz!

W dzień Kuba, szperając po kątach, zaglądał i za poręcz kanapy, zatykał tam orzechy, które spadały na śpiącego Tupcia, że się budził i fukał rozsierdzony.

— Hecarz, sowizdrzał⁸, błazen, ryże straszydło, ptasie pośmiewisko! Bodaj ci żywica ogon do nosa przylepiła, bodaj ci się gęba na zębach nie zamykała!

Całą zimę warchoł trwał, a jeśli mieli kiedy coś wspólnego, to tylko nienawiść dla taksycy Działdza. Ta wprawdzie mieszkała w stajni, ale wpadała kiedy niekiedy wszędzie węsząca, wszystko pędzająca, wrzaskliwa i dokuczliwa nad wszelki wyraz.

Było to zatrucie zimowli. Kuba, chociaż bezpieczny na szczycie pieca, dostawał palpacji serca i oburącz cisnął wzburzoną pierś; Tupcio pod kanapą dostawał wątrobianego ataku i astmy.

A tego dnia właśnie, korzystając z zamętu wyprawy, Działdzia wśliznęła się do domu, wzniciła straszny popłoch.

Zapędziła Kubę na szafę i do utraty tchu naszczekała mu pogroźek i impertynencji; potem zwęszyła Tupcia w starym bucie Pantery i nie mogąc się doń dostać, włóczyła go wraz z butem po całym pokoju. Na tym ją zaszedł Rosomak, złapał za kark i smotnie za drzwi wyrzucił, ale domownicy byli w zupełnej rebelii.

Tupcio był tak rozsierdzony, że razem z butem podskakiwał i fukał:

— To to tak! Nie chcę was, nie chcę do lasu! Nie tykajcie, precz, precz, zdrajcy, fałszywe opiekuny i przyjaciele! Ta wasza służka chciała mnie zjeść, może zjadła! Nie czuję, czy jeszcze żyję z alternacji.

— Fiut, nie ma głupich! — skrzeczał Kuba, z ręką na sercu, z wyżyn szafy. — Ani zejść stąd, ani z wami jędę. Nikt w moim rodzie nie słyszał tyle obelg, co ja od tej pokraccznej karlicy. Albo ona, albo ja, wybieraj! Nie zejść, choć ciekawym, co masz w garści. Choćby i słonecznikowe ziarno! Mam swą ambicję! Daleś mnie na pastwę tej poczwarze. Gdzieś był, jak mi tu urągała? Nie, nie zejść!

— Nie, to nie! — rzekł Rosomak, garść orzechów chowając w zanadrze, i wziął but z Tupciem.

— Tupciu, bestii nie będzie w lesie. Bonowac⁹ będziesz spokojnie. A pamiętasz, ile tam tłustych glist i robaków, jakie miękkie wykroty do spania! A w chacie ile i kiedy zechcesz mleka i sera, i rybnie wątróbki. Wyleźże z tej cholewy! Czy ci nie wstyd, by cię jak dzikusa wozić razem z butem?

— A właśnie chcę spać w bucie! — fuknął już spokojniej Tupcio i znieruchomiał.

— No, Kuba, zostajesz? Bo mi się spieszy. Żegnaj cię — okno otwarte.

— Co masz w kieszeni, pokaż? — Kuba spadł mu na głowę i dał nurka w zanadrze. Rozległo się zajadłe piłowanie skorupy orzecha i mruczenie zadowolenia. Pokój był zawarty.

⁷hołoble — dyszle, w które zaprzęga się konie.

⁸sowizdrzał — żartowniś.

⁹bonowac (daw.) — hulać, używać życia.

— Gotowe! — wetknął głowę przez drzwi Żuraw. — Zabierz jeszcze skrzypce i ruszajmy.

— Na wyraj, jazda! — zakomenderował Rosomak, lokując but z Tupciem i siadając sam byle jak, z nogami poza drabiną.

Uczepił się wśród tobołków Żuraw, przysiadł na drążku Pantera-woźnica, parsknęła ochoczo klacz, zabamboliła Hatora i tabor ruszył.

Wyjechali za wrota, na drogę polną, wyboistą i błotnistą, spojrzeli w dal na siniejącą linię borów; objął ich dech szerokiej przestrzeni, rozprężył płuca, barwą się wybił na lica, zapalił ogniem radości stęsknione źrenice.

— Hejnał, wodzu! — upomniał się Pantera.

A Rosomak ziemi, błękitom borów i pól rzucił:

Czas ci już wstać, czas ci już iść,
Hetmanko polnych rot!
Oto ci na hełm borowy liść,
Oto ci w rękę rozmaju kiść,
Oto twój złoty grot!

Powiedzisz ty, powiedzisz nas
Na ten słoneczny szlak,
Gdzie kwitnąć sercom i pieśniom czas,
Gdzie szumu czeka uśpiony las,
Gdzie czeka lotu ptak!

Powiedzisz ty, powiedzisz świat
W zwycięski pochód twój,
Gdzie z prochów świeży wykwiła kwiat,
Gdzie brzask wybucha zza nocy krat,
Gdzie stoczysz życia bój!

OSIEDLE

Mijali łany orne i siewne, ludzkie osady, rozstaje, łąki od kaczeńców złote i kierowali się wciąż ku borom.

Szlak się czynił coraz niewyraźniejszy, a bory z wąskiej smugi stawały się ciemną ścianą. Aż, jak przednie straże, zabiegły drogę stare sosny na wzgórkach, a za nimi szeroką ławą, bez kresu stanął zwarty wał chojarów, podszytych jałowcem i wrzosem. Powitał ich poszum cichy i uroczysty, jakby modlitewny, a niosący kadzidlane wonie żywicy, i wjechali w boży chram boru. Wszyscy odkryli głowy, spojrzeli w górę, poruszyły się wargi odzewem dusznym owego powitania. Nikt się nie odezwał, słuchali cali w sobie skupieni.

Prowadziła klacz. Bez namysłu wybierała jakieś szczeliny wśród drzew, ledwie widoczny ślad, nie wahała się na zawrotach, na wąskich przesmykach wśród mokradeł, odnajdywała jakieś kładki na zdradnych oparach, kołowała, kluczyła, tak pewna swej pamięci, że tak sobie stępa idąc, obrywała to kiść szuwaru, to gałązkę brzoźową, to łozowe kocanki i gryzła dla zabawy.

Grunt się obniżał. Jechali przez grobelki, klecone przed wiekami z bierwion dębowych, kędy może kiedyś szły szwedzkie lub kozackie wojska, obrzeżali szmaty torfowisk, wycierali ślad wśród łoż sążnistych, ginęli w chaszczach trzciny i sitowia; słońce mieli w oczy i plecy, na lewo i prawo, a wreszcie szlak był już tylko ich własny, tyle znaczny co ścieżka przez łoża wydeptana.

Aż z gęstwiny błysnęła woda, ruczaj, w długi bród rozlany, ginący dalej w łożach, graniczny ruczaj ich letniego królestwa.

— Ot i nasz Tęczowy Most! — rzekł Żuraw. Wszyscy trzej wydali długi, specjalnie swój okrzyk, zwykły akord, którym się rozproszeni na wyprawach zwoływali.

Klacz weszła ochotczo w bród, schyliła głowę i muskając wodę wargami, szukała najwyższego prądu, tam stanęła i zaczęła pić. Hatora poszła za jej przykładem i ludzie zaczęli też wody w dłoń.

— Pijmy jak z Lety. Zapomnienie tamtego świata! — rzekł Rosomak.

— Smaczna jak brzozowy sok. Niczym wino! — dodał Pantera.

— Roi się od zarybku. Widzicie, na piasku chmara! — zauważył Żuraw. — O, i kaczor zielonogłowy tam, pod łożą.

Zwierzęta napojone podniosły ściekającą wodą nozdrza, rozejrzały się. Zarżała klacz, targnęła postronek Hatora, czuły już swe letnie pastwiska. Nawet Kuba, na ramieniu Rosomaka rozsiadły, mierzył okiem odległość do pierwszej brzozy za wozem i ledwie z brodu się wydostali, dał susa i już był na szczycie.

Ludzie zeskoczyli. Puszczono na wolę Hatorę. Rosomak wziął klatkę z przezimowanymi kuropatwami i koszyk z zającem, który też pod opieką Pantery chował się w domu. Wypuszczony szarak nie bardzo się kwapił, stanął słupka, zawęszył, słuchy nastawił, obejrzał się na człowieka i powoli pokicał ścieżką wśród wrzosowisk. Kuropatwy, jak szare kulki, pociekły rzędem za nim.

— A nie złorzeczenie ludziom, choć wy niebogie zwierzęta-męczenniki! My waszej niedoli niewinni — szepnął Rosomak.

Gdy do wozu wrócił, był sam. Towarzysze, porwani szałem swobody, pognali na piechotę. Kuba im towarzyszył wierzchołkami drzew, klacz ruszyła też już zupełnie bez drogi, w wiadomym sobie kierunku.

Dopędził ją Rosomak i szedł obok pieszo, kierując, by wóz o drzewa nie zaczepił; ale i on był innym zajęty.

Czytał historię zimy swego kraju.

Tu już znał każde drzewo, każdy kęś ziemi i wszystko witał jak najmiłsze towarzystwo. Las, który dlań nie miał tajemnic, opowiadał, pokazywał, chwalił się, skarżył.

Oto sosna ze starym gniazdem rabusia krogulca; a oto druga, co się wygięła i okaleczała, zdeptana kiedyś za młodu; a oto brzoza z ogromną czeczotą i olbrzymia jarzębina, którą nazwali Krasawicą, tyle miewała koralu jesienią; i piorunem na pół rozdarty grab, co się po ciosie odmładzał, czerniejąc smugą rozdartego na poły pnia; i oto brzoza, zwalona ciężarem zimowej okiści; i pękata wierzba z dziuplą, w której już gospodarzyły dzikie pszczoły. I oto olbrzymie mrowisko, już rojne, państwo wielkich, czarnych borowych pracowników, usłane białymi grudkami żywicy i ze śladami zimowego grzebania cietrzewi; a oto wykrot olchowy, pełen dziur, szczelin, przepaści, korzeni, wydartych do połowy z ziemi mocą huraganu, kryjówka węzów i żmij.

Bór gwarzył cichutko; to znów slychać było, jak dyszał potęgą odrodzenia wiosny, a człowiek, zapatrzony, zasluchany, zatracił się w tej wielkiej potężnej całości i czuł, że te siły ogarniały go, że sam się staje potęgą, że w nim gra, śpiewa, tworzy, rośnie moc przyrody.

Za brodem grunt się podnosił. Osiedle leśnych ludzi było jakby wyspą wśród nizin, błot, bagien, porżniętych siatką rzeczulek, porosłych nieprzebytymi chaszczami.

Na wyspie tej, żywej bajecznie, bujała puszcza w całej sile wzrostu, śmigały ku słońcu brzozy, jak taneczniczki smukłe, zielone swe gazy kołysząc, mały się graby urodziwe, jak parobczaki, parły się jedne przed drugimi do nieba olchy, jesiony, dęby, lipy, jarzębiny, klony, a dołem, jak snopy leszczyny, kaliny, czeremchy, kruszyna, aż zupełnie przy ziemi słały się zwały malin i jeżyn. Na polankach wśród boru białe było od zawilców i puszczała się trawa jak tło kobierców, które lato tkać miało. Przeciąły okrzyk towarzyszków zbudził z zachwytu Rosomaka; spojrzął na słońce, z lekka trącił żerującą klacz.

— Do chaty, Łatana Skóro! Nam się też obiad należy. O, jest i posłaniec!

— Chr, chr — ozwało się wśród gałęzi i Kuba mu spadł na ramię, otarł o policzek i już był w kieszeni — po orzechy.

W lewo, w prawo, pod warkoczami brzoź, przez wieńce i bramy z kwitnącej czeremchy, aż zaczerniał wielki krzyż dębowy z figurą pod daszkiem i roztoczyła się szeroka polana, ścianą boru odcięta, a w jej głębi chata leśnych ludzi.

Ściany złościły się patyną żywicznych bali i jak koronka snuły się po nich pnące róże i wino. Niska, dostatnia, z podniesieniem wygodnym, ale jeszcze po zimowemu zawarta, ubezpieczona okiennicami.

Przed nią był ogródek otoczony płotem, „wirydarzyk Żurawia”, który tam hodował różne leśne kwiaty, starannie uzbierane i przesadzone, i lipa cieniła ją nieco od skwaru południa.

Pantera i Żuraw czekali u furtki i wnet zaczęli raport.

— Kos ma gniazdo w winie, przy ścianie. Modraczka mieszka w skrzynce na lipie. Konwalie się wytykają. Żmije znaleźlim na podsieniu. Jeść się chce!

Małomówny Rosomak wyłożył klacz, zawiesił uprząż na kołku pod dachem i wtedy dopiero wydobyl klucz i otworzył chatę. Wionęło na nich chłodem zimowego wnętrza. Minęli sień; za nimi do izby weszło słońce i ozłociło glorią koronę Częstochowskiej Pani, królującej na ścianie wprost drzwi.

Odkryli głowy i Rosomak powitał Majestat narodu pierwszym słowem i pokłonem:

— *Salve Regina Mater misericordiae, vitae dulcedo et spes nostra — Salve!*¹⁰

Trójgłos zgodny, uroczysty, radosny nappełnił izbę.

Potem Rosomak zapalił lampkę przed obrazem. Żuraw położył na stole bochen chleba. Pantera zdjął sztaby okiennic. Wiosna całą barwą i ciepłem wionęła do izby.

— Oho, kwaterunek zimowy nie chybił! — zaśmiali się.

W jednym kącie na ławie myszy leśne zbudowały gniazdo wielkości snopa, w drugim kącie roztaczało się pod ławą mrowisko. Zaczęto wypraszać intruzów, a Żuraw zabrał się do gotowania posiłku. Dym wybiegał na dach: chałupa ożyła.

W otwartym oknie siedział Kuba, przypatrując się robocie. Kitę miał na głowie zadartą jak pióropusz i udając głodnego, gryzł szyszkę, wypluwając ogryzki na czołgających się pod ławami ludzi.

Ale że oni, bardzo zajęci, nie zwracali uwagi, zajął się Żurawiem.

Ten, nastawiwszy garnki w kuchni, zabrał się do rozpakowania wozu i znosił worki i supelki, garnki i pudełka do spiżarni w sieni. Podobało się to Kubie. Wszystko obwąchał, spróbował, przeprowadził, wreszcie wynalazł pudełko ze słonecznikowym ziarnem i bez ceremonii zaczął je przegryzać.

— Nie psuj — usunął go Żuraw.

Tedy się Kuba rozjuszył.

— Moje, moje, moje! — zaskrzeczał.

— Twoje, ale nie na teraz. W skórce się nie zmieścisz, obżartuchu!

— Moje! Dawaj! — wrzeszczał Kuba.

— Nie dam, łakomcze! — zniecierpliwił się Żuraw.

Nastąpiło kotłowanie, rejwach i nagle ze spiżarni wyleciał Kuba rozfukany, z nastrożonym pióropuszem, wdrapał się na szczyt lipy i stamtąd skrzeczał i krzyczał.

— Co się stało? Co Kubie za krzywda? — zawołał Rosomak troskliwie.

— Krzywda! Właśnie! — odparł Żuraw. — Zepsuł trzy worki, pogryzł pudełko, ukąsił mnie w ucho, a teraz krzyczy ratunku! Kończcie, bo krupnik gotów!

— Oj, i moje kiszki gotowe! — wyprostował się Pantera. — Przepłoszyliśmy mrowie, umietli, reszta na potem! Jeść!

— Naprzód domownicy! — przypomniał Rosomak.

— Prawda! — zakrzętał się Pantera.

Rzucił się do spiżarni, do sieni i wyniósł przed furtkę dwa pełne wiadra, jedno kartofli, drugie owsa. Wtedy zdjął ze ściany w izbie trąbkę i zagrał pobudkę.

Dźwięk uderzył w ciszę, poleciał w las, rozdygotał powietrze, a był to sygnał dobrze snadź znany, bo odpowiedziało mu rzenie i daleki odgłos kołatki Hatory. Oparci o płot leśni ludzie czekali. Pierwsza zdążyła klacz i parszając z uciechy, wnurzyła łeb w obrok; flegmatyczniej nadciągała Hatora, Pantera przykucnął do jej boku ze skopkiem.

— Pięknie proszę o „mlimli”, Hator! A nie żałuj, bośmy zdrożeni i świeżo osiedli! — przemawiał do niej przypochlebnie.

— Obiad na stole! — zawołał Żuraw z izby.

¹⁰*Salve Regina Mater misericordiae, vitae dulcedo et spes nostra — Salve* (łac.) — Witaj Królowo, Matko Miłosierdzia, życia słodczy i nadziejo nasza, witaj!

Na białym stole klonowym pod obrazami leżał bochen chleba, parowała misa pięknie malowana, leżały drewniane łyżki.

Gospodarny Żuraw już nawet więzią kaczeńców ozdobił nakrycie. Zajęli swe miejsca na ławach i jak ludzie rzetelnie głodni czerpali z misy w milczeniu. Asystował Kuba, próbując z każdej kromki chleba, aż z niesmakiem otarł pyszczek o rękaw Rosomaka, skoczył na ramę okna i zabrał się do południowej drzemki.

Stanowczo ludzie jadają niesmaczne rzeczy — pomyślał z grymasem, przymykając oczy.

Gdy łyżki zagrzechotały po dnie misy, Rosomak rzekł:

— Ja zaraz czółnem ruszę, rybne tonie obejrzę i kosze zastawię. Pantera obejrzy i do porządku doprowadzi stajenkę dla domowników. Żuraw chałupę do reszty wyczyści i obejrzy warzywnik. Jutro wszyscy razem grzędy skopiemy i obsadзим.

— Przede wszystkim ja bym rad zmienić skórę — rzekł Pantera, patrząc po swym ubraniu.

— Ano, idźcie do komory i przebierajcie się, ja ino fajkę wypalę! Chodaki też trzeba namoczyć.

Komora była za sienią, szeroka, widna. Tam też nocował Rosomak z Żurawiem. Pantera miał swe posłanie w alkierzu za izbą.

Gdy leśni ludzie wrócili do izby, byli zmienieni zupełnie. Mieli na sobie tylko szare płótno, na nogach lekkie lipowe chodaki; pas rzemienny z nożem w pochwie obciskał luźną kurtkę; na głowie filcowy kapelusz.

— Dopiero las nas za swoich uzna! — zaśmiał się z uciechą Pantera, biorąc siekiere i zabierając się do swej roboty około stajenki. Żuraw zaczął zmywać statki¹¹, więc się i Rosomak ruszył.

Przebrał się i on, rozprostował z rozkoszą członki, wyładował z wozu swoją osobistą skrzynkę, pełną książek zoologicznych, przyrządów do kolekcji przyrodniczych i tysiące drobiazgów, których do studiów używał i strzegł jak oka w głowie.

Potem umieścił wysoko w podsieniu u pułapu stary rękaw od kozucha, nocne mieszkanie Kuby, i but z Tupciem położył u węgła, a wreszcie obładował się koszami na ryby, wziął wiosło, siekiere i poszedł do czółna. Miało ono swą przystań za krynicą, pod starą olchą nad strugą. Rosomak wylał ze dna deszczową wodę, władował kosze, odczepił łożową wić i odbił od brzegu.

Droga była bez kresu, bo błotne obszary zalane były wodą i płynąć można było, kędy wola, wśród łoż ledwie zieleniejących i młodych pędów szuwarów. Na wodzie słał się „czarnyglów”, ulubiona wiosenna pasza Hatory i klaczy, toteż je spotkał żerujące po brzuch w wodzie.

Podniosły łby i rozmówili się „po leśnemu”.

— Dobrze, zdrowe! — parsknęła Łatana Skóra.

— Trochę za wodniste! — zamruczała Hatora.

Pogłaskał je z czółna i ostrzegł:

— A pamiętajcie nie iść do topieli za krynicę, skąd was wywlekliśmy na sznurek zeszłego lata. I nam, i wam mało brakowało do śmierci wtedy. Pamiętajcie, łakomce!

Chmary błotnego ptactwa rajcowały nad tą płytką wodą. Hryce, czajki, kuliki, bekasy wrzask czyniły weselny; miodem pachniały złote kiście łożowe, balsamem pękające brzozy i olszyny; wiosło zgarniało złote kaczeńce i kępy wodnej mięty, a słońce, cuda czyniące, śmiało się do swego dzieła.

Rosomak dopłynął do chruścianego płotu rybackiego i świadomy gruntu czółno o kółek wicią zaczepił i wszedł w wodę.

Zrewidował, brodząc, całość płotu, szczeliny łożą obetkał i w gardziel, kędy nurt biegł, kosz zastawił.

Nie spieszył, robił powoli, obserwując, zachowując praktyki rybackie, wnioskując o połowie wedle spostrzeżeń różnych, robotą swą tak zajęty, jak skrzydlate rybolowy krążące nad nim bez trwogi.

Bo leśni ludzie znali zasady obcowania z naturą. Unikali gwałtownych ruchów, hałasu, płoszenia, gonięcia, trwogi.

¹¹statki (daw.) — naczynia.

W chałupie była strzelba od wypadku, ale wypadek zdarzał się niesłychanie rzadko, chyba sąd nad niepoprawnym zwierzęcym zbrodniarzem. Z kołatką Hatory, z trąbką obiadową zwierz i ptak oswajał się rychło i wiedział bór cały, że od tych trzech ludzi nie przyjdzie żadna napaść i krzywda.

Szara, mała łódka, szary w niej człowiek garnący wodę powolnym ruchem wiosła — był to obraz znany ptactwu, codzienny, pospolity, tak że czajki nie urządzały swych forteli, by go od gniazda odprowadzić, a stadka cyranek żerowały nietrwożne przy szlaku łodzi.

Rosomak założył drugi kosz i trzeci, opłynął najlepsze tonie i zatoki, przepatrzył różne rybie kryjówki, odnowił zeszlóroczne znajomości ze współtowarzyszami leśnego bytu i zupełnie o czasie zapomniał.

Bobrował¹² właśnie po zakątkach jeziora, w które się ruczaj rozlewał u wzgórzy piaszczystych na zachodzie, gdy nagle rozdarł powietrze drapieźnie wielogłosy okrzyk przeciągły.

Była w tym chrapliwość bojowych starodawnych surm i jakby wołanie i odzew strażniczej czujności.

— Hej — czuj — stróżuj! Hej — czuj — stróżuj! Wieczorne tuż zorze — wieczorny — tuż czas! Hej — czuj — stróżuj!

To z błot niedostępnych dawały wieczorny sygnał żurawie-wartownicy.

Rosomak spojrzął na słońce i posłuszny hejnałowi zwrócił łódź ku chacie.

Czuby drzew były już czerwonożłote, z ziemi wstawały srebrne mgły, ptactwo śpieszyło to z posiłkiem, to z ostatnim źdźbłem na gniazdo, bo czas nadchodził wieczornych pacierzy i spoczynku.

Spóźnię się! — pomyślał Rosomak, bo śpieszyć się nie mógł, by nie płoszyć i trwożyć reszty mieszkańców.

A hejnał leciał po trzykroć, coraz przeciąglejszy, stanowczy.

— Wieczne już zorze! Wieczorny już czas! Hej, czuj, czuj!

Zawrzało całe błoto rajkotem kum-żab, zielonogłowe kaczory poczęły pluskać na szersze wody i chrapliwie wabić; mgły zakołysały się do tańca, ruczaj się pomarszczył od żerujących ryb; górą na niebie białe obłoczki, jak róże, zakwitły, drozd śpiewak na szczycie olszyn począł wydzwaniać na pacierze. Wieczór był!

Gdy Rosomak przybił do chatnej polany, i tam panował ruch kończącego się dnia.

Żuraw z Kubą na głowie wracał z wiadrami od krynicy, Pantera w obórcie rozprawiał się z Hatorą, klacz przed furtką dopominała się wieczornego obroku.

— Witajcie, wodzu! Nie mogliśmy się doczekać!

— Albo co?

— Bo mamy mnóstwo nowin. Na strychu zimowała sowa i dotąd mieszka: pełno mysich skórek. Kuśnierz niecnota!

— Pewnie też nie brak piór sikorzyc. Trzeba ją będzie wyprosić.

— A w obórcie jest ten sam wąż wodny; wyrósł z pół łokcia.

— W trzech skrzyniach przy chacie już osiedliły się bogatki, a w jednej krętołów.

— Nasza dzika grusza biała jest jak panna młoda.

— Orzechów będzie mnóstwo. Leszczyna czerwona od kutasików!

— We wrzosach przy warzywniku cieciora siedzi na sześciu jajach.

— Tupcio już poszedł na swój chleb.

— Pszczoły żyją w barci; mocno chodzą.

Stanął Żuraw z wiadrami; z obórki wyszedł Pantera ze skopkiem mleka, przyszła do kompanii klacz i gwarzono na środku polany. Łatana Skóra powtarzała wciąż jedno: — Obroku, obroku, obroku!

— Zapchajże jej gardło, Pantero! — zaśmiał się Rosomak.

— Ale! Tej sztuki nikt nie dokaże. To nie brzuch, to otchłań! Chodźże, beczko bezdenna!

— Olaboga! woda mi kipi! — dosłyszał Żuraw i kopnął się do chaty.

Rosomak wziął w ręce zaspanego Kubę i wsunął w rękaw u pułapu; zaskrzypiały wie-rzeje stajenki za kłaczą, chwilę słychać było rąbanie szczap, brzęk statków w izbie. Powoli cichły odgłosy pracy i starunku; na niebie gasły zorze zachodu.

¹²bobrować — przeszukiwać, poszukiwać czegoś.

Ale oni się nie kwapili do izb i jadła.

Wokoło po wszystkich drzewach i krzakach, łożach i szuwarach, po wodach, ziemi i niebie rozpoczynał się ostatni akt dnia i wieczorne wszelkiego stworzenia pacierze.

U podsieni swego gniazda leśni ludzie usiedli na dębowej podwalinie, zapatrzili się, zasluchali, umilkli.

I z cicha Rosomak zaczął:

— Pochwalony bądź, Panie, coś te cuda uczynił. Pochwalony bądź i błogosławiony głosami, i sercami nas tu wszystkich, w boru żyjących. Dzięki Ci, Panie, za to niebo pogodne, za dzień słoneczny, za zielen drzew, za ten wieczór, za życie! Święci się Imię Twoje w tej ptasiej pieśni i w naszej duszy, ku Tobie otwartej, jako te ptaki i kwiaty; i Królestwem Twym niech będzie ten zakątek, a wolę Twą uszanujemy, jako ją szanuje wszelkie stworzenie, uznając Twą mądrość, moc i miłość. I ufni jesteśmy, że jako mrówce i kwiatom, tak i nam pożywienie zgotuje słoneczny dzień jutrzejszy na Twe rozporządzenie. A winom naszym wybaczej, Panie, bośmy przed Tobą głupi i mali, i przeto grzeszni!

A nie daj nam, Panie, złą myślą lub czynem zakłócić tego bezludzia, gdzie rządzi Twoje tylko przedwieczne prawo i ład, i zachowaj nas, Ojczy, jako robaczka w dłoni, bezpiecznie!

— Amen, amen, amen! — świergotały ptaszki, szemrały brzozy, ćwierkały owady i stłumionym szeptem potwierdzili leśni ludzie. Cichło wszystko, pociemniały tajemniczo gąszcze, gasły barwy.

Ale znad drzew wystąpił sierp miesiąca i osrebrzył oblicze Chrystusowe na krzyżu, który od dołu w mgły wtulony, zda się, nad ziemią płynął jak zjawisko.

Ochłodzone rosą powietrze wionęło wonią miodu i balsamu, na brzożkę u krynicy zleciał słowik-lutnista, żabie kapele uderzyły w basetle; bez szelestu krążył nad polaną lelek, polując na ćmy... Ukojona w ciszy wielkiego spoczynku zeszła na ziemię noc.

I tak skończył się pierwszy dzień bytu leśnych ludzi.

DZIEŃ CHYŻEJ PANTERY

Pantera sypiał w maluchnym alkierzyku za izbą, ale tej pierwszej nocy budził się co chwila, wyglądając ranka.

Zrazu z izby widział tylko rubinową lampkę przed obrazem, ale rychło otwór okienny począł się rozjaśniać nadchodzącym świtem, więc leżąc bezsennie, słuchał, kto się pierwszy obudzi.

Słyszał bełkotanie cietrzewi, żalosne „pau, pau” lelków, dalekie pobekiwanie kozłów, chichot sowy i rozelkane, namiętne trele słowicze — pieśń nocy.

Wreszcie odróżnił inną śpiewkę.

— Ledwuchna zaczyna! — szepnęła.

Jakby na dany sygnał, słowik ściął. Basetle-żaby podtrzymały dalej swój wtór, ale już z kryjówek ozwało się pojedyncze cirkanie: Czy już, czy już?

I nagle z błot uderzył ranny hejnał żurawich stróży.

— Hej — świt — luzuj — luzuj. Bywaj — na dzień! — Pan idzie na świat! — Hej — czuj — hej, świt!

Trysnął od razu cały tysięczny chór. — Świt, świt! Pan jest! Życie, życie! — Las witał dzień.

Pantera się zerwał i w bieliźnie, bosi, wyskoczył oknem.

Polana była wybrukowana opalami rosy; powietrze wilgotne, wonne, ciepłe, ptaki chędożyły pióra, przeciągały skrzydła, leciały do wody.

Pantera też rozprężył ramiona, otarł twarz wilgotną gałęzią brzozy i pobiegł do ruczaju, do kąpieli.

Gdy wyszedł z wody, wytarzał się w trawie, pobiegał po łące i czerwony jak rak wrócił do chaty.

Z gniazda swego u pułapu wysadził pyszczek Kuba, ale tylko ziewnął i schował się na powrót.

— Maczałbym szubę na takiej rosie! Dobrze to dla gołych — zamruczał lekceważąco.

Pantera się ubrał, wziął skopek do doju i poświstując, poszedł do swych obowiązków. Wypuścił kłacz i zbudził Hatorę.

Stalowoszary wąż wodny ogrzewał się u jej boku i ledwie się nieco usunął, gdy krowa wstała.

— Kis, Kis! Chcesz mleka? — przemówił doń Pantera. Chciał zapewne, bo czekał, asystując.

Hatora, oddawszy swym opiekunom daninę, poszła za kłaczą. Pantera ułał nieco mleka w skorupę garnka.

— Masz, Kis, Kis! I marsz po żaby! — rzekł do węża. Postawił mleko w sieni do dyspozycji Żurawia, zajrzał przez szczelinę do komory, ale było tam ciemno i cicho.

— Ot, śpiochy! Z tego miejsciska przywożą tylko złe obyczaje. Wstyd przed całym lasem. Ale dla mnie to w desen!

Usiadł na przyzbie, ozuł chodaki, schował do kieszeni kawał chleba, zatkał za pas siekierę, spod strzechy obórki dobył jakieś zawiniątko i ruszył do czółna.

Ale po drodze strzelił mu do głowy figiel. Złapał żabkę, wrócił do izby i wpakował ją do pudełka od herbaty.

Żuraw dopiero skoczy, jak mu bestia pryśnie do oczu — pomyślał.

Teraz kolej na wodza. Pantera ruszył czółnem do koszów rybnych i każdy naładował jakimś cudacznym przedmiotem przywiezionym w zawiniątku: do jednego włożył koński czerep, do drugiego stary kalosz, do trzeciego wypchaną króliczą skórkę i chyłkiem czółno do przystani odprowadził.

W chacie już był ruch; rozmawiali, dym walił kominem, pachniała kawa.

Chwilę się Pantera zawahał. Wódz kazał kopać warzywnik, ale on tylko trochę w las poleciał, kąty obejrzał, wyhula się, no i wrócił z jakąś nowiną i zdobyczą. I pognął! Darł się przez najgęstsze łozy, prześlizgiwał się pod zwałami, taczał po kobiercach z zawilców, przedrzeźniał ptaki, gwizdał, śpiewał; spłoszył z legowiska sarnią rodzinę i chwilę ją gonił.

— Ot, na kark skoczyć, za rogi uchwycić i gnać, gnać! — szepnął wreszcie zziąjany, bez tchu, patrząc, jak sadziły przez moczary. Legł pod brzozą, poczuł głód, pragnienie i rozkoszną senność.

Chleb miał, wody nie brakło, ale jako smakosz, brzozę zaciął, czarkę z kory zagiął i chleb sokiem popijał.

— Leniwie się sący. Poszedł w paki! — Ziewnął wreszcie, wyciągnął się i zadrzemał.

Zleciały się zaraz ciekawe sikory, obejrzały go i wróciły do roboty; parę zięb budujących gniazdo na tejże brzozie udawało chwilę, że tylko w przelocie tam się znalazły, ale uspokojone dalej kleciły kunsztowny domek; tuż niedaleko bekas zapadał, pobekując. Słońce wytoczyło się wyżej i zbudziło śpiocha. Spojrzał na niebo — na cień drzew i zerwał się.

— Dziesiąta godzina! Oni pewnie przy robocie. Nie pokażą się bez jakiejś zdobyczy. Ale co? — Zaczął szukać. Zaraz dojrzał podwaliny ziębiej chałupy, ale to nie było nic osobliwego; po chwili myszkowania znalazł na kępie dwa jaja bekasa — także pospolitość! Wreszcie dopatrzył na dalekiej brzozie wśród błota żółty bukiet jemioli.

— Aha, to dostanę! Wódz chciał w chałupie powiesić. Jazda!

Wody na bagnie było za mało na czółno, a o krok od lasu zaczynała się topiel.

Trawy i kępy tworzyły tylko cienką skorupę, która pod stopą się chybotwała i rozdzierała. Trzeba się było czołgać.

Pantera naciął łozy, związał w pęki, wmocował pod pachami na piersi, w rękę wziął długi drąg, położył się i rozpoczął awanturniczą przeprawę.

Czołgał się, nogami i łokciami popychał, zapadał w szlam, kaleczył się o szuwary, darł białiznę, wypluwał wodę i błoto i po trudach nieludzkich dobrnął.

Był zlany potem, ociekający wodą, czarny od szlamu i już prawie bez odzieży, ale zwycięzca. Zaraz się wdrapał na brzozę, siadł konno na gałęzi, dał się słońcu osuszyć, a wiatrowi ochłodzić i rozejrzał się.

— Głupiec ze mnie! Trochę w prawo jest garb i grzebień z łozy. Wróć jak szosa! Ale stąd widać i żurawie leże! Ot, krzą! Trzeba się będzie do nich dostać tego lata. To będzie wyprawa!

Wyrąbał jemiolę i zabrał się do odwrotu. Owa „szosa” była o tyle wygodna, że na „garbie” tylko dwa razy zapadł po szyję, a na „grzebień” z łozy zostawił resztki garderoby i prawie tylko w czarny szlam odziany, stanął na twardym gruncie.

Wtedy, widząc, że jest blisko południa, pognął do osady.

Po drodze usłyszał trąbkę i spotkał Łataną Skórę, dążącą na obiad, więc na nią skoczył i tak zajechał przed furtkę.

— Jezu, Mario! Leśny upiór, nie człowiek! — krzyknął Żuraw.

— Jemiola dla naszego Patrona na pierwszy bukiet! Gwałtu, jak mi się jeść chce! Ucho ci, Żurawiu, odgryzę, jeżeli misy nie ma na stole.

— Zaraz ci tu wyniosę wiaderko, brudasie! — rzekł, śmiejąc się Rosomak.

Pantera zeskoczył z klaczy, fiknął parę kozłów i trochę na nogach, a przeważnie na rękach i głowie pognał do kąpieli.

— Ciśnijcie mi, wodzu, tu, w krzaki, świeży garnitur. Rozumie się, że do obiadu należy się przebrać. Białe krawaty, smoking, gardenia w butonierce! A jakże! Hatorę pod rączkę do stołu poprowadzę! — Kąpał się, pluskał, szorował, przebierał, a wciąż myślał, czy Rosomak był u koszów. Zapytać było nijak, a po ich minach, gdy zasiedli do misy, nic nie mógł poznać.

Mówił każdy o swoich zdobyczach: Żuraw znalazł rzadki kwiat — obuwik. Rosomak wypatrzył gniazdo krogulca; skopali parę zagonów na kartofle, mieli jutro sadzić warzywa.

Po obiedzie spoczęli godzinę i już we trzech poszli do roboty. Grzędy pod warzywo wykarczowali już od lat paru, więc ziemia była pulchna; piękny czarnoziem nad ruczajem, otoczony płotem przed łakomstwem Hatory.

Pantera kopał zajadle, założywszy sobie, że nadrobi ranną „fugę”. Słońce grzało, pot im wystąpił na koszule. Wreszcie miało się pod wieczór.

— Nie zrewidujecie koszów, wodzu? — spytał nareszcie Pantera.

— Właśnie chciałem ci rzec, byś mnie wyręczył, bom się bardzo zmachał kopaniem.

— A kiedy ja... to jest... mnie... ja nie wiem, gdzieście zastawili — wykręcał się.

— Gdzież by? Tam, gdzie zwykle.

— Kiedy bo... może do jutra poczekać?

— Nie, właśnie pora! Dogódź sobie! Lubisz bobrować!

Nie było sposobu odmówić. Skrzywiony Pantera poszedł do czółna. Niespodzianki swoje znalazł w koszach i z irytacją powyrzucał. Figiel był chybiony, tylko po dziś dzień Pantera się nie domyśla, czy chytry Rosomak był rano u koszów, czy nie. W każdym razie zgodnie ze swą nazwą nie dał się w pole wyprowadzić, i to zatrulo dzień Panterze.

Wrócił bez humoru do przystani, rzucił do wiadra pęk nawleczonych na łożinę szczupaków, zdobycz rybną, i resztę dnia spędził, piorąc mozolnie swe zaszlamione szmaty.

DZIEŃ CZUJNEGO ŻURAWIA

W komorze, kędy sypiali we dwóch, okiennica była zamknięta i koncert ptasi budził Żurawia. Wpół drzemiąc, rozkoszował się muzyką, ale się nie zrywał, bo czekał na rubinowy sygnał.

Wschód słońca uderzał w okiennice i prześwietlał żywiczne sęki, jakby latarki czerwone. Wtedy Żuraw wstawał.

Szedł zaraz z wiadrami po wodę do krynicy i czytał po polanie.

Ślady znać było na srebrze rosy: okrągłe kopyta klaczy, podługne racice Hatory, lekkie stopy Pantery. Od obórki wił się, jak tasiemka, ślad węża.

Kis wypijał mleko i siedł na łąwy. Ale miał zwyczaj skręcać do zdroju i Żuraw go tam często spotykał. Wysoko wzniesiony nad wodą, przeglądał się, jak w zwierciadle, kołysząc się zalotnie.

— Gdzie też próżność nie mieszka! — filozofował Żuraw ubawion. — I ten się sobą zachwyca. Dobrze, że tu Ewy nie ma!

Wracał z wodą, rozpałał ogień, sprzątał izbę i siedł do kąpieli. Gdy się wypucował i ubrał, zastawał zwykle w izbie całą kompanię przy śniadaniu.

Wtedy rozważano robotę dzienną.

— Ja muszę ukosić szuwarów na ściółkę — rzekł Pantera. — Lada dzień będziemy mieli urodziny. Gadałem z Łataną Skórą: córki się spodziewa.

— Będzie jej pewnie Sroka na imię.

— Ja muszę być aż za Proszalną Brzozą, lizawki¹³ dla sarn zrobić — rzekł Rosomak.

¹³lizawka — specjalny pojemnik dla łownej zwierzyny, zawierający mieszkankę soli mineralnych.

— Może byś poszukał raków w jeziorku, Żurawiu?
— Chyba po południu! Jeszcze ogródka nie doprowadziłem do porządku i mam kram z mlekiem.

— To mi daj soli w torbę i zostawaj zdrów!

Ozuli się. Pantera kosę wytoczył i poszli.

Żuraw statki pozmywał i zabrał się do swych ukochanych roślin. W małym ogródku przy chacie zabawiał się w aklimatyzację kwiatów leśnych. Przynosił z puszczy storczyki, dzwonki, amarantowe gladiolusy, rutewki, gruszyczki, spiree, walerianę i miał to wszystko w amatorskim starunku.

Wyciągnął się u grząd i oglądał plantację, gdy posłyszał szelest u płotka.

Usunął się szybko z obawy przed żmiją, ale ujrzał zdziwiony Tupcia.

— Dlaczego Tupcio nie śpi o tej porze?

Jeż podniósł ryjek, jak mógł najwyżej, a człowiek leżał; byli tedy w pozycji do pogawędki.

— Może Tupcio głodny?

Nie, sądząc z tuszy, raczej był obżarty.

— Ale twarożku Tupcio zje? Prawda?

Wilgotny ryjek dotknął ręki. Miał jakiś interes, ale trzeba się było domyślić.

Pogłaskał go Żuraw po łagodnie złożonych kolecach.

— Przyjdzie Tupcio do izby; są świeżutkie rybie wątróbki.

Wstał i obejrzał się. Tupcio sunął powoli i nakuliwał. Tedy go wziął na ręce i obejrzał.

Tylna nóżka Tupcia była spuchnięta, a gdy jej dotknął, jeż zaczął fukać i drgać. Żuraw usiadł na przyzbie i kalectwo starannie zbadał. Pokazało się, że cała stopka była oplątana włosieniem¹⁴, który się wżarł w ciało i spowodował obrzmienie.

Odbyła się operacja, widocznie bardzo bolesna, bo Tupcio fukał i nóżkę targał, a nawet w najgorszej chwili ukąsił Żurawia, ale się nie jeżył i nie skręcał, a w końcu, gdy uczuł ulgę, rękę człowieka malutkim jęczyzkiem liźnął.

Dostał potem obiecanych rybich wątróbek i o ile to było możliwe, jeszcze napęczniał tak, że z trudem zasunął się w cholewę od buta i fuknąwszy na pożegnanie, zasnął do wieczora. Kuba przyglądał się operacji z okna, gdzie się na słońcu wygrzewał.

Także gust! — myślał. — Taki cudny czas przesypiać w jaskini. Rozumiem, że to się robi zimą, ale teraz? Idiota!

Żuraw spojrział na słońce i zabrał się do gotowania obiadu. Na skrzyp drzwi od spiżarni Kuba się też przystawił. Żuraw był rozczulony jego przywiązaniem, ale po prawdzie Kuba, wskutek życia w dostatkach i bez troski pędzonego, stał się skończonym typem sybaryty.

Wstawał późno; dla nabrania apetytu trochę fikał po lipie, przez parę pierwszych dni dawał się namówić Rosomakowi lub Panterze na spacer do lasu; ale przekonał się wkrótce, że orzechów nie było na leszczynie ani ziarn w szyszkach, do ogryzania zaś pączków był za wielkim smakoszem: zostawiał to hołocie dzikiej.

Wiedział zaś, że pod opieką Żurawia w spiżarni była spora blaszanka z orzechami i druga z ziarnem słoneczników. Tedy nie odstępował Żurawia, a ten brał snobizm za przywiązanie i pasł go, ile ten mógł wytrzymać.

Gdy Żuraw usiadł na przyzbie i obierał kartofle, Kuba ze swymi orzechami ulokował się obok niego.

Słońce podniosło się nad polaną, w rozgrzanym powietrzu bujały pierwsze motyle, ptactwo nieco ścichło, jak zwykle ku południu, i była taka cisza, że jednocześnie Żuraw i Kuba podnieśli głowy na jakiś niezwykle szelest na dębie.

Na gałęzi przy sęku siedziała dzika wiewiórka i gotowa do odwrotu, nieufna, zerkała na pięknego, spasionego kawalera. Kuba nastroszył wąsy, skoczył na płot, wywinął parę koziółków.

— Chr-chr-chr! — zagadali do siebie.

Dzika cofnęła się i poczęła kawalera do siebie wabić; zaczęli się gonić wokół pnia. Rozległy się chichoty, zaczepki, wreszcie popędzili oboje w puszcę po czubach drzew na wiosenne gody.

Gdy leśni ludzie zasiedli do obiadu, Rosomak zauważył brak współbiednika.

¹⁴włosień — pasożyt atakujący ssaki i ludzi.

— Gdzie Kuba?
 — Zbalałmuciła go ruda zalotnica — odparł Żuraw.
 — Także pora! Wszędzie po gniazdach już są małe, a ci się dopiero zabierają na gospodarstwo! — rzekł Pantera.
 — Jeszcze biedaka sowa w nocy uchwyci.
 — Ja go znam, niegłupi on nocować w wilgotnej dziupli — wróci do swego rękawa.
 — Zgłodnieje niebożątko.
 — To mu na zdrowie wyjdzie. Już się w skórze nie mieści, tak go pasiesz.
 Zaraz po obiedzie Pantera założył klacz do wozu i ruszył po ściółkę. Rosomak popłynął do koszów rybnych. Znowu Żuraw sam został.
 Sprzątał prędko statki, zabawił godzinę nad swym zielnikiem, wreszcie przypomniał sobie raki i zaczął zbierać potrzebne do tego połowu narzędzia.
 — Właściwie lepiej by było brać je ma rybnie odpadki, ale tak się biorą na głębinie, z czółna. A że Rosomak czółno zabrał, chyba będąc je, brodząc, z pieczar wypłaszac — radził się Pantery, który właśnie ze ściółką nadjechał.
 — Poczekaj chwilę! Zwiozę resztę i razem pójdziemy. Znam najlepsze pieczary.
 — Dziękuję. Pewnie już jakiś figiel dla mnie obmyślił. Dziś już miałem mysz w pudełku z proszkiem do zębów i zaszyte rękawy u koszuli. Dostyc na jeden dzień!
 — To nie ja! Dalibóg!
 — Więc któż? Może Rosomak?
 — Nie, to „domowy”! Pewnie mu nie postawił miodu w orzeszku na przywitaniu!
 — „Domowy” też pewnie powiesił wypchaną sowę Rosomaka na podsieniu, że nam ptaki spać nie dały od szarego świtu!
 — On dziwy umie robić! Straszny psotnik!
 — I „domowy” wężową skórę włożył mi do pościeli.
 — A nie mógł to wąż skóry zmienić w twoim łóżku? Ty też w nim koszule zmieniasz.
 I Pantera, śmiejąc się, popędził klacz.
 Żuraw wziął siatkę, na obręczy rozpiętą, torbę na raki i poszedł.
 Dróg nie było w ich kraju, ale każdy miał w głowie mapkę i nigdy nie błędził, i zawsze szedł najprościej.
 Z biegiem czasu przecierali ścieżyny tyle co zwier i nigdy się w kierunku nie zawahali.
 I Żuraw też zaraz z polany wnurzył się w gęstwę łozy, odnalazł zeszłoroczną kładkę nad wąską topielą, wydostał się na garb olszyną porosły, przebrodził parę strug, ominął grząskie torfowisko i wykierował się jak strzała na wielki dąb na brzegu jeziora. Leżało gładkie, szeroko rozlane, zachodzące w łąd mnóstwem zatoczek. Naprzeciw białe góry piaszczyste, jakby wyspa, i znowu tło stanowiła czarna ściana boru.
 Pod dębem Żuraw się przebrał, został tylko w bieliznie i w chodakach. Przewiesił torbę przez ramię i wszedł do wody. Zanurzał się po pas i trzymał się brzegu. Spód był dość grząski, a grunt wybrzeża pełen dziur i pieczar.
 Żuraw co parę kroków siatkę w wodę zastawiał do dna, a nogą po tych pieczarach ploszył.
 Gdy sieć podnosił, znajdował w niej wielkie żuki, muł, a za trzecim razem ujrzał ciemną skorupę i podniesione wojowniczo kleszcze.
 — Jesteś — rzekł z triumfem, chwytając ostrożnie za grzbiet zdobycy i rzucając do torby.
 Ogarnęła go zaciekłość łowiecka. Już nie patrzył ani na toń jeziora, ani na otoczenie, ani na słońce, tylko sieć zatapiał, podrywał i napełniał torbę. Aż wtem stracił grunt pod nogami i wpadł głową w jakąś bezdenną jamę pod olbrzymią olchą.
 Zakotłowało się w wodzie, jakaś wielka ryba ośliznęła się po nim, połknął sporo wody, ale wnet oprzytomniał i wydostał się na powietrze. Musiał płynąć parę sążni, zanim zgruntował, potem znowu wpław łapać kapelusz i siatkę, wreszcie na brzeg wyskoczył.
 — No, tym razem to chyba psota „domowego”.
 Pomacał torbę — była pusta. Raki wydostały się na swobodę.
 Wieczór był bliski, opar wstawał z wody, ziab chwytal przez mokrą bieliznę, ale Żuraw zawzięcie rozpoczął połów na nawo, wracając do dębu.
 Zbiegłe raki musiały jednak zaalarmować swój szczep, bo brały się tylko niedorostki, aż rybak zniechęcony zabrał się do odwrotu.

Dzwoniąc zębami, biegł do chaty; na jednym przejściu nad topielą pośliznął się i wpadł w szlam i już z daleka posłyszał trąbkę na alarm i pohukiwanie towarzyszy.

Wybrali się ku niemu niespokojni.

— Czyś ty zbłądził? — spytał Rosomak.

— Nie, tylko się zagapił i wpadłem w tę jamę pod olchą.

— A suma nie było?

— Był. Okrutny. Mogłem rękami brać, ale o sobie myślałem, nie o nim.

Pantera już torbę obmacywał.

— Co tam? Kilka szczy pawek.

— Bo wielkie drapnęły, jakem nurka dał. Brr! jak zimno! A nie wiecie, czy Kuba nocuje w rękawie?

— Myśmy o ciebie byli trwożni. Nie patrzałem.

— A wieczery nie ma?

— Owszem. Zacierki na mleku ugotowałem, aleśmy ciebie czekali i wreszcie poszli ratować.

W chacie było przyjemnie, ciepło, ale Żuraw nie dał się przekonać i przede wszystkim do cna się na czysto wykapał.

Gdy przyszedł na wieczrę, rzekł z pewnym zawodem w głosie:

— Wiecie? Kuba jest w rękawie.

— Toć się troskałeś, by w lesie nie nocował.

— No tak, pewnie, ale zawsze to dowód strasznego sybarytyzmu.

— Nareszcie przekonałeś się! — zaśmiał się Rosomak.

Żuraw zaczął jeść; rozmarzyło go gorąco, ogarnęła nieprzeparta senność.

— Nie wylej zacierki z łyżki do ucha! — droczył się Pantera.

— Jeszcze muszę statki pozmywać! — zamamrotał, opierając się o ścianę.

Ale oni dali mu drzemać i dokończyli domowe porządki.

Nie pamiętał, jak się znalazł w łóżku, tylko wszystko sobie przypomniał rano, znalazłszy pod poduszką dwa raki, upominek Pantery.

DZIEŃ CHYTREGO ROSOMAKA

Rubinowe latarnie w okiennicach i krzątanie się Żurawia budziły wodza. Szedł do kąpieli i spóźnił się na śniadanie, bo tu i ówdzie zajrzał. Ze wszystkich stworzeń leśnych najmilsze mu były ptaki i te obserwował, i badał z amatorstwem. Wokoło chaty pełno skrzynek na drzewach i Rosomak doskonale znał historię i sprawy każdego skrzydlatego stadła. Żaden z leśnych ludzi nie mógł się pochwalić, że odkrył jakieś nowe gniazdo, bo ledwie zaczął, już wódz podpowiadał:

— W leszczyźnie, prawie na ziemi; wiem, to dzierzba! — albo:

— Na sośnie za garbem; widziałem, to sikora czubatka zajęła stare wiewiórcze.

Miewał specjalnych faworytów.

W zmurszałym pieńku brzozowym niedaleko krynicy odwiedzał co dzień raszkę siedzącą na jajach. Pierwszego dnia sfrunęła; gdy wróciła, znalazła kilka mrówczych jaj w gniazdku. Na drugi dzień, gdy ujrzała nad sobą twarz olbrzyma — człowieka, zdrętwiała. Czarne jak paciorki oczki wyrażały bezgraniczną grozę. Olbrzym rzucił znowu kilka mrówczych jaj i odszedł. Na trzeci dzień już przysmak porwała od razu i odtąd, słysząc trzask gałęzi pod stopą olbrzyma, czekała odwiedzin nietrwożna.

Po śniadaniu Rosomak oprawiał lampkę przed Królową, rąbał szczapy, ozuwał chodaki i szedł w las.

Brał ze sobą torbę, siekierę, sznur z hakiem na końcu i przepadał bez śladu. Szedł zwykle bardzo wolno, cały w słuch skupiony, przystawał często, do pnia wtulony, to wyciągał się pod krzakiem nieruchomy.

Las ledwie porastał w drobne liście; była to najlepsza, ale krótka pora do spostrzeżeń ornitologicznych.

Co dzień też Rosomak odwiedzał pszczoły. Od paru lat zajmowały dziuplę w starej wierzbie. Znał je dobrze. Czarne były, małe, bardzo cięte — dzikie, borowe.

Gdy leśni ludzie zajęli chatę, już je zastali. Ale dotąd nie było z nich pociechy.

Dziupla była nieszczelna, zmurszała, drzewo marne. Dobierały się do niej dziecięcy zielone, niszczyły myszy; po zimie ledwie zostawała garść narodu, a zanim się rozhodowały, nadchodziła jesień.

W tym roku działo się najgorzej.

Ledwie chodziły na kwiaty, robota szła ospale, nie przynosiły do ula pyłku.

— Nie ma matki! — rzekł Rosomak po dłuższej obserwacji.

Ruszył w puszcę i rozmyślał.

Po leśnych fiołkach, co właśnie zakwitły, po łożowych kocankach pszczoł było pełno.

Musiła istnieć druga dzika barć, bo od osad ludzkich, od sadów i pól, przez te bagna i moczary za daleko było pszczołom lecieć. Barć musiała być, ale gdzie? Przez lat parę Rosomak ten swój raj schodził z końca w koniec, z kąta w kąt i nigdzie barci nie widział drugiej.

Teraz znaleźć musi, te sieroty poratować. Położył się na polanie liliowej od fiołków. Roboczy naród obierał słodycz skrętnie i odlatywał. Każdą człowieka leśny oczami przeprowadził i zrazu nic się nie dowiedział. Snuły się tu i ówdzie. Wreszcie dopatrzył, że jedne były małe i ciemne, inne większe i żółciejsze.

Po godzinie cierpliwości badacza już stwierdził, że te pierwsze wracały ku wierzbie, drugie zaś wznosiły się nad drzewa i kierowały na wschód.

A miały przy nóżkach koszycki złotego pyłku, a przy robocie nuciły wesoło.

Rosomak powstał z triumfem.

— Tam są i mają matkę! — rzekł, puszczając się za nimi na wschód.

Po drodze obejrzał każde stare drzewo; coraz na polankach przystawał, znowu owady śledził, znowu za nimi dążył, aż stanął nad nieprzewyciężoną zaporą.

Była to smuga trzęsawiska.

— Aha! W borze barć mają! Żółte są jako żywica. Że mi to na myśl nie przyszło! Tam im raj, w tej choinie.

Za trzęsawiskiem, jakby wyspa wśród morza, była wyniosłość niewielka, porośla starymi sosnami.

Widział wyraźnie ich złote pnie, grube konary i czarniawe korony. Jedna, jakby przodownica, niosła olbrzymią czapę bocianiego gniazda.

— Zda się, ręką do nich sięgnąć, a „wara” mówi topiel. Bezdenna jest; ani krzaka, ani drzewka, ale wąska! Nie więcej jak półtorasta kroków! Dostać się tam trzeba!

Położył się i rozpatrzony plan układał. Zaraz też spróbował gruntu, cofnął się i zaczął rąbać łozy, układać w snopy i wiązać.

Robotę przerwał mu sygnał obiadowy. Gdy zasiedli do obiadu, każdy opowiedział swe przeżycia i wrażenia.

— Wiecie, wodzu, dudek zagląda do skrzynki! — pochwalił się Pantera z odkrycia.

— Toś rewidował skrzynki?

— A tak mnie ochota wzięła Kubę naśladować! Przejrzałem siedemnaście.

— Ładna porcja jak na jeden dzień.

— Byłoby więcej, ale na jesionie ladaco gałąź mnie zdradziła. Gruchnąłem o ziemię i nadwichniłem rękę.

— No i co?

— Ano nic, zhukałem Żurawia-doktora, w mig mi nastawił, ale zabronił udawania Kuby przez parę dni.

— I bez mego zabronienia nie mógłbyś pokazywać łamanych sztuk w tej chwili: ścięgną masz mocno nadciągnięte.

— Cóż znalazłeś w skrzynkach?

— Najwięcej sikor-bogatek — mają już pisklęta; w jednej naliczyłem dwanaście rozwartych gardzieli. To dopiero robota wykarmić taką chmarę. W kilku mucholówki, te małe, nakładły błękitnych jająt; w dwóch są sikory-modraczki, wysiadują tak twardo, że je można ręką brać; w jednej nasyczał mi krętogłów, jak wąż, w jednej oblały mnie szpaki, ale na tym jesionie właśnie miałem najgorsze przyjęcie. Zgadnijcie, kto ją zajął?

— No któż by? Może dzieciół?

— Trzmiele! Niewielkie, szare. Sypnęły mi się do oczu, więc zmykałem co tchu i przez to na gałęzie nie zważałem, i gruchnąłem.

— No, a w którejże było to gniazdo gołych mysząt, coś mi je łaskawie włożył do maszyny kawianej? — spytał spokojnie Żuraw.

— Ja? Myszęta? Jakie? Kiedy?

— Ach, prawda! To także pewnie „domowy”! Żeś go nie wołał o pomoc przy zwiniętej ręce!

— „Domowy” na medycynę nie chadza.

— A ja mam złą wieść. Pszczoły w wierzbie nie mają matki!

Zafrasowali się obydwaj i jęli radzić.

— Pójdę po czerw do Odrowąża — ofiarował się Pantera.

— Kładki do Odrowąża są jeszcze pod wodą, a takie kręte, że sto razy można zmylić i w bagno wpaść.

— Może do domu pojechać, bo i chleba już mamy niewiele. Nawet nie mogę zrozumieć, gdzie mi tak prędko wyszedł — rzekł Żuraw.

— Gdzie? Pewnie „domowy” wyniósł i schował lub przepaśł nim Hatorę — zaśmiał się Rosomak.

Obydwaj spojrzeli na Panterę, który z miną niewiniątka zaciągał sznurki w świeże chodaki łykowe.

— Do domu jechać w tych dniach nie można — rzekł, jakby końca rozmowy nie słyszał — bo mi Łatana Skóra powiedziała dziś na ucho, żebym jej akuszera sprowadził. Czy pan doktor będzie łaskaw? — zwrócił się z ukłonem do Żurawia.

— Wypatrzyłem drugą barć — rozstrzygnął kwestię Rosomak.

— No to i po co majaczysz i nas się radzisz?

— A po to, że fajki poobiedniej nie dopalił, a wyście statków nie zmyli. Jak się to skończy, to ruszymy wszyscy na ciężką robotę. Barć jest na Chojowej Górze, za topielą.

— Aha, musimy faszyną¹⁵ jakie takie przejście wymościć i jeszcze się skąpiemy po pas. Dobra nasza! Jazda! — porwał się Pantera do zmywania.

Po chwili ruszyli wszyscy trzej, zostawiając chatę pod opieką Opatrzności. Nawet Kuba, zgorzony tą ogólną wyprowadzką, dopędził ich i wsunął się na poobiednią drzemkę do kieszeni Żurawia.

Szli bez drogi za Rosomakiem i mówili o zamierzonej robocie.

— Co roku na świętą Annę poglądam na tę Chojową Górę i łeb suszę, jak by się tam dostać — rzekł Pantera.

— Dlaczegoż specjalnie na świętą Annę? — spytał Żuraw.

— Bo święta Anna grzyby sieje. Nie wiesz? Na Chojowej Górze rosną pewnie od początku świata co roku i nikt nie zbiera, boć tam nawet zimą trudno się dostać. Przekłeta topiel!

— Innym przekłeta, a nam błogosławiona — poprawił Rosomak. — Mielibyśmy to taki swój świat i raj, żeby bite drogi szły do chaty? Ucieklibyśmy po tygodniu, bo ludzie by nam życie zatruli.

— Pewnie. Chłopi i baby do Żurawia z chorobami, Żydzi po ryby, no i goście. Rany Pańskie! Jak kiedy posłyszycie w nocy, że jęczę, wiedzcie, że mi się to śni.

— Niech no kładki do Odrowąża nad wodą się pokażą, stary wnet się zjawi prawie mi o łamaniu w kościołach! — rzekł Żuraw.

— Ten do nas pasuje. Temum rad — uśmiechnął się przyjaźnie Rosomak. — On mnie uczył leśnego bytu.

Stanęli nad topielą i zaraz zawzięcie zabrali się do roboty.

Wiązali faszynę i ślali jakby pomost. Całe bagno chybotąło pod stopami; musieli omijać zupełnie nieporosłe bezdnie, szukać choć nikłej skorupy białawego, gąbczastego mchu: coraz to któryś zapadał i towarzysze musieli go wyciągać na sznurze. Zmoknięci, czarni od szlamu, parujący znojem, mordowali się, walczyli, zdobywali krok za krokiem, tak w swym uporze zaciekli, że nawet się nie odzywali. A wszystko — o zdobycie tej krzyny czerwii dla sierociego roju pszczelego.

Gdy hejnał wieczorny otrąbiły żurawie, pół brodząc, pół pełzną, Rosomak wydostał się z grzęzawicy i bez tchu legł pod sosną-przodownicą. Towarzysze ślali bezpieczniejsze przejście, ale już też byli bez siły.

¹⁵faszyna — połączone gałęzie wikliny lub innych drzew.

— Wracaj, pora do chaty! — zawołał Żuraw.

— Wracajcie, ja tu zostanę, zanocuję. Jutro rano przynieście, ile znajdziecie, sznurów, garnek z żurem, kapelusz z siatką, co wisi na ścianie w komorze, no i chleba kawałek na śniadanie.

— Zgłodniejesz, zmarzniesz w mokrej bieliźnie! — wołał Żuraw troskliwie.

— Zapalki i tytoń miałem w czapce, więc są suche, siekiera i nóż jest, chrustu nie brakuje. Przenocuję doskonale, o świcie już barć znajdę i co trzeba przygotuję, zanim przyjdziecie. To nie ramowy ul, co ino daszek uchylić. Będziem mieli jeszcze kramu co niemiara. Spocznę przed ciężką robotą. Żegnajcie!

— Do zobaczenia! Będziem o świcie.

Rosomak został sam. Wypoczął chwilę i wnet zaczął się rozglądać i po swojemu otoczenie badać.

Zdziwiła go dziwna cisza tego ostępu. Był pewny, że zastanie ptasie królestwo bezpieczne, a była pustka.

Ani ujawniania się, ani świergotu, ani przedwieczornego rozgardiaszu.

Sosny stały jakby nieme; nawet wokoło wydawały się puste. Życie kipiało dopiero za topielą.

— Jakiś zaklęty kąt! — szepnął powstając. Obszedł brzegiem, rozglądając się. Ród starych sosen mieszał się dalej ze zwartym świerkowym porostem, podszytym gęstwą paproci i jeżyn.

Gdy przystanął, szukając możliwej szczeliny, nagle na sośnie, tuż za nim, zaszczekał pies.

Rosomak instynktownie za pień się cofnął i spojrzął w górę.

Na konarze, obok siebie, siedziały dwie nieruchome, wielkie, bure postacie. Patrzyły na niego dwie pary jaskrawopomarańczowych, okrągłych oczu, mrugając; i te twarze starych skąpców czy zbrodniarzy wykańczał na typ zbójcecki czarny, potężny, zagięty nos-dziób.

Bez ruchu i głosu człowiek i para wielkopańskich rycerzy-rabusiów patrzeli na siebie.

Zrozumiał Rosomak ciszę i pustkę tego ostępu. Panowała tu burga tyrana-bandyty w pióropuszu na głowie.

Zniszczył życie wokoło, wymordował wszystko i królował, i władał, moczcz siły nad prawem.

— Tuś mi, krzyżacka wywłoko! — warknął zajadle Rosomak. — Tuś mi, herbowy rakarzu, kacie leśnego stworzenia, bezbożniku możny, tyranie słabych, cichych i spokojnych! Teraz na cię sąd i prawo! Teraz na cię kres! Słyszałem nieraz w nocy twe krwawe hasło i jęk ofiar i szukam cię już lata. Aż mnie tu przyprowadził opiekun pomordowanych ptasząt, byś za żywot łotrowski gardło dał. Ostatnia to twoja noc!

Zawrócił i odszedł, rzuciwszy ten pozew. Jeszcze korzystając z ostatnich chwil dnia, odszukał barć. Wskazały mu ją wracające z boru pracownice i ucieszył się, że była niewy-soko i otwór miała dość szeroki.

— Teraz spocznę i ciszy posłucham — rzekł wyciągając się na mchach.

Ale spocząć nie mógł. Słońce zgasło, z bagien wstawały chłodne opary; ogarnął go ziąb. Więc się rozebrał, wytarł ciało do czerwoności mchem i znowu wilgotną bieliznę naciągnął. Teraz się rozgrzał, na głód fajkę wypalił i rozdmuchał na brzegu niewielki ogieniaszek.

Obruszyło to panów ostępu.

— Uhu, uhu! — rozległo się ponuro, groźnie. Czarny cień wysunął się z gąszczy, miękkie skrzydła musnęły go prawie w locie, zakołowało straszdydło nad ogniem i popłynęło nisko nad topielą do lasu po łup. Po chwili drugi za nim podążył.

— Uhu, uhu! *Ungibus et rostro!* Szponami i dziobem! Herbowa dewiza i bojowy zew! Uhu, uhu!

Wyciągnięty u ognia Rosomak słuchał. Od puszcy grzmiał weselny, wiosenny chór: łkanie słowików, bełkotanie cietrzewi, pobekiwanie kozłów. Na bojowe hasło rabusia — zaledwie chwila ciszy i znowu radosne hymny młodego życia.

Nagle rozdarł powietrze krzyk bólu, grozy, śmierci — i znowu cisza.

— Zadarł zająca! — szepnął Rosomak.

Na niebo wypłynął księżyc. Mgły w jego widmowym świetle potworzyły korowody tańczących mar w gładkich powłóczystych. Żabie kapele im grały; powiew wiatru układał figury, grupy, koła.

Kędyś daleko chlupnęła woda, coś zatętniło, zaklekotało, rozdarło korowód mgieł.

— Łoś idzie przez pohybelnik¹⁶! — szepnął Rosomak. — Dla tego nie ma topieli.

Jak widmo, bez szelestu piór rabuś znowu nad nim przeleciał, zapadł w gąszczu.

— Z łupem wraca! Ma w gnieździe małe!

Ale wreszcie ze zmęczenia i trudu ogarnęła go senność. Jeszcze patrzył, jak dym ogniska ku mgłom ruszył i w tan się wmixszał, jeszcze słyszał ostrzegawcze krakanie krzyżówki-matki i nagle ruszył i on za dymem i mgłami.

I taki był lekki jak one; i zrobił się dzień, a on szedł przez topiele, zaglądał do gniazd, głaskał ręką ptaki, przepływał rzekę, objąwszy ramieniem łosia za szyję, przypatrywał się, o krok stojąc, jak bąk-odludek zatapiał dziób w szlam i buczał donośnie, i odtrącał pięścią puchacza od srokatego kozłęcia łani.

I takim snem czarodziejskim skończył się pracowity dzień wodza-Rosomaka.

Zbudziły go żurawie poranne trąby. Zerwał się. Ledwie bursztynowe były zorze na wschodzie i jeszcze senność w przyrodzie. Szpilki sosen miały na końcach paciorki z rosy; na próg barci wyszło kilka pszczoł-wartownic i przecierały skrzydełka. Żaden ptak nie śpiewał. Czając się, unikając gałązki pod stopą, Rosomak ku gąszczom się przysunął.

Na tym samym konarze puchacze siedziały nieruchome, nadęte, ze złożonymi czubkami i spały syte mordem.

Na dziobach i pazurach miały śliskość świeżej posoki.

Cofnął się Rosomak, ognisko rozdmuchał i znowu omamiał głód tytoniem.

A tymczasem świat się budził, rozbarwił, rozśpiewał z taką ochotą i zapalem, że aż zarażony tym leśny człowiek począł nucić półgłosem:

Co dzień z rana rozśpiewana
chwał, o duszo, Maryję!...

— My som! Wodzu! — rozległo się za topielą. Porwał się Rosomak.

— Witajcie! Przynieśliście sznury?

— Całe mnóstwo.

— Zwiążcie razem. Przytwierdźcie jeden koniec do brzozy na brzegu, ciśnijcie mi tu drugi z hakiem. Weź cały rozmach, Żurawiu, bo Pantera kaleka!

— Aha, będzie poręcz w braku mostów. A może mamy chodzić po linie? — wołał Pantera.

— Ty nie dworuj, ale wracaj pędem do chaty, przynieś strzelbę i cztery świeże naboje!

— Co się stało? Ryś tam może siedzi?

— Gorszy zbrodniarz! Śmigaj, chyża Pantero!

Sznur padł w wodę niedaleko sosen. Rosomak go dostał, przytwierdził do drzewa i po chwili Żuraw wylądował obładowany.

— Chleba! — upomniał się Rosomak. Dostał pełną torbę.

— Na kogo śmierć? — zapytał Żuraw.

— Zaraz ci pokażę.

Tymczasem jadł chleb, mlekiem popijał, aż pokraśniał na czerniawej twarzy.

— Barć jest?

— Jest, na tej sośnie z krzywą rosochą¹⁷. Nie wziąłeś przypadkiem dłutka i małej piłki?

— Wziąłem.

— Toś zuch!

— Ano, tyle lat w twojej szkole. Wykształciłem się. A u nas nowina! Przyleciał ze dworu chłopak, że jakiś do ciebie gość przyjechał.

— Kto? Co za lichy!

— Mówił, że jakiś panicz.

¹⁶pohybelnik — niebezpieczne, grząskie miejsce.

¹⁷rosocha — rozwidlony pień drzewa; także: poroże.

— No, szczęście, że nie jaka stara ciotka. „Panicz” może poczekać. Jest tam co jeść i na czym spać. No, syt jestem.

— To mi pokaż zdobycz.

— Poczekaj na Panterę. Nie można bestii płoszyć.

Czekali tedy, z cicha gwarząc o swym bycie. Aż ukazał się laufer Pantery: po sznurze biegł Kuba, przywitał wodza i śmignął na sosny. Za nim mozolnie chlupał po wodzie, skakał po pękach łoży Pantera.

Zabrali się i wstali do pochodu, gdy Rosomak, patrzący za Kubą, wskazał nań ręką.

Wiewiór wracał z gąszczy bez tchu — po ziemi, oglądając się ze zgrozą.

Dopadł Żurawia, wcisnął mu się za bluzę, głęboko, aż pod pachę. Dygotał całym swym mizernym ciałkiem i pisał żałośnie.

— Co mu się stało?

— Zobaczył kata lasu. Chodźmy, ino po łowiecku, cicho!

Wziął Rosomak strzelbę, założył naboje i z gotową do strzału ruszył.

Podkradli się bez szelestu. Wtedy lufę podniósł w górę, a oni za nią poszli wzrokiem.

— Mnisze plemię grabicieli, zbójów! — szepnął.

— Junkier Eduard i Kunigonda! — dopowiedział Żuraw.

— Bić, wodzu! — warknął Pantera.

Strzał padł, po sekundzie drugi. Eduard gruchnął z gałęzi, jak gromem rażony, Kunigonda miała tylko czas skrzydła rozwinąć i zawisała na nich już martwa w świerkowej gęstwinie.

— To był dubelt mistrzowski! — zawołał Pantera.

— Kiedyś, gdy byłem głupi i myślałem, że wolno zabijać, uchodziłem za dobrego strzelca! — rzekł Rosomak, stawiając strzelbę pod drzewem. — Ale dzisiaj nie zabijałem, tylko spełnił wyrok. Na zasadę siły przed prawem przychodzi dzień sądu i wypłaty. Niech mi las potwierdzi, że mam prawo mścić! A teraz szukajmy gniazda!

— Na ziemi?

— Odrowąż mi mówił, że się gnieździ byle gdzie: na pniaku, na kępie, przy pniu. Zresztą poznamy po trupiarni. Patrzcie, co tu piór i kości. O, zielone czapki kaczorów, resztki czajczych czubków, cietrzewie, lirowate sterówki. A ot, świeżutki zajęc marczak. Słyszałem jego śmiertelny jęk tej nocy. Weselniki barwne, kraśne, młode, oszalałe wiosną i miłością, tu łupem były nienasyconego obdziercy, żarłoka, grabiciela. Wszystko grozą swych szpon jarzmił i pożerał. Toć ten jego ostęp — to cmentarzysko całej puszczy. Nikt nie miał prawa do życia i bytu, tylko on.

— Wodzu, tu na świerku jest jakaś kupa gałęzi, ale ja się nie wdrapię! — zawołał Pantera z gąszczy.

Poszedł Rosomak między obwisłe gałęzie i z trudem przeciskał się ku górze.

— A jakże, stare orłowe gniazdo zagrabił i swój przeklęty leg umieścił. Jest troje młodych. Jeszcze białe, ledwie wyklute, a już kłapią szczękami i w rękę mnie dziobią. Może żywcem wziąć i wychować na niewolników?

A wtem spod świerka rozległ się żaloszny okrzyk Pantery:

— O zbrodniarzu! Toć tu leży skórka z naszego Tupcia!

— Co znowu! — zawołał Żuraw. — Alboż jeden jeź w lesie. Pokaż, ja poznam. Gdy mam nóżkę opatrywał, musiałem jeden pazur obciąć.

Zamilkł, więc Rosomak spytał:

— No i co?

— Tak! Nie ma naszego Tupcia! — odpowiedział Żuraw, a Pantera rozjuszony krzyknął:

— Nie żyć przeklętego płodu! Łby im pokręcić!

Rosomak cisnął na ziemię gniazdo i leg.

— Szczęńjcie do ostatniego! — warknął.

Leśny człowiek spełnił odwet puszczy.

Wrócili pod sosnę-przodownicę i założyli obóz.

— Na przyszłą wiosnę ten ostęp stanie się ptasim wyrajem. Zatokują tu głuszcze-brodacze, będą kuć dzieciocy, mysikróliki powieszą kunsztowne kołyski, w świerkach osiadą gołębie. Wrócą tubylce radne, zapobiegliwe, niedrapieżne, wesołe i łagodne. Teraz ci uczynili pustynię!

— Powiesić je po śmierci!

— Nie. Zabiorę i pięknie spreparuję. Zastąpią tę naszą na wpół przez mole zjedzoną sowę, co ją używasz na wrony jesienią. A teraz — do barci!

— Jeślim ci niekoniecznie potrzebny, idę do chaty! — rzekł Żuraw. — Puchnę od żądał jak potwór, a Kuba nie daje się z zanadru wydobyć, pogryzł mnie, podrapał i bezustannie się trzęsie z lęku.

— Mądry jest. Tupcio, nocny włóczęga, ufał swym kolcom i ot, jak skończył. Tak, Kuba, nie ma jak rękaw ze starego kozucha. Tam cię i junkier Eduard nie znalazł i nie złupił.

Poszedł tedy Żuraw do chaty i tam dopiero Kuba ośmielił się na świat wyjrzeć, ale od tej pory przestał zupełnie od domu się oddalać, nawet na wabienie rudej zalotnicy.

NOWI PRZYBYSZE

Nazajutrz po straceniu pary morderców wśród nocy Żuraw się zbudził na kołatanie do komory.

— Zaraz, zaraz! — zamamrotał i spał dalej.

— Mamy urodziny. Córka! Matka i dziecko zdrowe! — zawołał zza drzwi Pantera..

— Srokate?

— Jak jesienne kasztany, co się dzieci bawią.

— Czy mam wstać? — rozbudził się Żuraw.

— Nie. Przepadło ci honorarium!

— Potrzebnieś budził!

— Śpiochy! Nie żal to taką noc wiosenną przespać? Idę na spacer.

— Tupcio tak uczynił i źle skończył.

Rano każdy zajął przede wszystkim do nowego domownika, niosąc Łatanej Skórze różne smakołyki.

Żrebiątko, trochę jeszcze chwiejne na nóżkach, wyzierało już ciekawie na boży świat, od boku matki nie odstępując.

— Istna karta geograficzna — zaśmiał się Żuraw.

— Frontowa będzie panna! — pogłaskał ją Rosomak.

A Pantera zawiązał na cienkiej szyjce krasną kitajkę¹⁸ „od uroku”.

A potem, śmiejąc się, rzekł tajemniczo:

— Żurawiu, widziałem dziś w nocy, jak „domowy” wlaź na półkę i coś włożył do garnuszka. Pewnie dla ciebie prezent.

— Może sam zobaczysz. Ja mam dość tych prezentów.

Ale Rosomak się zaciekawił i zajął na półkę do garneczka.

— Zaczny „domowy”! — rzekł wyjmując coś szarego, okrągłego, wielkości cytryny.

— Co to? — spytał Żuraw nieufnie.

— Tupcio drugi. W małym wieku, ledwie mu kolce ze skóry wychodzą. Gdzieś go znalazł, Pantero?

— W nocy, na ścieżce do krynicy. Szła mama pierwsza, rozfukała się na mnie strasznie; za nią czworo takich pędraków.

— Tupcio był jeszcze mniejszy. Prawie goły. Ulokujemy go w skrzynce, we mchu i liściach suchych, jutro już będzie mleko chleptał.

— Ja go biorę na wychowanie! — ucieszył się Żuraw.

— Czeladka się pomnaża. Dojdziemy do okazałego inwentarza! — rzekł Rosomak, zasiadając do śniadania, a potem zaraz zabrał się do preparowania puchaczy. Zajął cały stół i tak się w tej trudnej robocie zagłębił, że ani palił, ani mówił, ani oczu nie podnosił, ani słyszał, co tamci mówili.

W ogóle nawet nie wiedział, czy istnieją. Aż stanął nad nim Żuraw.

— Słuchaj no, a ten gość, co czeka we dworze?

— Nie zasłaniaj mi światła! — mruknął, operując lancetem skórkę młodego.

— Rzekł Diogenes! — zaśmiał się Żuraw. — Ale i chleba nie mamy wcale, i kartofle się kończą.

¹⁸kitajka — bawełniana lub jedwabna tkanina.

Milczenie. Ostatnie cięcia — skórka była oddzielona. Rosomak z triumfem dzieło swe oglądał.

— Nawet mistrz Łastowski¹⁹ pochwaliby mnie — rzekł. — Teraz arsenikiem zabezpieczyć i wypchać.

— A masz takie pomarańczowe oczy?

Zastanowił się Rosomak.

— Mam, ale czym zabrał pudełko?

Poszedł do komory, chwilę zabawił.

— Właśnie, że pudełko w biurku we dworze! — rzekł frasobliwie.

— Dzięki Bogu. Z tej racji może obmyślisz, jak by się do dworu dostać.

Zapalił Rosomak fajkę i z westchnieniem się zdecydował.

— Ano, to pójdę. Napisz mi na kartce żywnościowe braki. Wezmę stamtąd furę i do Tęczowego Mostu fernal przywiezie. Mam w Bogu nadzieję, że ten gość tymczasem się znudził i wyjechał. O, dolo ciężka! Trzeba się przebierać i z tego rajy iść! Żeby nie to pudełko ze szklanymi oczami, to bym się nie ruszył.

Sprzątnął swe preparaty, przebrał się, dał Panterze moc poleceń i poszedł.

— Jeśli ten gość czeka i zechce parę dni go tam zatrzymać, to mu wieszuję wesołej zabawy! — zaśmiał się Pantera.

— Zapomniałem zapisać na kartce, żeby zabrał gazety! — syknął Żuraw.

— Nie troskaj się! I tak nie zabierze! Kto by i kiedy tu czytał! Bardzo nam potrzebne wiadomości o rewolucji w Meksyku, o zamieszaniu na Bałkanach, o kursie pieniędzy lub o trzęsieniu ziemi w Kalabrii. Daleko ciekawsze, czy nasze pszczoły wychowują matkę z tego czerwiu, cośmy im dali; czy dudek zajmie skrzynkę, czy wyszły z wody kładki do Odrowąża i czy znajdzie gniazdo bąka lub remiza, a chociażby czarnego bociana, bo nam tego brak do kolekcji. Wiesz, popłynę pod tę olchę — może się sum trafi!

Popłynęli. Wzięli ze sobą specjalne podwójne siatki na długich drągach i skradali się milcząco. Pantera wiosłował, Żuraw kierował czółnem, ledwie muskając wodę. Wąskimi przesmykami wydostali się na jezioro: leżało ciche, gładkie jak szyba, prawie bez śladu prądu rzeki, która je przecinała, zwężając się na przeciwległym kącie i niknąc wśród czarnych nawisłych łóz i olszyny.

O tej godzinie przedwieczera kwietniowego rojnie było na toni. Szeptem Pantera Żurawowi ptaństwo wyliczał:

— Patrz tam, para perkozów, a tam nur przelotny — już zniknął — kaczki z sitowia wypływają — o! rybitwy!

— A tam u brzegu, widzisz? Łabędzie!

— Przelotem bywają. A ryby jak się rzucają!

— O wiele woda spadła. Pokazują się już pale po starym młynie. Hej, kiedy on tu stał, chyba przed wiekiem — teraz topiel! Skręcaj powoli ku olchom!

— Pod którą spróbujemy?

— Ano, pod tą z suchym czółnem, gdzieś się wtedy skąpał.

— Dobrze czółno w poprzek postaw i zamocuj szostem. Razem równo zakładajmy siatkę, ino czółna nie odpieraj, bo pójdziemy na dno. Ino się nie gorączuj!

Żuraw zaciął zęby, bo mu dzwoniły z wrażenia łowieckiego. Zbliźali się do brzegu nieznacznie, zdradziecko, oczami się porozumiewając. Pantera wskazał wystającą gałąź olchową, zdjął swój pas, zawiązał w pętlę i o sęk zaczepił. Wtedy napad odbył się z błyskawiczną szybkością.

Zanurzyli w wodę drągi z siecią, objęli nią jamę czarną. Pantera, trzymając koniec pasa w zębach, lewą ręką wiosłem uderzył w wodę, zamącił aż pod korzenie.

— Jest! — krzyknął Żuraw, czując uderzenie w sieć.

— Porywaj, wyciągaj, do czółna! Gwałtu, pilnuj, wyróci czółno! Bij w łeb, ogłusz! Do brzegu, do brzegu! — wołał Pantera i sam swe własne rozkazy spełniał.

Oplątany w oka podwójnej sieci, miotał się w czółnie potwór czarny, śliski, z olbrzymią głową. Łódź tańczyła, nabierała wody, lada moment mogła się wywrócić. Pantera

¹⁹Łastowski, Antoni — specjalista-preparator, zawodowo zajmujący się wypychaniem zwierząt, właściciel istniejącej od 1848 roku w Warszawie Pracowni Wypychania Ptaków i Zwierząt.

z zębów pasek puścił, siecią olbrzyma do reszty oplątywał. Żuraw chwycił za wiosło, rozchybotane czołno ku niezaroślemu brzegowi parł, zajechał w krzak łozy, za gałęzie chwycił i unieruchomił. Obydwaj byli wodą zlan i potem, zdyszani, zziązani i szczęśliwi zdobyczą.

— Uf! a to ci patriarcha! Będzie ważył parę pudów²⁰ — rzekł Pantera, wywlekając z trudem olbrzyma z siecią na ląd.

— Wyrzucam sobie, żeśmy bez Rosomaka na ten połów ruszyli — rzekł Żuraw.

— Mało on ich miał przez życie! Zresztą rybactwem się bawi, ale pasja jego to ptaki. Teraz żywo się zbierajmy, bo nas czeka ciężka robota, nim go sprawimy. Żywcem go też nie dowieziemy, bo czołno przewróci. Zoperuj go po doktorsku, a ja popłynę po mój pas. A obejrzyj, czy ma w sobie but żandarma.

— Jak to?

— Odrowąż dowodzi, że taki wielki to ludojad i specjalnie żywi się żandarmami.

— To może lepiej puścić go do jeziora z powrotem, kiedy taki zacny uprawia proceder.

— No nie, bo ja też na zimowe posty chcę mieć wyżerkę.

— Ano, to szukam buta! A głowę to bym rad spreparować.

— Bez fatygi ci to mrówki zrobią. Znam jedno mrowisko jak stóg; tam ją zakopimy.

Po godzinie już płynęli z powrotem. Jezioro zmieniło wygląd, bo się wiatr zerwał i napędzał chmur z zachodu. Parno było, zbierało się na burzę.

— Namagaj, bo nie zdążymy przed deszczem! — oglądał się Żuraw niespokojnie.

— Okrutnie miło być na wodzie, jak pioruny „łaskają” — śmiał się Pantera.

— O! już chmury biorą pęd. Zaraz, jak tabun roz hulany, pójda. Trzask, ot i z bata błyskawica pali. Będzie taniec!

Zakotłowało się w chmurach. Zygzak — błysk — grom padł, wicher skręcił czołno i nagle lunął deszcz. Jezioro — niebo stało się jedną masą wody, czarnych chmur, piany, fal, oślepiających błysków i huku, jakby świat cały w drzazgi się rozpadał.

Żuraw począł co prędzej wyczerpywać wodę z czołna, bo tonęło prawie, a Pantera przestał wiosłować i wyprostowany na nosie czołna, cieszył się ulewą, gromami, nawałnicą, jakby największą przyjemnością.

Nozdrza miał rozdęte, usta roześmiane, oczy iskrzące, na każdy piorun odpowiadał okrzykiem i hulalo mu w duszy jakąś żywiołową rozkoszą.

— Do brzegu! Toniemy! — krzyknął Żuraw.

— Et, bajki! Nie utoniemy! — zaśmiał się niefrasobliwie. — Zaraz minie! Ot, hulanka! Ot, szczęście, taką mocą być, tak używać!

Jednakże raczył zwrócić czołno do brzegu i o łożę zahaczyć.

Potem w mig wiosłem nadmiar wody wyrzucił.

— Przeszło! Szkoda! — rzekł patrząc w niebo. — Teraz trzeba dobrze grzebać wiosłem na rozgrzewkę! Aleć cudnie było!

I zawrócił na rzekę.

Znowu toń była gładka, niebo błękitne, rozegrały się ptaki, zapachniało powietrze. Gdy przybili, koło chaty nie było śladu szału, tylko znak widomy został: rozdarta gromem od szczytu do korzeni brzoza u krynicy.

Łatana Skóra zarżała do nich ze stajenki i z rękawa swego wytknął pyszczek Kuba.

— Żurawiu, jeść! — zawołał Pantera.

— Zaraz ogień rozpalam. Dać ci suche szatki?

— Nie warto! Dopiero jak suma urzędę, to się „przemienie”, jak mówił Odrowąż.

— Jak się taką bestię urzędza?

— Przede wszystkim trzeba z całej skóry zetrzeć szlam i śluz popiołem, potem wiechciem i wodą zmyć do czysta, potem poćwiartować jak wieprza i zasolić. Za parę dni sporządę z beczi wędzarnię i uwędzę. Łeb dziś jeszcze w mrowisku zakopię.

— Tyle roboty! Zaraz ci przyjdę pomagać.

— Niechaj! Wieczerzę uwarz! Mnie po tej burzy, jak po szampańskim! Ani bym usiedział!

Dźwignął potwora na plecy i zwałił go wśród polany na trawę. Z rozmachem, ze śpiewem, z gwizdaniem zabrał się do mozolnej roboty. Parowała na nim koszula, tak się

²⁰pud — rosyjska jednostka wagi, ok. 16 kg.

uwijał; ale gdy skończył, dobytek uprzętnął i do wieczerzy zasiadł, przestał mówić, śmiać się i ledwie zjadł, do alkierza swego się skrył.

Żuraw myślał, że się przebiera, ale gdy zdziwiony ciszą zajrzał, Pantera spał, jak kamień, w mokrej odzieży i chodakach. Zaczął go trącać, wołać — bez najmniejszego skutku, więc mu tylko chodaki zzuł i tak go zostawił, sam zresztą też zmęczony i senny.

Nazajutrz przesпали i żurawi hejnał, i ptasi ranny chór, zbudził ich dopiero ryk Hatory, rżenie klaczy i pisk Kuby.

— Oj, burza naniósła komarów! — rzekł frasobliwie Pantera, siadając do śniadania. — Lada dzień chmary będą tego plugastwa. Trzeba okna siatkami zabezpieczyć i szyszek zrobić zapas na „kurodym”. Małej Łatanej Skórze chyba koszulkę poszyję, bo ją żywcem zjedzą. Na tę plagę to nawet Rosomak ratunku nie wymyśli.

— Owszem, całą zimę jakieś ingredience mieszał i mówił mi, że ma kilka środków na próbę. Jak myślisz? Będzie on dzisiaj z powrotem?

— Wątpię, jeśli gościa zastał. Przed wieczorem skoczmy do Tęczowego Mostu na spotkanie. A może mu jakiego figla spletać? Wystraszyć?

— Rosomaka? Wystraszyć? — zaśmiał się Żuraw. — Znasz co, czego by się bał?

— Eh, może bym i znalazł, ale bestia nic po sobie nie da znać, to i frajdy nie ma. Będę wędzarnię urządzał. Kazał ani też szczap smolnych nakopać i kosze rybne zrewidować. Ale przede wszystkim muszę podpatrzyć, czy dudek o skrzynkę konkuruje.

Poszedł i przepadł w borze. Po drodze zapomniał o wszelkiej robocie i musiał po swojemu używać, bo zjawił się o południu podrapany, w rozdartej bluzie i w jednym tylko chodaku, a z mnóstwem najświeższych wiadomości.

— Przyleciały już wilgi. Cieciorka siedzi na ośmiu jajach. Cyranka ma gniazdo przy błocie: będzie suche lato. Czeczota jest na brzozie, jak bochen. Zabiłem żmiję, co się skradała do gniazda gajówki. Znalazłem gniazdo ziemnych trzmieli i dobrałem się do miodu. Trochę cierpki, ale niezły.

— A wędzarnia, smolne karpy, kosze rybne?

— Głupstwo! Po obiedzie wszystko sprawię.

Jakoż odrobił sumiennie ranne próżniactwo. Rąbał, ciosał, dźwigał i przed wieczorem już był gotów iść na spotkanie wodza.

Zostawili Kubę na gospodarstwie i poszli. Bór, deszczem skąpany, jak czar był cudny. Stawali chwilami i brali w siebie piękno wiosennego rozkwitu oczami, uszami, całą piersią i byli skupieni majestatem arcydzieł. Wreszcie zatrzymali się nad strugą graniczną. Od zachodzącego słońca paliła się toń, jak roztopione złoto, daleko, długo.

— Dziś nie Tęczowy, ale Złoty Most do naszego rajcu.

— A mieni się jak adamaszek. To zarybek się bawi! — Wyciągnęli się na trawie, nadśluchiwali.

— Nie słycać wozu. Ale poczekajmy. Będą tą smugą kaczki ciągnęły. To ich trakt.

Ale wiecznie niespokojny Pantera poruszył się rychło.

— Zaraz w tej nieruchomości zasną — mruknął i zaczął wycinać piękne łożowe pędy i zgrabnie obłuskiwać łyka na chodaki.

— Jada! — szepnął Żuraw.

Nastawili uszu, zaparli oddech.

— Jada. O, spłoszyli sarnę. Poszła w leszcze. Jada. Słycać od ziemi turkot. Nawet gadają. Odezwijmy się po naszymu.

Huknęli. Długi zew i urywany odzew. Czyste echo pobiegło po wodzie, odbiło się od lasu i powtórzyło odzew. Nadśluchiwali.

— Czemu Rosomak nie odpowiada?

— Z kimś rozmawiał? Co to?

W głębi dalekiej zamajaczyły końskie łby — zachlupała woda.

— Co to? Ktoś jedzie z Rosomakiem.

— No, fernal.

— Fernal jest trzeci. Zmykajmy!

— Co znowu! Jeśli Rosomak kogoś wiezie, to gość. Może Odrowąż?

Patrzyli, wóz się zbliżał.

Obok Rosomaka siedział chłopak w gimnazjalnej czapce i czarnej bluzie.

— Jakiś smarkacz. Potrzebne nam dzieci! — mruknął Pantera.

— Już wiem! — szepnął Żuraw. — To pewnie Stefan pani Anny.

— Wodzowej siostry syn, urwipoleć!

Żuraw tylko głową skinął, bo wóz był już tuż i Rosomak ich pozdrowił.

— Witajcie! Rekruta wiozę!

Wóz wylądował i stanął. Fornal zaczął wyladowywać zeń różne tobołki; oni się witali. Rekruta obejrzeni bacznie a nieufnie leśni ludzie.

Miejska murowa stonoga! — nazwał go w duchu Pantera niechętnie.

Pajęczyna! — zdecydował Żuraw.

Ale dopust losu trzeba z rezygnacją znieść, więc obydwaj podali chłopcu prawicę.

— Wuj mi obiecał, że będę tu razem pracował — rzekł niepewnym głosem.

— No nie — poprawił Rosomak — obiecałem ci tu byt, jeśli się do niego nadasz. Bierz na plecy swój kuferek i ruszajmy!

Fornal nawrócił zaprzęg i odjechał. Pantera zarzucił sobie na ramię największy worek. Żuraw z Rosomakiem obladowali się resztą i poszli.

Rekrut zarzucił sobie na ramię kuferek i podążył za nimi, potykając się na korzeniach. Ściemniało; nie było śladu ni drogi, ni ścieżki; gałęzie były po twarzy, jakieś odrośle niskie chwytaly za nogi, ciężar kufierka dolegał.

A tamci szli lekko, cicho, prędko i niknęli jak widma w gąszczu.

Chłopak po chwili spotniał, zadyszał się, serce mu biło, ogarnął go lęk i wstyd. Zaciskał zęby, walczył ze sobą, ale czuł, że nie podoła. Wreszcie gałąź zerwała mu czapkę; zaczął jej szukać, a gdy znalazł, ujrzał się sam w gąszczu.

— Wuju! — zawołał z przest్రachem.

Ale zamiast wuja Pantera ku niemu wrócił.

— No i co tam? Ustałeś?

— Nie. Tylko mi czapkę zdarło i straciłem was z oczu.

— Czapkę zdarło, boś się lasowi nie uklonił, a to wysoki pan i możny. Respekt trzeba przed nim mieć.

— A gdzie tamci?

— Poszli. Nie będziemy cię wszyscy niańczyć! No, toból ci cięży. Daj no! — pomogę.

— Dziękuję panu. Dam radę.

— Tutaj „pan” jest bór, a „pani” — woda. Ja jestem leśny „ludź” — Pantera. Nie udawaj, ręce ci dygocą z wysiłku. Masz, przewlecz ramię kufierka przez tę gałąź — ot, tak, bierz na ramię, ja też, i ruszajmy! A stąpaj w nogę, równo: lewa, prawa, lewa, prawa!

— A czy my nie zbłądzimy tak bez drogi — rzekł po chwili chłopak.

— Jak to bez drogi? Toć szlak, jak pocztowy, drzewami sadzony.

— A co to błyszczą przy ziemi? To pewnie wilcze oczy się świecą.

— Gdzie? Ach, to? Świeliki latarki zapaliły.

— Co to?

— No, świętojańskie robaczki. Złapać takich dziesiątek do szklanki, to czytać można, jak przy świecy. No, czemu skaczesz?

— Bo coś szeleści pod nogami. Pewnie żmija.

— Żmije śpią w nocy. Żaba ci spod nóg skoczyła. Idź prosto, nie targaj!

Chwila milczenia. Nagle chłopak się wzdrygnął, wpół kroku stanął; kuferek spadł z drążka na ziemię.

— Co to? — szepnął.

— A bodaj cię! Co znowu!

— To, co krzyknęło tam w prawo?

— Sowa! Ot, siedzi na sęku. Prędeż! Zbieraj twój toból! Tym pędem to i na wieczereż do chaty nie zdążym, a moja chudoba²¹ czeka doglądu.

Znowu szli w milczeniu. Chłopak strzelał oczami na wsze strony niespokojnie, trwożnie. Samotność, cisza, przerywana nieznanymi odgłosami, rozstrajały go rozpacznie.

— Proszę pana, to jest, proszę Pantery, i wam wcale tu nie straszno? Tak samym?

— Tu jest moc mieszkańców. Ot, posłuchaj: beczy kozioł, bełkoce cietrzew, żaby rajcują, błotniaki wszystkie wrzeszczą. Tu więcej życia niż w mieście.

— Ale ludzi nie ma!

²¹chudoba (gw.) — inwentarz żywy; gospodarstwo, skromny dobytek.

— No to właśnie najbezpieczniej. Co jest gorszego dla człowieka niż drugi człowiek?
— Ale tak ciemno!
— Zaraz elektryczność na niebie zapala. A zresztą lęka się tylko głupi. Co jest strasz-
nego w borze i co złego tu może spotkać? My tu między swoimi!
— Jeszcze daleko do domu?
— Niedaleko. Nie czujesz dymu?
— Nie. A co znaczy dym?
— No, wieczrę warzą.
— To tamci już są w domu?
— Już dawno. Przecie nie pełzną jak my!
— Bardzo trudno iść prędko.
— No, no, nie próbuj, bo upadniesz! Ot, już widać światło w hacie.
— Dzięki Bogu! — szepnął chłopak.
— Hej, wy tam! — rozległ się głos Rosomaka.
— My! — odrzyknął Pantera.
— Bywajcie! Chcieliśmy już iść was szukać.
— Blisko tego.

Spotkał ich Rosomak przy furtce.

Pantera cisnął na ziemię worek, kuferek.

— Uf, co tam jest tyle ciężkiego w tym tobole? Macie rekruta. Ja lecę do Hatory i klaczy.

Chłopak znalazł się w jasno oświetlonej izbie, odetchnął bezpieczny i zaczął się ciekawie rozglądać.

— Pozdrów Królową! — wskazał mu Rosomak obraz.

Przeżegnał się i spytał skwapliwie:

— Może mam co robić?

— Będziesz wszystko robił jak i my. Tymczasem spocznij na ławie.

— Jak tu cudnie!

— Nie śpiesz z zachwytem, aż się wżyjesz! Będziesz mieszkał w sieni. Jutro odzienie i obuwie zmienisz i dostaniesz zajęcie.

— Ciekawym, jakie! — zawołał Pantera, wchodząc do izby z wiaderkiem mleka. — A także ciekawym, jak tego nowego przybysza będziemy wołać. Ja już mam dla niego nazwę! — zaśmiał się.

— Jaką? — spytał chłopak.

— Coto! Gdyśmy szli, co krok wołał: co to, co to, co to?

Żuraw postawił na stole misę jakiejś polewki; obsiedli stół.

Chłopak dostał łyżkę drewnianą, kromkę czarnego chleba i patrząc, jak oni czynią, zaczął czerpać ze wspólnej misy.

— Co to? — spytał po chwili.

Wszyscy się zaśmieli.

— Nie inaczej! Dobrze cię ochrzcił Pantera. Będziesz Coto, zanim na inną nazwę zasłużysz. Pytasz, co jemy? To polewka z ryb.

— Z sumą! Wiecie, wodzu, żeśmy ułowili takiego, jak się rzadko trafia. To był tydzień wielkich łowów: puchacze, sum!

— No i nowych przybyszów: źrebię, Tupcio i Coto.

— I kosięta się wyległy w szopce Hatory!

Coto chciał spytać, co to kosięta, ale się zawstydził. Postanowił sam się dowiedzieć rano.

Po wieczry zawołał go Żuraw do pomocy przy zmywaniu statków, przy czym chłopak się bardzo zabrudził i potłukł miskę; potem go wezwał Pantera i poprowadził po drabce na strych, gdzie naładował olbrzymi wór siana.

— Będziesz na tym spał, rekrucie Coto. Schodź ostrożnie po drabinie, żebyś siebie nie urządził jak miski! — Macie, już leży!

Chłopak zaczął obcasem o szczebel i spadł do sieni, szczęściem na siennik. Zerwał się zawstydzony, ale Żuraw z Rosomakiem karmili małego Tupcia i nawet się nie obejrżeli, a Pantera, zeskakując zgrabnie i lekko ze strychu, rzekł:

— Szczęście, żeś nie gliniany, bo nie starczyłoby cię na długo. Tu sobie pościel na ławie i spocznij po tylu wrazeniach.

Chłopak chwilę stał bezradny. Jakże miał spać bez łóżka, bez poduszki, bez mocnej komódki i dywanika pod nogi? Kuferek gdzieś został na dworze, a na samą myśl, by go szukać w nocy samemu, dreszcz go przeszedł.

A nikt się nim nie zajmował. Żuraw z Rosomakiem przeszli do komory; Pantera zgasił lampkę, zmęczony setnie, legł w swym alkierzu i zasnął natychmiast. Trochę tylko mrok sieni rozjaśniała lampka od obrazu i chłopak usiadł na sienniku, bliski płaczu.

Drzwi wejściowe nawet na klucz nie były zamknięte, w lesie coś szemrało, chodziło, wołało, po izbie coś się snuło: nie, nie sposób zasnąć!

Nieszczęsny Coto zaczął w duchu wymyślać matce, wujowi, swej doli, całemu światu. Potem wyczerpał cały zapas buntu i goryczy, przymknął oczy, bo go paliły od wiosennego wiatru i słońca, a potem już nic nie pamiętał, bo zasnął.

Zasnęły też kosięta pod skrzydłami matki i źrebię u stóp Łatanej Skóry, która, drze miąc stojąco, budziła się na każdy szelest i dotykała nozdrzami dziecka, jakby mówiła: nie bój się, śpij, ja nad tobą czuwam!

Tylko małeotni Tupcio, wierny tradycji rodu, biegał drobnymi kroczkami po całej chacie i tępił zawzięcie wszelakie owady, które się zakradły ze dworu.

COTO

Rosomak wypychał puchacza. Brak wprawy wyrównywał zawziętością i amatorstwem. Ponieważ zawadzał w izbie, rozłożył pracownię w komorze i po trzech dniach dzieła dokonał.

— Udały się! — rzekł triumfująco do Żurawia.

— No i wreszcie zajmiesz się czymś innym — mruknął bez humoru Żuraw.

— A co tam pilnego?

— Przede wszystkim chłopak.

— Poszedł w las szukać gniazd. Chce zebrać kolekcję jaj.

— Nic nie znajdzie, bo się wszystkiego boi. Gdzieś pewnie niedaleko siedzi w gąszczu i czeka obiadowego sygnału. Trzeba się nim zająć, kiedyś go nam tu na umartwienie sprowadził.

— Co miałem robić! Nie mógł zostać tam we dworze, bo by uciekł po kilku dniach, a siostra mnie błaga, żeby go przetrzymać parę miesięcy, bo bardzo wyczerpany naukami, przeszedł tyfus i zakochał się w czterdziestoletniej profesorowej, i chciał się strzelać.

— Chciałbym wiedzieć, co my na to pomożemy i dlaczego mamy go niańczyć!

— Zapewne dlatego, żeby nam tu nie było za dobrze. Ja go obserwuję. Parę dni bawiła go nowość, teraz przechodzi okres tęsknoty, nudy i wspomnień „nieszczęśliwej” miłości; przefermentuje, przegryzie się i odżyje.

To rzekłszy, Rosomak, którego nic bardzo nie wzruszało, co nie było przyrodniczą osobliwością, zapalił fajkę, obładował się swymi ptaszniczymi przyrządami i ruszył w las.

Przede wszystkim odwiedził pszczoły.

Opodal barci stanął i patrzył.

„Naród” się snuł tu i ówdzie, zda się jak zwykle, ale po obserwacji twarz leśnego wodza zaczęła się rozjaśniać, promienieć, aż się ułożyła w cichy uśmiech radosny. Dla niego miał wyraz brzęk owada, jego ruch, jego sposób wchodzenia przez szparę-wrota. I słyszał wyraźnie to, co wreszcie sam wymówił za nimi:

— Matka jest.

I wtedy dopiero usłyszał gdzieś opodal w łozach głos ludzki gniewny, skarżący się i poznał głos Cota.

— Proszę Pantery, co to za życie! To dobre dla starych albo dla mizantropów. Zresztą — dla dziwaków i odludków. Ale ja kocham i ja chcę żyć! I mnie nikt nie zrozumie! Ja tu nie chcę być, ja tu oszaleję! Ja tak strasznie za nią tęsknię!

— Ciężka bieda! — ozwał się głos Pantery. — To czemuż nie drapniesz stąd? Ja cię na skraj lasów wyprowadzę i leć do łubej. Tuś nam też tak potrzebny, jak zdun w lipcu.

— Kiedy matka mi nie dała pieniędzy.

— To sobie na drogę zapracuj!

— Gdzie, jak?

— A ot! Ryb nałów, ususz, torbę naładuj i sprzedaj. Albo wyszukaj gniazdo remiza, strzyżyka lub czyża. Wódz mówił, że to można sprzedać do kolekcji. Ja bym na twoim miejscu i tygodnia nie zwlekał. Za czym człowiekowi tęskno, to trzeba dostać. A zresztą możesz „na gapę” pod ławką w wagonie jechać. Żydzi tak robią dla miłości rubla, to i ty możesz przez miłość dla kobiety.

Coto umilkł. Wszystkie te sposoby nie trafiły mu jakoś do gustu.

— Żebym ja mógł pożyczyć pieniędzy na drogę — bąknął.

— Hm! — odparł Pantera. — A skądże oddasz?

— Mama musi mi dać.

— Na podróż do ukochanej? To by ci od razu w Warszawie dała, zamiast tu przysyłać, gdyby chciała twym amorom dogadzać. Na taki interes nikt ci nie pożyczycy. Całkiem bieda, rekrucie Coto! Zamiast takiej pożyczki oszukańczej, zrób szczerzej i prawdziwiej: zacznij się w nocy przy trakcie i obedrzyj słabszego i głupszego. Albo stań pod kościołem i lamentuj: litościwe osoby, choć grosik dla poratowania zranionego serca!

— Pantera żartuje, drwi ze mnie!

— Co zaś! Jakbym w twojej desperacji był, to bym tak zrobił.

Tu Rosomak, czując potrzebę interwencji, rozsunął firankę łoży i wynurzył się za plecami rozmawiających. Coto zerwał się przerażony. Pantera zaświecił zębami w uśmiechu i dalej obdzierał łożę z kory, kunsztownie zwijając łyko na chodaki.

Rosomak wziął się też do tej roboty, zawstydzony chłopak stał, nie wiedząc, co ze sobą robić.

— Wszystko to racja — ozwał się Rosomak, jakby od początku do rozmowy należał.

— Nudno ci tu, boś głuchy i ślepy na ten świat, co cię otacza. Te oczy i uszy otwierają się zwykle później w życiu, jeśli się w ogóle otwierają, bo większość ludzi organów tych nie posiada i zupełnie braku ich ani potrzeby nie czuje. Racją też bardzo despotyczną w osiemnastym roku życia jest miłość i bardzo tej twojej chorobie współczuję, bom ją też w swoim czasie przechodził. Żebyś jednak, wedle rady Pantery, stąd umknął do Warszawy, swej ukochanej tam nie znajdziesz, bo wyjechała z dziećmi do Ciechocinka.

— To ona ma dzieci? — zaśmiał się Pantera.

— Czwooro. W tym córka piętnastoletnia.

— Coto! — zawołał Pantera tonem zgrozy i śmiechu.

— Wcale mu się nie dziwię. W jego wieku kochałem się na zabój we wdowie, która miała wnuka. Ale nie o to chodzi. Pytam, czy chcesz, abym ci dał pieniędzy, byś wbrew woli matki, no i zapewne w tajemnicy przed nią, jechał do Ciechocinka, do pani profesorowej?

— Ja, proszę wuj, chciałbym wrócić do Warszawy, bo ja tu czuję się taki niepotrzebny — i nudzę się.

— Do Warszawy odesłać cię nie mogę, bo na prośby matki tu jesteś. Cóż byś zresztą tam robił? Wiesz, że matka pojechała ze starą ciotką do Odessy. Więc się namyśl do jutra! Jeśli postanowisz jechać, pójdziemy stąd do domu, gdyż tu pieniędzy nie mam nigdy; tam je dostaniesz i napiszesz mi kwit, że na stanowcze swe życzenie opuszczasz mnie i odjeżdżasz do Ciechocinka. Muszę mieć dla twojej matki ten dokument.

— Nie, wuju, nie potrzebuję do jutra się namyślać! Tak nie chcę.

— Więc czego chcesz?

— Chciałbym, chciałbym, sam nie wiem, chciałbym tu czymś być, coś zrobić!

— Nie być rekrutem Coto!... — zaśmiał się Pantera.

— No, to zrób parę chodaków, kosz na ryby, sidła na ptaszki, tysiąc rzeczy najłatwiejszych i prostych. Wierzę, że ci się nudzi, kiedy żyjesz w takim ludnym kraju, ani mowy, ni obyczaju ludu nie znasz, ba, nawet i nie rozpoznajesz jednego oblicza od drugiego. Chcesz, zadam ci siedem robót, a jak je spełnisz, to ci obiecuję spełnić siedem twoich życzeń.

— Wuj się na mnie gniewa? — szepnął chłopak nieśmiało.

— Ani trochę. Rozumiem cię i chciałbym, żebyś się przemógł, ale krępować nie chcę. Tu wszystko żyje swobodnie i w górę — ku słońcu. Zanim Pantera ci te siedem robót wymyśli, chodź ze mną, pokażę ci tutejszy tłum. — Popatrzył na słońce i dodał: — Mamy półtorej godziny do południa.

Coto spojrzął na zegarek:

— Wuj na minutę nie chybił. To sztuka!

— Ja większą sztukę potrafię — rzekł Pantera. — Wódz musi na słońce spojrzeć, a ja ino kiszek posłuchać. I wiem, na jakie idziesz widowisko. Wódz posadzi Edwarda czy Kunegundę na *starku*, wleziecie pod *szaterek* i będziecie *kuwiekać*²² na ptaszki. Ja ci jutro pokażę podobne widowisko u wodopaju przy Tęczowym Moście.

Ruszyli. Rosomak spytał:

— Znalazłeś już dużo gniazd?

— Nie mam szczęścia. Łażę i łażę, drapię się na drzewa: znajduję puste.

— Nauczę cię. Uwważaj! Tu, u nas, na drzewie, w drzewie, na krzaku, na ziemi, na kępie, na wodzie lęgnie się ze trzysta gatunków ptactwa. Z tego siedemdziesiąt najmniej można znaleźć tuzinami łatwo, reszta wymaga większych starań, a już ze trzydzieści należy do wielkiej sztuki obserwacji lub wprost szczęśliwego wypadku. Mam kolekcję dwustu gatunków, a teraz rocznie przybywa mi ledwie po kilka, a są takie, których szukam od kilku lat bezskutecznie. Ty nie kolekcjonowałeś niczego w życiu?

— Ach, owszem: owady, marki pocztowe, monety. W tym roku jakoś się zniechęciłem.

— Piszesz pewnie, tworzysz?

— Skąd wuj wie? Mama pisała?

— Nie. Ale kto uważa, ten poznaje dużo obyczajów, nawet ludzkich. W maju wszyscy mają świetne szaty i śpiewają. Kto z ludzi ma osiemnaście lat, przeżywa maj. Pisz, chłopcze, śpiewaj, marz!

— Ja bym jednak chciał znaleźć te gniazda, których wuj szuka od tylu lat.

Uśmiechnął się Rosomak.

— Dobrze. Tymczasem pokażę ci, jak się szuka tych dwustu, które już mam. — Zwolnił kroku i wskazał, nie przystając, krzak czeremchy.

— Widzisz tam, na lewo, o metr nad ziemią, ten pęk kwiatów i ciemną plamkę? Tam siedzi na pięciu jajkach gajówka mniszek. Pan ma kapturek czarny, pani rudy. W południowych godzinach pan panią wyręcza w nudach wylęgania. Ona tam, ot, na tej brzozie czyści pióra i rozpręza skrzydełka.

Coto wytrzeszczył oczy, wreszcie stanął. Z czeremchy wyfrunął „pan” spłoszony, zatrwożyła się „pani”, patrzyli ze zgrozą na potwora, co rozchyłał gałęzie krzaka.

— Mogę wziąć jedno jajko? — spytał Coto.

— Jeśli jasne, to jest mało załęgłe. Inaczej zniszczeje przy wydmuchiowaniu.

— Mam początek kolekcji! — ucieszył się Coto, pokazując zdobycz. Rosomak sięgnął do jednej ze swych kieszeni i dał mu szklaną tubkę założoną watą. Było już na dnie rdzawo nakrapiane jajeczko.

— A to czyje?

— Sikory czubatki, znalazłem je wczoraj w starym wiewiórczym gnieździe.

Coto zaczął oglądać każdy krzak czeremchy.

— Pilnuj też jałowców! To kopalnie gniazd. A ot na brzozie kunsztowna kobiałka zięby; widzisz, przyklejone do tej rosochy jakby zgrubienie pnia.

— Wdrapię się!

— Jazda!

Poskoczył chłopak. Wdrapywał się dość niezdarnie, wreszcie obłamała się gałąź i spadł.

— Czekaaj!

Rosomak wyjął z torby sznur z hakiem na końcu, zarzucił zgrabnie na rosochę.

— Masz pomoc. Opasz się końcem, masz węzeł w środku, wciągaj się.

Wciągnął się Coto.

— Co za cudny koszyczek, wyłożony czerwonymi, jedwabnymi nitkami; dwa jajka, jak kamyki szarosine w plamki ciemne.

— Weź jedno! Dopiero lęg zaczęły, może się nie doliczy.

— Ale jak zniosę na dół?

— Ano w dziobku, jak kukulka swoje podrzuca.

Coto z ostrożnością umieścił zdobycz w tubce.

²²*kuwiekać* — wabić.

— Ależ wuj ma oczy! — zachwycił się.
— Leśnego „ludzia”, jak mówi Pantera. Ja wiem, gdzie kto mieszka w moim świecie!
— trafiam!
Teraz Coto zaczął się potykać, bo oglądał każdą brzozę i czeremchę.
Raptem spod nóg porwała mu się malutka żółto-szara ptaszyna.
— Wuju, tu coś jest! — zawołał gorączkowo, padając na ziemię.
— Jest świtunka lub piecuszek, nie uważałem, tak, świtunka, bo samczyk lamentuje,
słyszysz: pi — pi — pi! Ostrożnie, bo rozdepcesz. Domek ma wejście z boku, przy ziemi,
może pod tą suchą paprocią. Masz?
— Nie, tu nic nie ma.
— Dobrze schowana. Szukaj, nad słuchując lamentu; im głośniejszy, tym jesteś bliżej.
Zupełnie jak dziecinna zabawa w „ciepło i zimno”.
— Jest, jest! Otworek, na ziemi, mnóstwo jająt, jak pacioreczki!
— Weź jedno i umykajmy, bo strasznie lamentują!
— Wuju, to już naprawdę moja znajda, pierwsza?
— Tak, ino nie mów Panterze, bo cię przezwie piecuszkiem lub świtunką przy leśnych
chrzcinach.
— A kiedy będą moje leśne chrzciny?
— Gdy ci się otworzą leśne oczy i uszy i gdy poczujesz leśną duszę w sobie.
Coto przyglądał się szarej polance, pokrytej zeschlą trawą.
— I jak się to uchowa? Pod każdą stopą, bez żadnej ochrony? Na pastwę wszystkiego!
— Uchowa się. Za kilka tygodni wyleci gromadka, będzie się radować latem; jesienią
powędruje za morze, ani dba, ani się troszczy! Ma wielką moc w sobie, słucha Prawa
i wierzy, że życie dostała, by żyć, a zatem żyć będzie. Właściwy byt ziemi stanowią słabi
i mali, a posłuszni swemu zadaniu. Słyszysz go? Już się raduje! Potwór minął, samiczka
wróciła do chałupki, a on tam na najwyższych czubach olszyn uwija się, żeruje i niewielki
śpiewak powtarza swą melodyjkę: cilp, calp, calp! Cilp, calp, calp! Od wczesnej wiosny
do późnej jesieni go słyszę i muszę się do niego uśmiechać, takie to zabawne.
— Teraz i ja go słyszę, i zapamiętam.
Rosomak przystanął.
— Widzisz ten olbrzymi jałowiec? Od trzech lat znajduje się tam gniazdo dzwońca.
Co roku pewnie je ta sama para dobudowuje wyżej, że aż stąd widać mech. Zobacz, czy
szczęśliwie przezimowały i czy mieszkają.
Coto poskoczył, rozchylił z trudem zwarte igliwie, wspiął się na palce.
— Są trzy jajka — błękitne, czerwone cętki!
— Ano to szczęśliwie wróciły! Niechże się latem cieszą!
— Wuj to każde drzewo zna.
— Prawie. Są znajomi bliżsi i dalsi. Są wybitne osobniki w tym narodzie: jedne
wiekiem stare, inne urodą wspaniałe; inne wdziękiem za oczy chwytające. Nie ma dwóch
jednakich — ino trzeba patrzeć. Tu można patrzeć, poznawać, rozróżniać, aż się żyje
wśród wielkiego towarzystwa, złożonego z tysięcy jednostek. Nawet ich charaktery poznać
można, obcując jako my. Żuraw z Panterą imionami zwał różnych znajomych i całe historie
o nich prawią, gdy w niedzielę oddajemy wizyty.
— Jak to?
— Ano, zobaczysz! Pojutrze niedziela.
Szli chwilę w milczeniu, wreszcie Coto się odezwał:
— A jakich gniazd wuj dotąd nie znalazł?
— Podróżniczka, remiza, strzyżyka i trzciniaka świerszcza. No — i czyża, który wedle
legendy kładzie doń jakiś kamyk, co je czyni niewidzialnym.
— Ale ja i o tych ptakach nigdy nie słyszałem ani je znam. Wuj mi da ornitologię.
— Pięć, w różnych językach, z barwnymi tablicami.
— To wracajmy do domu! Zaraz się biorę do roboty.
— Wróćże sam, ja jeszcze zboczę w te łozy.
Coto obejrzał się bezradnie.
— Nie trafię.
— Spróbuj! Kieruj się ciągle na wschód! Po drodze miniesz polankę z wielkim świer-
kiem, który ci ma być po lewej ręce, potem przejdiesz około trzech brzóz — jedna ze

złamanym wierzchem — i znajdziesz we wrzosach ścieżkę. Przy starej choinie, gdzie kupę szyszek naniósł dzięcioł, skreć na prawo i tam już trafisz na szlak do Tęczowego Mostu. Jakbyś zbłądził, nie denerwuj się, usiądź i słuchaj: niebawem Żuraw z chaty da sygnał obiadu. Wtedy posłyszysz klekotkę Hatory łakomej i ta cię na polanę doprowadzi.

Coto pokręcił frasobliwie głową, westchnął i zawrócił.

Rosomak poczekał, aż zniknął w gąszczu, i uśmiechając się, z daleka ruszył za nim. Chłopak zabląkał się po chwili, zaczął kluczyć, kręcić się w prawo i w lewo, wreszcie po wielkich trudach dobrnął do polanki ze świerkiem. Wtedy posłyszał sygnał obiadowy, a wnet „bambole” Hatory.

Gdy jej rogaty łeb ukazał się w chaszczach, Coto odetchnął i puścił się jej śladem, na nic nie zważając. Ale Hatora też nie pilnowała się żadnego szlaku: rznąła prosto — łozy nie łozy, błoto nie błoto, ruczaj nie ruczaj.

Szczęściem, że była syta, więc się zbytnio do obroku nie kwapiła, bo by jej nie sprostał.

Zziajał się, zamoczył, podrapał twarz i ręce, aż spocony wydostał się na szlak szerszy i ujrzał przed sobą śmiejącego się Panterę.

— Po łoskocie myślałem, że jakiś niedźwiedź zmartwychwstał i goni Hatorę. A to ci pilno do miski, rekrucie. Brniesz jak łoś, na prostki, przez bagno!

— Pantera wie, że sam, sam znalazłem gniazdo świtunki? Mam jajko!

— Drozdowa co dzień w kurniku też znajduje jajka! Taka sztuka! Świtunka! Wielka mi parada! Ja znalazłem hajstra.

— Co to takiego?

— Czarny bocian leśny. Wódz się ucieszy. Niedaleko było tego miejsca, gdzie łośę darł.

— Będziemy razem wydmuchiwać!

— Razem to trudno, ale zaraz ci pokażę, jak się robi, ino chudobę obrządę.

Pobiegli obaj do osady. Oparty o płot, już Rosomak czekał.

— Nie zbłądziłeś? — spytał.

— Owszem, ale uratowała mnie Hatora.

— Nie łże — będą z niego ludzie! — rzekł Pantera.

Coto poprosił zaraz o podręczniki i nawet nie czuł głodu, tak się tablicami zajął.

— I to wszystko, to mnóstwo tu jest, żyje, gnieździ się, śpiewa! — zawołał zdumiony, gdy zasiedli do posiłku.

— Alboż tylko to! A saki, a gady, a owady, a rośliny! Tu jest tylu mieszkańców na ziemi, co gwiazd na niebie.

— Ludniej niż w mieście stołecznym.

— Tylko wybieraj, z kim chcesz zawrzeć bliższe stosunki. Damy ci listy polecające; ja do ryb i gadów, Żuraw do badylów, wódz do ptasiego rodu! — rzekł Pantera.

— Onegdaj byłem proszony na wesele jaszczurek z Wdowiej Polany. Galanto²³ się odbyło: pan młody miał zielony fraczek, panna młoda kostium popielaty, bo zaraz pojechali na miodowy miesiąc pod wykrot wśród wrzosów. Sikory, naturalnie, plotkowały, żaby grały, drozd odśpiewał: *Veni Creator*²⁴; były różne mowy i przemowy familii, alem zapomniał, co prawili — wiem tylko, że w posagu był pień zmurszały pełen liszek i mrowisko przy nim.

— Do ptaków mam największą ochotę.

— To wodza stosunki. Ale jak cię gadzina utnie, to nie będziesz gada lekcewał. A węzowego króla ze srebrnym kamyczkiem na głowie wódz ci nie pokaże, a ja wiem, gdzie mieszka.

— No i „domowego” też mu pewnie pokażesz — uśmiechnął się Żuraw.

— Daj no tymczasem jaja do spreparowania! — rzekł Rosomak.

Zajął się Coto, zainteresował, ciągnęło go do tablic i do tekstu, i do kolekcji, i do poszukiwań, i ledwie doczekał się końca południowego obrządku i rozporządzenia zajęć i wypraw, po czym pełen zapалу znalazł się na ścieżce, obładowany sporą torbą, krocząc za Rosomakiem, który niósł na ramieniu rozwidloną tykę, a w ręku wypchanego puchacza.

²³galanto (gw.) — elegancko, porządnie.

²⁴Veni Creator Spiritus (łac.) — Hymn do Ducha Świętego.

Wyszli na piaszczyste polany, z rzadka brzoźkami i sośniną porośnię, i zatrzymali się wreszcie u wielkiego krzaka jałowca. Spojrzał Rosomak na słońce.

— Trochę za wcześnie. Długo posiedzimy, ale to dobra dla ciebie próba. W ptasznym zawodzie należy mieć cierpliwość indyjską. Ptactwo najruchliwsze jest rano i wieczorem, o południu lubi sjęść. Masz dobry wzrok?

— Niezły.

— No to zajmujemy stanowisko!

Na szczycie drążka umieścił puchacza i wbił tykę mocno w ziemię, tuż przy jałowcu. Z torby wydobyl coś w rodzaju namiotu z lekkiej zielonkawej tkaniny i rozstawił na patykach, nadając jej kształt jakby rozszerzenia krzaka; na szczycie przytwierdził pęk sosnowych gałęzi. Wsunęli się obydwaj do środka, zasunęli wejściową szparę.

— Usiądź jak najwygodniej i nie ruszaj się! Myśliwi na cietrzewich tokach siedzą w budkach z gałęzi, na mrozie, czasami sześć godzin — to ciężkie; trzeba cierpieć, bez ruchu. Nam tyle czasu nie trzeba. Tyka nazywa się w starym języku łowieckim *stark*, a nasza kryjówka *szaterek*. Teraz wyszukaj w tkaninie parę okrągłych otworów i wyglądaj!

— A na co polujemy?

— W ten sposób można polować na jastrzębie, wrony, sroki, sójki. Nie znoszą one puchacza i ledwie go dojrzą, napadają z wrzaskiem. Kiedyś miałem żywego w tym celu i przez jedną jesień zastrzeliłem różnych rabusiów sto kilkadziesiąt sztuk.

— To szkoda, że wuj nie wziął strzelby.

— Teraz niechętnie mieszam się do spraw tego państwa. Nie czuję się w prawie wydawania wyroków i spełniania kary. Tutaj panuje ład i większy od mojego rozum. Wszystko w tym świecie się wiąże, uzupełnia, spełnia jakiś obowiązek, służy jakiemuś wielkiemu, często dla nas niezrozumiałemu prawu, utrzymuje przemądrą równowagę. Obserwując, przekonałem się, że kto staje się nad prawo zuchwały, silny, drapieżny, nawet za liczny, bywa doprowadzony do miary wyrokiem Władzy, co tym rządzi. I już chyba bardzo rzadko, gdy mnie zaślepi mój rozum, występuję czynnie w obronie małego i słabego. Patrzaj, uważaj! Jak zwykle, pierwsze sikory dojrzały puchacza i popłoch wznoszą. — Zniżył głos i objaśnił:

— Sikor mamy pięć gatunków, tych pospolitych. Ta żółtawa z czarnym krawatem — to bogatka — największa i najzwyczajniejsza; tamta na brzoźce — to modraczka, istny błękitny klejnocik. Uboga sosnowka i czubatka jeszcze nie dosłyszały wieści. A oto zlatuje zięba, samiec z ceglastą kamizelką, no i rozumie się, buńczuczny karzeł — wołowe oczko, ten by na orla się rzucił. Widzisz?

— Widzę! Jakże to cudne!

— Oho! Już i reszta drobiazgu w sukurs leci. Rudzik, ten z pomarańczowym przodem, gajówka, mniszek i malutka piegża, i żółtawy zaganiacz, i kropkowana spodem muchołówka. Patrz, co za gromada! A teraz flegmatyczne poświerki się ruszyły. A wszystko łąje, wymyśla, klnie, urąga, jedno drugie podjudza. Wiec!

— A ten taki cętkowany, co tak szyję wyciąga i głowę kręci?

— To krętogłów! Spryciarz, symulant. No, ale teraz musimy ratować puchacza. Już skrzeczą sójki i sroki, i ot! jastrząb wisi nad polaną. Skończone widowisko, bo dojdzie do awantury, polecą pierze z puchacza i nasza sztuka drugi raz się nie uda.

Rosomak rozsunął płótno i rozprostował członki. Śpiewaczka rzesza rozproszyła się, obsiadła dalsze drzewa, rajcowała, cudowała, wreszcie rozpięzchła się po lesie, roznosząc żalostną wieść.

— Zbójca ze Starych Chojarów ukazał się w jasny dzień na Wdowiej Polanie! O dolo, o losie! Wrócił, wrócił!

— Cyt, cyt, cyt! — uspokajały sikory. — Leśny duch go dojrzał, ukazał się, pojmał go, uwięził! Cyt, cyt! Za kratę wsadzi!

— A jak nie uwięzi, to nic, to nic, to nic! Ja mu jutro oczy wydziobię! — woła zziązany królik malutki.

A Rosomak wracał z Cotem, i ten, cały przejęty, „wydawał” lekcję.

— Już niektórych znam, tych barwnych: zięba, rudzik, modraczka, bogatka! Mam w oczach! Teraz będę czytał ze zrozumieniem.

— Zaludnia ci się pustka tutejsza. — Tu Rosomak uszu nastawił na jakieś fujarkowe gwizdanie i skręcił w tym kierunku.

Natknęli się na Żurawia, który, idąc zamyślony, zasluchany, pogwizdywał na fletni z wierzby.

— Kosy ci będą odpowiadać, tak doskonale je naśladujesz.

— Jak się dobrze wsłuchasz, odnajdziesz rytm kujawiaka w kosiej arii.

— Dokąd idziesz z workiem na plecach?

— Ano, piątek! Chleb nam mieli dostawić do Tęczowego Mostu.

Rosomak pozbył się swego ładunku, ukrył pod płachtą puchacza.

— To chodźmy też na koncert!

Ruszyli ścieżyną za Żurawiem.

— Teraz słuchaj! Nie patrz, nie myśl, tylko słuchaj! — szepnął do Cota.

Zbliżał się późny, pogodny, majowy wieczór, pora najświetniejszych arii.

Coto oczy przymknął, cały się w słuch zamienił. Zrazu słyszał tylko gwar, potem zaczął w zgrai akompaniatorów i orkiestry rozróżniać solistów.

Na tle monotonnego poszumu puszczy i akordu żabiego ze szczytów drzew brzmiała pieśń, duet srebrnego gwizdania. Flecik Żurawia powtarzał głos tenorowy, pierwszy.

— To drozd-śpiewak i kos popisują się! — szepnął Rosomak. — Kos trzyma prym! — jakby wyrwasy taneczników, krótkie przyśpiewki mieszały się z duetem.

— To zięby i trznadle hulają i dwuwiersz poddają.

— Hej ha! Chłopcy z dziewuchami, ostro!

— Brawo, brawo, brawo! — rzuciła przelatująca kukulka.

A wtem zgłuszył i zakasował duet mistrzowski trel słowika.

Rosomak kapelusz uchylił.

— Cześć, mistrzu Bekwarku! — uśmiechnął się.

Lutnista opanował całą rzeszę śpiewaczą. Górował nad chórem i orkiestrą, zmógł wszystkich. Kunsztowna, pełna lkań, namiętych zwierzeń, miłosnych szepków, zapamiętałych przysiąg i zachwytów, płynęła pieśń miłosna wiosny.

Uciszyło się wokoło, ludzie przystanęli zasluchani. Żuraw flecik swój wsunął w zana-drze.

Nagle pieśń się urwała. Rosomak wskazał na szary cień przenikający wśród gałęzi.

— Bandyta! — rzekł.

— Sowa zbój, zbój, zbój! — zapaplały sikory czujne i popędziły w ślad za nią.

W głowie Cota formowały się słowa, rytm, napływały rymy. Czuł, że napisze śliczny sonet.

A oto stanęli nad Tęczowym Mostem.

— Zostań tu! Za chwilę wrócimy — rzekł Rosomak, wchodząc z Żurawiem do brodu.

Plusk i rozmowę ich słyszał zrazu Coto, a potem zajął się znowu koncertem.

Tu nad wodami nie było solistów, tylko gwar wiecowy, okrzyki, oklaski, gwizdy, śmiechy, nawoływania, przerywane ponurym warczeniem bąka.

Aż surmy żurawie zagrały donośnie hejnał wieczornej straży.

Obładowani tygodniowym zapasem chleba wyszli z brodu Rosomak z Żurawiem.

— A co to krzyczy tak przeraźliwie? — spytał Coto.

— To ze swych letnich legowisk pułki żurawi tak co dzień witają i żegnają słońce. Czas do chaty.

Gdy stanęli na polanie, znaleźli Panterę zajętego ściąganiem z trawy i z gałęzi upranej bielizny. Hatora i Łatana Skóra ze swą miniaturką-córeczką chodziły za nim, dopominając się obroku, Kuba pokazywał łamane sztuki na lipie, ogień błyskał z chaty.

— Zrewidowałeś kosze rybne, Pantero? — spytał Rosomak.

— A jakże, alem ryb nie sprawił. Czekał na Cota.

— Owszem, owszem! — ofiarował się ochoczo chłopak, porywając mokry worek na specjalną do tej roboty ławkę przy wodzie, i zapamiętałe zabrał się do dzieła.

— Wariacie, zapal *kurodym* i okryj plecy płachtą, bo cię komary pożrą! — wołał mu Pantera.

Istotnie plaga błot była klęską tego rajy, ale Coto postanowił znieść cierpienie jak czerwonoskóry Indianin i nawet gwizdał przy robocie.

Po chwili Rosomak przyszedł mu z pomocą i dym fajki odpędził chmarę komarów.

— Widzę, że nasz rekrut chce się do szczepu leśnych ludzi wkręcić — rzekł Pantera, stając nad nim.

— Chcę! — rzekł Coto, rękawem ocierając twarz, że stała się krwawa.

— I wydaje ci się bohaterstwem dać się na łup komarom. A właśnie obroń się im — to leśna sztuka. Patrz, nam mniej dokuczają. Wódz broni się fajką, Żuraw jakimś octem swego wynalazku, a ja mam ziele. Mała Łatana Skóra już by zdechła, żebym jej nie smarował codziennie trzy razy.

Ruszyli do chaty z oczyszczonymi rybami i Coto spytał:

— A właściwie kiedy ja będę leśnym „ludziem”? Mnie się zdaje, że już wiele rzeczy umiem, już nie błędzę, ptaszki rozpoznaję.

— A leśnego ducha widziałeś? Nie zląkłeś go się? A byłeś w nocy w puszczy? A szedłeś przez trzęsawiska, co się gną pod nogami, jak skorupa? A pływać umiesz? A wiesz, co robić, jak cię w wodzie kurcz chwyci? A potrafisz się poratować, gdy cię daleko od chaty zmija utnie? Hej, hej, rekrucie, daleko ci jeszcze do bytowania w tym raj! —

Nauczę się! — uparcie rzekł Coto.

Zasiedli do wieczerzy i Żuraw rzekł:

— Oznajmiam, że kładki do ludzkich siedzib musiały już z wody wyrzucić, bo miałem już dziś pierwszą pacjentkę: baba z febrą i wrzodziakami. Bardzo się ucieszyła, że jesteście, i skończone moje dni spokojne!

— Można by kładki popsuć.

— Chłopi jak bobry — zreperują w mig! Trudno, trzeba radzić, przysięgłem! — westchnął Żuraw.

— Pojutrze niedziela, Coto! — rzekł Pantera. — Dotąd nie bywałeś z nami, boś popłakiwał po krzakach, ale teraz wiedz, że w święta po pacierzach ruszamy kupą w las i każdy się chwali jakąś osobliwością, którą przez tydzień wypatrzył. Trza i tobie z czymś wystąpić.

Jutro cały dzień szukaj leśnego ducha. On lubi w dzień siedzieć pod wykrotami lub w świerkowych gąszczach. Maleńki jest, tylko głowę ma wielką i jeden róg na czole. W nocy cały świeci jak próchno.

Tu Pantera złapał myszkującego pod stołem Tupcia i usadowił go na kolanach, podał mu miseczkę z ikrą i wątróbkami rybimi i gładząc po złożonych igłach, dalej prawił:

— „Domowego” naszego chatnego także jeszcze nie znasz. Jest w każdym domostwie taki skrzat, co psoci lub pomaga, stosownie do humoru. Nasz ze mną żyje w zgodzie, wódza szanuje, ale dla doktora nie ma żadnego respektu. A początek niechęci stąd, że doktor nasypał kiedyś na podłogę zielonego lukrecyjowego proszku. Skrzat, strasznie łakomy na słodczyce, zjadł, no — i odtąd znenawidził Żurawia. Prawda?

— Musiał ci się skarżyć! — roześmiał się Żuraw. — Ratowałeś go pewnie w przypadłościach.

— Coto! — zawołał Rosomak — słuchaj Pantery, potem ci kiedyś stary Odrowąż jeszcze więcej cudów borowych opowie. Ale to sobie zapamiętaj: jeśli chcesz być leśnym „ludziem”, musisz w sobie zatracić lęk, gniew, wychować zaś w sobie, aż cię zupełnie ogarnie, miłowanie wszystkiego i wszystkich, co tu z tobą żyją i bywają pod bożym słońcem. A teraz spać; jutro o świcie pójdziesz ze mną daleko, na starą porębę. Będziemy kopali pnie na szczapy.

Coto wyszedł jeszcze przed chatę. Oswoił się z nocą tyle, że powędrował aż na polanę, unikając jednak bliskości gąszczy, i chwilę stał, nasłuchując.

Noc w puszczy nigdy nie ma majestatycznej ciszy nocy pół: w głębiach boru zawsze coś szumi, szeleści, czai się, przemyka, błyska, chrzęści. Żerują, rabują, mordują w ciemnościach.

Dwa ptaki poczęły krążyć nad polaną lotem nietoperzy, rozległo się żalosne „pau”, „pau”, skrzydła musnęły po skroni chłopaka; gdzieś niedaleko zatrzeszczała sucha gałąź pod niewidzialną stopą. Zawrócił szybko do chaty.

A każdy z nich pójdzie w tę noc, w te ciemności, drogi nie zmyli! — pomyślał i westchnął. Miał w sobie lęk!

Ale gdy się znalazł pod dachem, uczył się bezpieczny, znużony, senny.

Rozebrał się prędko i zasnął, oswojony już ze swym twardym posłaniem.

Zbudziło go miarowe stukanie w ścianę tuż przy głowie. Zerwał się i nagle ujrzał straszną zjawę.

W głębi sieni, przy ścianie, patrzała nań twarz świetlana, wielka, jarząca, żywa. Mrugały oczy świecące, poruszały się usta szerokie, jakby coś mówiły lub chichotały bez dźwięku. I całe to unoszące się w powietrzu widziadło, zda się, płynęło ku niemu. Chłopak, zrazu skamieniały z wrażenia, wrzasnął nieludzkim głosem i rzucił się ku drzwiom, w ciemności nie mogąc odnaleźć klamki.

Ale drzwi się otworzyły i głos Rosomaka spytał spokojnie:

— Co ci, chłopcze?

— Wuju, tu coś strasznego się ukazuje!

Jasna poświata nocy objęła sięń; widziadło znikło.

— W ciemności widzialne! — szepnął Coto, trzymając się rękawa Rosomaka, który drzwi zamknął. — Widzi wuj?

— Widzę! — odparł, kierując się ku zjawie, i roześmiał się zapalając zapalkę. — Oto dlaczego wciąż mi brak tutek szklanych! — rzekł. — Pantero! — zawołał głośniej.

Milczenie. Tedy poszedł do izby, zapalił lampkę i przyprowadził Cota do mniemanego ducha.

Do ściany misternie na nitkach i ćwieczkach przytwierdzone były, tworząc dwoje oczu, nos i wielką gębę, szklane tutki, pełne świętojańskich robaczek. Wszystko to jarzyło się, ruszało, kłębiło. Coto patrzył zawstydzony, ale go Rosomak pocieszył.

— Nie dziwię się, żeś wrzasnął. Ale to spryciarz! No, trzeba to biedactwo wypuścić na swobodę, a że już na świt się zbiera, pójdziemy powitać las przed *ledwuchną*.

— To ptak?

— Skowronek borowy. Tak go zwie nasz szanowny Kluk kanonik.

Pozdejmował całe urządzenie, zajrzał do alkierza.

— Pantera prysnął na nową wyprawę, figiel spletawszy! Bądź gotów na to, że to nie ostatni, i wypleniaj lęk.

Wyszli na podsienie chaty i usiadłszy na podwalinie, ozuli chodaki. Świat był ledwie perłowy, a głębie przesycone rosą i ciche. Ruszyli ścieżynami niewidocznymi, a mówili szeptem, nie śmiać ciszy mącić. Rosę, moc powietrza i słowa Rosomaka wchłaniał w swą młodą duszę Coto.

NIEDZIELA

Dzban świeżego mleka i bochen chleba postawił na stole Żuraw, nie rozpalając wcale ognia na kuchni; więź kwiatów Pantera przyniósł i obetkał nimi obraz Królowej; z komory Rosomak wyniósł dla każdego czystą odzież i bieliznę.

— Niedziela! — zaśmiał się Coto i pobiegł do kąpieli, zostawiając na przyzbie, na pokaz wszystkim, pierwszą parę własnoręcznie splecionych łykowych chodaków.

Był z nich dumny jak z arcydzieła, toteż mocno się stropił, gdy za powrotem ujrzał je w rękach Pantery.

— Masz drugą parę na zapas? Bo my dziś cały dzień w pochodzie; obiad w torbie, wrócimy dopiero na noc do chaty. A to partactwo i dwóch godzin nie wytrzyma. Patrz, na podeszwie nie zawleczono podwójnie, uszy przedrą się od sznurka, pięta nie osłonięta. Będziesz kuszykał boso od południa.

I cisnął pogardliwie arcydzieło.

— No, nieźle! — zdecydował pocieszająco Rosomak po obejrzeniu.

A Żuraw popatrzał i dał chłopcu z zapasu inną parę.

— Zostaniesz boso, żmija cię utnie i będę miał kram z leczeniem! — zdecydował.

Arcydzieło zostało wyrzucone za płot.

Wypucowali się, przebrali, zjedli śniadanie i poszli wszyscy pod krzyż. Rosomak odmówił pacierze, odśpiewali „Kto się w opiekę”.

Coto był przejęty ceremonią i zgorszony, że go Pantera wciąż trącał i oczami pokazywał ptasią skrzynię lęgową, zawieszoną wysoko na brzozie.

Ledwie skończyli, Pantera krzyknął:

— Wodzu, dudek jest w tej skrzynce!

— Widziałeś?

— A jakże! Jakiśmy śpiewali: „Ciebie on z łowczych obieży wyzuję”, łeb wysadził i czub nastawił, taki ufny! Pokazywałem Cotowi, ale nie zrozumiał, że kolegę tam ma!

— A jak się nazywa dudek po łacinie? — spytał Coto.

— Pewnie Coto *vulgaris*.

— Radzę ci nie cytować łaciny, bo Pantera cię przezwie i tak zostanie! — zaśmiał się Rosomak, patrząc z radością na brzozę.

— To już który nowy mieszkaniec skrzynek? — Zaczął liczyć: — Pierwsze osiadły wszędobylskie sikory: bogatka, modra i uboga, potem czarne mucholówki, krętogłów, następnie szpaki, dzięcioły, dudek siódmy.

— Ósme szerszenie, dziewiąte rude myszy — cytował Pantera — no, i my w naszej skrzynce! Dziesięciu osadników w puszczy.

— Jazda! — zakomenderował Rosomak. — Torby z jedzeniem na ramię, siekiery za pas; każdy jakiś sprzęt do swych kolekcji i zdobyczy. Chałupę kolkiem zatknąć, obrok dla towarzyszy postawić u płotu — i w pochód!

Zakrzętał się każdy i poszli.

Dzień był świąteczny, pogodny, za upalny nawet.

— Poświęci nas majowy deszcz po południu — rzekł Żuraw, rozglądając się po niebie.

Idący na czele Rosomak zaintonował ich leśny hymn. Radosna pieśń objęła las i ich dusze jakimś żywiołowym junactwem²⁵.

Powiedziesz ty, powiedziesz nas,
Na ten słoneczny szlak,
Gdzie kwitnąć sercom i pieśniom czas,
Gdzie szumu czeka uśpiony las,
Gdzie czeka lotu ptak!

— Kto ma zdobycz osobliwą, niech idzie na czoło i prowadzi! — rzekł Rosomak.

Żuaw się wysunął: — Mam dwa kwiaty i grzyba.

Szli teraz bez ścieżki, jakimś fantastycznym zygakiem, omijając to skłębione gąszcze, to grzęzawice.

— Żeby cię tak tu zostawić samego! — rzekł Pantera do Cota.

— Spróbujcie, wybrnę! — odparł zuchowato.

Wreszcie w jakimś zadrzewionym mokradle, złożonym z brzoź, podszytych zielskiem, stanął Żuraw i wskazał.

Sam jeden — plama barwy i subtelnego wdzięku — wznosił się smukły kwiat o fantastycznej formie.

— Kwiat pewny, zwany trepkim królowny. Kwiat nie większy od lilii polnej! — zacytował Żuraw i zaraz przypadł do ziemi, by całość rośliny zdobyć do swego zielnika.

— Szkoda! — rzekł Rosomak. — Tak cudnie wykwił wśród chwastów, sam jeden, jak piękna dusza wśród ordynarnego tłumu. Wykopać go, z wielką bryłą przenieść do ogródka!

— Racja! Zrobię to jutro.

Rozkoszowali się widokiem długą chwilę, aż Pantera, szpiegujący wzrokiem gałęzie drzew, rzekł do Cota:

— Widzisz tę brzozę przy haliźnie, ze zgrubieniem przy konarze, na lewo?

— Widzę! — odparł ten po chwili szukania.

— A widzisz takie czarne dutki, co z tego zgrubienia na wsze strony wychodzą?

— Widzę.

— A wiesz, co to jest?

— Mech.

— Po wierzchu, a wewnątrz?

— Wewnątrz? Pewnie narodził na drzewie.

— Wewnątrz ze siedmioro ptaszków: a to czarne, co na zewnątrz wychodzi, to ich ogony.

— Nie może być! Pójdę, obejrzę.

²⁵junactwo — odwaga, dzielność.

— Idź ostrożnie, bo tam grząsko. To mieszkanie jeszcze jednej sikory. Raniuszek, cały ptak mały jak orzech, tylko ogon taki wspaniały. Jakim cudem tyle się tego zmieści w tej mchowej chałupce, bo bywa czasem dziewięć sztuk? Ale na ogony trzeba ściany dziurawić.

— Wuj ma takie gniazdo?

— Mam! Zresztą tego ruszyć nie można, bo zamieszkałe.

Gdy Coto dotknął brzozy, by się na nią wdrapać, zaruszał się mchowy domek.

Z otworu, misternie okrytego, z boku zaczęły wyfruwać białe kulki puchu; nadlecieli rodzice, powstał zgielk, pisk.

Jedno tylko pisklę dostał do rąk Coto; obejrzał, pocałował i puścił do kompanii.

— Śliczności! — rzekł wracając. — Doprawdy, do kwiatów podobne. Żal mi, że spłoszył.

— Nic to! Czasami takie małe żarłoki zamęczają rodziców za długo. Patrz, jakie to już lotne. Dadzą sobie radę!

Ruszyli dalej, coraz głębiej zapuszczając się w bagna; wreszcie znaleźli się wśród istnego łąnu irysów w kwiecie.

— Złote pole. Idziemy do Oka Czarnego — rzekł Pantera. — Żuraw pokaże nam wodne чудо. Tylko baczność na kładkach!

Jakoś weszli na jakieś bierwiona śliskie i okrągłe i Coto wpadł jedną nogą w czarną bezdeń. Wyrwał go Rosomak, ale chłopak spotniał z wrażenia lęku otchłani i tak stracił przytomność, że go wzięto za pas i prowadzono jak ślepego.

— Boże, czy to jeszcze daleko? — szeptał wreszcie z rozpaczą.

— No już! Podnieś głowę i patrz!

Stali nad taflą czarnej, nieruchomej wody, pokrytej kobiercem kwitnących grzybieni. Staw miał ramę z olch i ponurość jego, samotność, skrytość, zdradliwość stroiły te śnieżne kwiaty.

— To nie żywy staw, jakieś okno do dna niewiadomego. Mierzyliśmy sznurami, ileśmy ich mieli, ale kamień na końcu tonął w jakimś śluzie. A przecie gdzieś znajdują grunt i pokarm te korzenie i do słońca wydobywają się kwiaty. Nie ma odmętów bagna, by z nich nie mogła dusza wybrnąć do światła, tylko rzadko człowiek ma wolę, wiarę i mądrość roślinnej lodygi! — mówił zadumany Rosomak.

— No, ale gdzie to чудо, Żurawiu? — spytał Pantera.

Ten rękę podniósł.

— Nie widzisz tego jednego kwiatu i pąka?

— Prawda! Jeden się urodził jaskraworóżowy. Skąd? Jak? Dlaczego?

— Tam w otchłani bagna żyje też widocznie myśl-fantazja Arcymistrza.

— Ten kwiat zerwać trzeba — zdecydował Pantera, rozglądając się za sposobem.

Ale kwiat rósł za daleko, by go dosięgnąć było można prętem lub rzutem sznura, więc Pantera zaczął się rozbierać.

— Daj pokój! — sprzeciwił się Rosomak — pamiętasz, jakiej dostaliśmy wysypki wtedy, przy mierzeniu głębi?

— Wielka rzecz! Po trzech dniach minęło. Muszę dostać dla Żurawia kwiat. Muszę, już ja wiem dlaczego!

Zaśmiał się i nagi skoczył w czarną głąb.

— Ruszyło go sumienie! Chce wynagrodzić wszystkie figle i psoty „skrzata” — uśmiechnął się Rosomak.

Pantera płynął jak ryba. Czuć było, że się bawi — bez żadnego wysiłku.

Przy jednej gęstwinie roślin się zatrzymał i widzieli z brzegu, jak po liściach umknął jakiś ptaszek; wreszcie Pantera dopłynął, kwiat zerwał, lodygę wkoło szyi obmotał i zawrócił.

— Wuj mnie nauczy pływać! — poprosił Coto.

— I owszem, od jutra.

Pantera wydobył się na brzeg i przede wszystkim wypluł coś z ust na dłoń i podał Rosomakowi.

Było to jajko.

— Tego nie ma w kolekcji. Gniazdo było sobie najzwyczajniej na liściu, jak na talerzu — pić jaj! A oto dla Żurawia „skrzat” przyniósł prezent. Biegł ze mną po liściach, kierował, pomagał wyrwać lodygę. Zapomniał o zielonym proszku.

— Dostanie miodu i mleka! — zaśmiał się Żuraw. Przykucnął, puszkę swą otworzył i schował starannie zdobycz.

Pantera tymczasem wytarł się nieco trawą i oblekł szaty.

Zawrócili. Znowu Coto przedygotał przeprawę kładek i wydostali się na ląd stały.

— A oto macie moją trzecią osobliwość! — rzekł Żuraw, stając na jakiejś polance.

— Osina w kołnierzu.

— To grzyb? — zdumiał się Coto.

— Tak, huba drzewna, ale fenomenalnej wielkości. Drzewo na pół suche. Jutro spijemy z obu stron i okaz pomieścimy w chacie. Od biedy można na tym siedzieć.

— Najlepsza hubka do ognia jest osinowa — rzekł Pantera.

Tu spojrzął na słońce i wyciągnął się jak długi.

— Obiad! Krokiem się dalej nie ruszę.

Pokładli się wszyscy. Na polance kwietnie było, sucho. Brzęczały pszczoły; ogarnęła ich senność.

— Będzie burza! — szepnął Żuraw, układając się wygodniej.

I zasnęli wszyscy.

Rosomaka zbudził jakiś szelest. Rozwarł oczy i bez ruchu patrzył. Na skraju polanki, trochę w cieniu, stała, patrząc na ludzi, para łośi, matka i dziecko.

Niezdarne, jakby z jakiegoś prabytu pozostałe stworzenia, jakby duchy boru, bóstwa pierwocin ziemi. Ciężkie, nieumierne lby; racice jak ski²⁶, potężne kończyny.

Łosza²⁷ ocierała szyję o drzewo; małe, trochę za matką ukryte, skubało gałązki.

Wreszcie samica, uspokojona nieruchomością ludzi, zamruczała i przeszła obok śpiącego Cota, ciężką racicą wgniotła w ziemię jego kapelusz; małe obwąchało go ciekawie.

W tej chwili chłopak się obudził i zerwał. Zwierzęta dały sus potężny; rozległ się trzask łamanych krzaków — zniknęły w gąszczu.

Teraz się wszyscy porwali i Coto lamentował na opowieść Rosomaka.

— Żebym się nie ruszył!

— Ba, nastąpiłaby na ciebie kłępa, i tak byś wyglądał jak twój kapelusz.

— Olaboga! Jeść! — zakrzętał się Pantera.

Rozłożyli zawartość toreb. Był chleb, ser, suszone ryby, u Pantery w garnuszku kilka ciemnych, mocno spiczastych jaj.

— Widzicie smakosza! Czajcze jaja sobie przyrządza — zaśmiał się Rosomak.

— Zabrałem przez zemstę. Wczoraj na błotach to utrapione ptaszysko skrzydłami po twarzy mnie biło, wrzeszczało, łajało; a wcale mi nie o jej gniazdo szło, o podróżniczka, który mi mignął w szuwarach. Nie dała szukać, spłoszyła, co tylko tam żyło. Za to niech się fatyguje i troska na drugi łęg.

— Masz, Coto, spróbuj delikatesów! Aha! Nie ufasz! No to nie dostaniesz.

I Pantera zjadł ostatnie.

— Więc podróżniczka nie znalazłeś?

— Jak to? Żebym ja głupiej czajcze dał się za nos wodzić? Przecie wstyd by był, gdyby Pantera na niedzielny pokaz nic nie miał! Chodźcie! Nim te ryby zżujem, dwie wiorsty²⁸ ujdziemy.

Teraz Pantera wysunął się na czoło.

Rosomak mijane ostępy nazywał dla nauki Cota, wrażał mu w pamięć charakterystyczne ich cechy.

— Patrz, to Proszalna Baba. Czy ci ta brzoza, pogięta jakąś katastrofą, z pokurczonymi gałęziami, z głową przy ziemi, nie przypomina żebraczki u kruchty?

— A ta śnieżna kwiatem, olbrzymia jarzębina, gdy stanie jesienią w kolorach, czyż nie Krasawica? Ile jej drozdów, kwiczołów, gilów składa wizyty, śpiewa koncerty, biesiadując!

— A w tym gąszczu, ta sosna z kołtunem jakiegoś pasożyta, czy nie Wiedźma?

— A ot Janosik — ten świerk masztowy, wśród czarnego zagaju.

²⁶ski (daw.) — narty.

²⁷łosza — samica łośia, kłępa.

²⁸wiorsta — dawna rosyjska jednostka długości, ok. 1 km.

— Las, jak ludzkie zbiorowisko, ma tłum i jednostki. Górują jedni krasą, inni siłą, inni indywidualnością, inni powagą lat. Patrz na te trzy dęby! Trzej starcy. Zostali sami na tej wielkiej haliznie. Był kiedyś zwarty ostęp ich rówieśników, jeszcze pnie znaleźć można w jeżynach. Co to za chłopcy na schwał były, taki pułk mocarzy!

— Tych trzech opowiada czasem legendę tradycji! Trzeba tylko ich szum rozumieć. Tylu a tylu padło, ścieląc groblę pod armaty i poczty, za Szwedów; tylu a tylu dało życie za Napoleona; tylu a tylu przez chciwość i interes poszło spławem kupieckim do Gdańska, a w zamian inni padli na spląt kosztów Insurekcji. Ostatni legli niedawno; jeszcze ich zwłoki zmurszałe sterczą het, oplątane krzami. Tędy „wieszateli” Murawiew²⁹ kazał ciąć tryby i dukty, polując na niedobitki partyzantów-męczenników.

— Trzej starcy dużo widzieli. Całą kronikę puszczy znają. Oddajmy im pokłon i cześć!

Odkryli głowy i szli chwilę w skupionym milczeniu, aż Pantera niepoprawny rzekł:

— Mnie się widzi, że ten stary, co mu trochę głowa łysieje, ma lokatora w dziupli.

— Co zaś? — zdziwił się Rosomak.

— Nie wiem. Może ryś. Chociaż tegośmy jeszcze nigdy nie spotkali. Może kuna, tchórz? Otwór wydaje mi się jakby świeżo podrapany. Ja dopilnuję.

— I ja! — szepnął prosząco Coto.

Pantera tylko głową skinął, bo się pilnie rozglądał i orientował. Wreszcie wnrzył się w las trzciny pokrywających brzeg błotnisk. Las to był zielony górą, zeschnięty od dołu, wyższy nad ich głowy, tak że po chwili tylko po ruchu suchych kit można było poznać ich ślady. Stopy kaleczyły haniebnie twarde pniaki i z trudem rozdzierali gąszcze. Rosomak głową pokręcił. Nawet on się „cudował”, jakim sposobem człowiek bez węchu łasicy i oczu kota wynajdzie w tym zielonym odmęcie gniazdo małej ptaszyny.

Toteż wędrówka długo trwała; musiał Pantera nieraz zbłądzić, ale wreszcie przykucnął do ziemi i rozchyliwszy suche badyle, pokazał im marnie usłane gniazdo z szuwarów, a w nim pięć błękitnawokropiastych jajeczek.

Żuraw, mniej zajadły do ornitologii, spytał ocierając pot z czoła:

— Naucz mnie, jak się to znajduje taką igłę w stogu siana!

— Ano tak. Na błocie jak kierz³⁰ z kitą rogoży³¹ w środku — ot ten! — A naprzeciw trzeba mieć tamtą brzozę — ot! — jak ręce rozciągnąć; a wtedy trzeba szukać — tego!

I zdjął z wierzchołka szuwaru czarne pióro cietrzewie, przywiązane nitką.

— Pantero, niecnoto! — zawołał Żuraw — dobrałeś się do moich narzędzi; toć to jedwab opatrunkowy!

— Nie znam się na tym. Szukałem kiedyś nici do zeszywania podartej kurty, wziąłem, co znalazłem — odparł niefrasobliwie Pantera. — Ot, mam resztę w kieszeni!

I oddał mu sumiennie brudny, splątany węzeł drogocennych nici.

— Od troglodyty pierwsze wcielenie! — burknął Żuraw, odrzucając śmiecie.

Rosomak troskliwie zebrał gniazdo i jaja do kolekcji i uczył Cota.

— Śliczny to i rzadki ptaszek, krewny słowika, ale wcale nie solista. Za to ma śliczną błękitną tarczę na piersi. Niech żyje Pantera za tę zdobycz!

— To i koniec! Wódz się niczym nie chwali? Ani Coto?

— Wybrnijmy stąd i niech zabezpieczę jajka. Widziałem coś ślicznego, ale pewnie poszło. Zaprowadzę was w każdym razie.

— Poszło? Co może być takiego?

Ale Rosomak milczał i gdy stanęli na trwałym gruncie, wskazał ręką daleko widoczny świerk i tam się skierowali.

Gdy mijali jakąś wrzosem pokrytą haliznę, nagle ujrzeli coś czerwonego, sunącego pędem po ziemi.

— Kuba! — ucieszył się Żuraw.

Chr, chr! radosne i Kuba już był na jego ramieniu, zziąjany, mokry, z bokami zapadłymi.

— I jak to szelma nas odnalazł! — podrażnił go Pantera. — Chałupa zamknięta; ani orzechów, ani mleka!

²⁹Murawiew, Michaił (1796–1866) — rosyjski konserwatywny działacz państwowy, zarządzał gubernią wileńską w latach 1863–1865 podczas tłumienia powstania styczniowego; posiadał przydomek „Wieszateli”.

³⁰kierz (daw.) — krzak.

³¹rogoża (bot.) — pałka, roślina rosnąca na brzegach jezior, rzek i bagien.

Ale Żuraw czekał widocznie na swego faworyta, bo wkrótce w zanadru jego rozległo się zapalczywe gryzienie orzechowej skorupy i zazdrosne mruczenie, by nikt się nie ważył do udziału w uczcie.

Świerk, do którego przyszli po długim pochodzie, nie był to Janosik — nazywał się Widz. Konary gęste i rozłożyste tworzyły jakby stopnie, a na samym szczycie była uczyniona z paru łat platforma. Stamtąd dobrą lornetką można było objąć cały raj leśnych ludzi.

Poszedł pierwszy Rosomak z Panterą i po chwili rozległo się ze szczytu:

— Jest! Nie poszło!

Skoczył tedy Coto niecierpliwy. Dał mu Pantera lornetkę i wskazał kierunek.

— Widzisz polankę w gąszczu? Brzozy, jak wianek, wkoło!

— Widzę! I tam coś stoi, skubie trawę — sarna! I coś się przy niej rusza — w ciapki, małe. Jakie śmieszne!

— Wczoraj się pewnie uległo! Wypatrzyłem przed wieczorem. Dobrze stąd obserwować, nie plosząc. Zresztą polanka wkoło błotem otoczona — ciężki dostęp.

— I chatę widać, i wodną siatkę, i bezbrzeżne bagna i Czarne Oko już poznaję, i jezioro. Można sobie zrobić, stąd patrząc, mapę i wszędzie trafić. Jutro zaraz zrobię! — zawołał Coto.

— I chmurę widać, co na nas idzie. Oj, bo też skwar trapił. Na ziemię i hajda na pustą łąd! Bo tu pioruny lada moment zagrają!

Ukryli pod świerkiem torby i zwierzchnią odzież, gniazdo i puszkę z kwiatem, siekiery i nawet kapelusze; w bieliznie tylko i z odkrytymi głowami patrzyli w niebo, oczekując rozkosznej kąpeli.

Wicher zaszamotał lasem, porwał się z nim za bary, zawył nagle; kędyś w puszczy z trzaskiem zwałiło się drzewo — błysk oślepiający wypisał na czarnej chmurze swój mroczny znak.

Zakotłowało się — lunął deszcz, zadygotało powietrze gromami — wicher darł liście, całe gałęzie — zda się, zwali drzewa.

Coto oślepiiony, ogłuszony spojrzął po towarzyszach. Pantera gryzł suszoną rybę. Rosomak osłaniał fajkę, by mu nie zgasła. Żuraw zdjął koszulę, owinał w nią Kubę, a tors swój w deszczowej kąpeli rozcierał garścią mchu. Żaden nawet okiem nie mrugał na bezustanne olśniewające błyskawice i jakby głuchy był na ryk piorunów.

Coto postanowił też okazać niefrasobliwość i zaczął gwizdać, ale Pantera dość niedelikatnie trącił go w bok.

— Jak On gada, milczeć, robaku! — krzyknął wśród huku gromu. — Jest czego słuchać z uwagą. To też boży wykład!

— A jeść suszoną rybę wolno?

— Wolno, bom głodny. Ale nawet głupi kos wie, że gwizdać podczas burzy nieobyczajność chamska jest. Ot, masz karę.

Z chmury wraz z ulewą sypnął grad, zrazu drobny, potem coraz bujniejszy. Coto rękami osłonił głowę, a potem, naśladowując towarzyszy, zaszył się, ile można, pod mech i wrzozy. Lodowe kulki prażyły boleśnie; zabielała od nich polana.

Pantera wreszcie wyskoczył i zaszył się pod jałowiec; umknął też, czerwony jak rak, Żuraw, nie zapomniawszy zabrać owiniętego w koszulę Kuby. Ale był to ostatek burzy. Chmura posunęła się na wschód, wyjrzało słońce.

— Teraz klusem do chaty — zakomenderował Rosomak.

Zebrali swe graty i pobiegli. Pantera wnet się na czoło wydostał i zniknął w gąszczu. Żuraw w biegu naciągał kurtkę. Coto, dzwoniąc zębami, płatał się w zdartych chodakach. Rosomak suchą odzieżą osłaniał drogocenne gniazdo. Ale się wnet rozgrzali i gdy dobiegli chaty, parowała ich bielizna.

— Obejdziemy się bez chininy — rzekł Żuraw, wchodząc do izby.

Pantera już rozniecił ogień na kominie i wnet czterech nie leśnych, ale dzikich, nagich ludzi wśród śmiechu przebierało się w suchą bieliznę i odzież.

— Teraz ino spać — rzekł Coto.

— Doprawdy? A robotę zdać na skrzata — oburzył się Pantera. — Zbieraj te mokre łachy i rozwieś porządnie na strychu! DREW też stamtąd rzucić do sieni, podłogę do su-

cha wytrzeć, kartofli na kolację obrać, Hatorę wydoić! Widzisz przecie, że tamci już się wnurzyli w swe preparaty zielne i jajeczne. Jazda!

— Co tu jest jednak roboty!

— Aha, a tyś z początku się nudził i łąził po krzakach. Tutaj wszystko tak pracuje. Jak się czasami zmęcze, to tylko popatrzę na tę modraczkę, co karmi jedenaścioro żarłoków, albo na raniuszka, co buduje swe gniazdo! To trochę kłopotliwsze niż nasza robota!

Poszli boso do szopki. Hatora, sucha, przeżuwała flegmatycznie, Łatana Skóra była też rozsądnie pod dachem.

— Patrz jakie to mądre! Wróciło sobie w porę do chaty i patrzy na nas z politowaniem. Wynos się, Kis! — odpędził węża i przykucnął do dojenia.

— Weź no, Coto, pęk ziele, zatknięty za strzechą, i wytrzym nim małą!

Łatana Skóra obwąchała ziele, ręce Cota i pozwoliła łaskawie dotknąć córki. Małeństwo też przychylnie poddawało się operacji.

Gdy Pantera skończył doić, nalał mleka w skorupkę dla węża, a potem wynalazł w kącie garnek i rzekł z cicha:

— Kropelkę też daję małej, ale Żuraw o tym nie wie. Szkoda niebożątka, jeszcze trawy nie skubie, a komary tną. Naści, rośnij zdrowo!

Patrzyli przyjaźnie. Wąż wnurzył głowę do mleka, żrebię ssało garnuszek z lubością.

— Pantera — rzekł Coto. — Słyszycie? Co to tak dziwnie terkoce? Jaki to ptaszek?

— To? — posłuchał Pantera. — To znak długiej sloty. To żmija!

— Nie może być! Węże są przecie nieme.

— Chodź, zobacz. Tylko cicho!

Stąpając ostrożnie, z wolna, w kierunku głosu, ujrzeni na ścieżce do wody żmiję. Na pół zwinięta, podnosiła tylko głowę i wydawała monotonne — trrr — na bardzo wysoki ton.

Pantera oddał Cotowi skopek, cofnął się do szopki bez szelestu i nagle skoczył ku gadowi. Miał łaskę w ręku, uderzył raz i drugi. Terkotanie umilkło, błysnął białawy brzuch i gad martwy rozciągnął się, jak sznur, na ścieżce.

Pantera zmiażdżył mu głowę i rzutem łaski cisnął daleko w gąszcze.

— Ot, masz ptaszka! Rzadko się odzywa, ale głos ma. Straszna moc tego plugastwa tu była, gdyśmy osiedli. Zabijaliśmy tuzinami co dzień. Hatora była pogryziona i klacz, i ja. Tamci boso nie lubią chodzić, więc się ustrzegli.

— Ale że to nie śmiertelny ten jad!

— Przecie mamy doktora! Ale gorączkowałem parę dni. Odroważ nauczył mnie potem, jakie ziele jest pomocne. Zwierzęta je same znajdują, byle dłużej w dziczy żyły. Odzyskują pierwotny instynkt, zatracony przez oswojenie.

Wrócili do chaty.

— Gad trąbi — będzie słota — oznajmił Pantera, trącąc Cota i oczami pokazując towarzyszy.

Żuraw w jakieś specjalne waty i bibuły spowijał różowy kwiat, Rosomak wydmuchiwał jajka. Żaden się nie odezwał.

— A na jadalnym stole tylko chleb i sól.

— Gdzie nasza wieczerza?

— Niedziela — nic się nie gotuje — mruknął Żuraw, a Rosomak przerwał dmuchanie i spytał:

— Zabieś gada?

— Zabielem i chcę kartofli suto omaszczonych i gęstych — mam dosyć płynów!

Nie otrzymawszy odpowiedzi, przyniósł ze spiżarni kartofli i zaczęli je z Cotem obierać.

— W slotę co robić! Nuda! — rzekł chłopak. — Miałem jutro uczyć się pływać, rysować mapę, pilnować, co mieszka w dębie! A tu siedz w izbie!

— Czasami dobra słota! Mnóstwo się zbierze roboty. Zobaczysz, jaki tu bywa warsztat! No, rozpalaj ogień!

Rosomak skończył robotę, wyszedł z chaty i wróciwszy, rzekł:

— Tak! Będzie chłód i słota dni kilka. Nareszcie znajdę czas poreperować siatki i kosze.

— A ja — pokatalogować zielnik! — dodał Żuraw.

— A ja — nas wszystkich obszyć i obłatać — rzekł Pantera.

— A ja? — spytał Coto.

Rosomak wskazał półki z książkami:

— Historię nowych znajomych poznać!

Zapalił fajkę, zdjął ze ściany skrzypce i po chwili zaczął grać.

— Ot, dopiero prawdziwy niedzielny bal! — szepnął Pantera.

Coto się zaszuchał. Jakies nieznanne, dziwne melodie wygrywał Rosomak. Jakby jakaś opowieść to była, baśń, marzenie. Po chwili Żuraw zaczął mu dopowiadać na jakiejś cudacznej, powiązanej z kilku trzcina czy łóz fujarzy.

Na dworze wieczór posepny zapadał; niebo, zawleczone chmurami, ciemniało i gasło. Żarzyły się węgle na kominie, buzował ogień na kuchni; daleki chór żab był cichszy niż zwykle, jakoś krócej odegrały hejnał żurawie. Ale smętku nie było ani w przyrodzie, ani w muzyce. Czuć było, że za chmurą stało mocarne majowe słońce, że to tylko chwila tęsknoty i zadumy — w młodości.

— Czyje to, wuju — spytał Coto, gdy Rosomak przerwał i smyk przykręcał.

— Leśne, majowe! — uśmiechnął się grajek-amator.

I Coto zrozumiał, że to był śpiew puszczy podsłuchany przez leśną duszę człowieczą.

SŁOTA

Monotonne dudnienie deszczu po dachu zbudziło Cota. Zaspał, bo w chacie panował ruch roboczy, izba zawalona była prętami łoży, łykiem dartym, rybimi koszami i królował wśród tego Rosomak, już pracą zajęty.

— Leje — rzekł — będzie najmniej trzydniówka. Tamci poszli po kwiat Żurawia.

Coto pobiegł do kąpieli. Hatora i klacz w otwartych drzwiach szopki rozmyślały, czy warto narażać na szwank swe skóry, i ziewały na przemiany. Kis, błyszczący nową suknią, mizdrzył się w lusterku krynicy; zmoknięte ptaki siedziały pod parasolkami liści.

— Co mam robić? — spytał chłopak, gdy połknął śniadanie.

— Do czego masz ochotę?

— Nauczyć się od wuja koszykarstwa.

— Nietrudna nauka! Wytoz dobrze nóż i szykuj mi, ot tak, witki. Dobieraj starannie gładkie, giętkie, długie! Materiału tu nie brak.

Zaznajomił się Coto z przyborami rybołówstwa, z ich pierwotnym a dowcipnym urządzeniem, z nazwą i teorią użycia.

Łozy, leszczyna, brzezina i konopne sieci stanowiły jedyny materiał, nóż — jedyne narzędzie. Gdy patrzył na ręce Rosomaka, zdało mu się, że i robota jest fraszką, tak łatwo łoża się gięła, rozszczebiała, nabierała żądanej formy, wiązała szczelnie i mocno, jak żelazny drut.

Ale gdy chciał sam pleść i wiązać, wszystko się buntowało, nie słuchało ręki, łamało, rozlażiło niesfornie. Chłopak zrazu opuścił ręce desperacko i chciał roboty zaniechać, ale zawstydzził się i zaciąwszy zęby, zaczął ze złością z łożą upartą się borykać.

— Psiakrew! Ja cię zmuszę! — warknął.

— Nie po naszymu! — pokręcił głową Rosomak. — Nic tak nie zdziałasz, przestępując nasz leśny zakon. Ta łoża dała nam swe wici na użytek, ale tnąc je, dziękowałem jej za dar, a teraz gnąc je, życzyliwie o niej myślę. Nie wolno się gniewać: gniew, jak bumerang, wraca do tego, co go cisnął. Udziela się niepokój wewnętrzny rękom, że szarpia, łamają, psują zamiast tworzyć, i powstaje wokół rozgniewanego i zło życzącego prąd szkodliwy. Przepróż, chłopcze, łożinę, ona dobra, tylko twe ręce niewprawne. Patrz i ucz się najłatwiejszych ruchów, ujęć, łączeń, a ucząc się, myśl przychylnie o tym tworzywie i wżij się w jego charakter i właściwości. Wtedy robota będzie dobra!

I zaczął spokojnie i cierpliwie układać palce chłopaka, kierować jego ruchami.

— Wuj się nigdy nie gniewa?

— Człowiekowi nie wolno używać słów „nigdy” i „zawsze”. Mogę najwyżej rzec, że staram się gniewać jak najmniej. Uważaj, nie przyciągaj za mocno tego łyka, a tę grubszą wić przed gięciem przygrzej nad ogniem, to ci się stanie giętsza, a palce lewej ręki tak trzymaj!

— Oj ta dana, oj dana! Rokicino kochana! — zaśpiewał wchodzący do izby Pantera, mokry i ziemią umazany. — Przynieśliśmy „trepek królowny” na noszach, jak królewskie

regalia. Ulewa, wicher, chłód — na pohybel komarom i innemu szkodliwemu robactwu! Widziałem całe stadko morskich mew: muszą być srogie wichry na Bałtyku, co je aż tak daleko zagnały. Uparty Żuraw poszedł z piłą do tej huby, a ja mam obiad gotować. Czy są ryby?

— Jeden pyszny szczupak. Kosz był dziurawy, więc się drobiazg wysupłał.

— Oj! Nawet go wódz oczyścił. Udał nam się wódz! Ale widzę, że Coto ma już bąble na rękach. Przestań partolić, skocz na warzywnik, przynieś szczawiu i nowin! Okryj plecy siermięgą, bo nie nastarczymy suszenia szmat!

Pobiegł Coto i wrócił z mokrym szczawiem i ze złymi nowinami.

— Coś wylało płot i stratowało kartofle — pewnie Hatora.

— Bardzo proszę nie obmawiać Hatory; to sprawka łosia albo kozła! Zaraz zobaczę.

— I korzystając z okazji, prysnął od gotowania obiadu.

— Ten — byle biegać! — zaśmiał się Rosomak i zaczął sam gospodarzyć przy kuchni.

Pantera wrócił po dobrej godzinie już nie mokry, ale jak gąbka, co wodą nasiąkła.

— Źle! Nasze kartofle zwęszyły dziki. Możemy się z nimi pożegnać.

— Mają dobry gust — rzekł filozoficznie Rosomak.

— Można na nie zapolować, kiedy szkodniki — wyrwał się Coto.

— To i na nas można polować, bo my też lubimy kartofle.

— Ale swoje!

— Jeszcze niewielu ludzi szanuje cudzą własność, a ty chcesz karać dzika, pramieszkańca boru! I zabijać — jakim prawem? Zrobimy koło warzywnika pomost na drzewie i jak się zanęca, będziemy mieli pyszne studium. Kartofli dostaniemy od Odrowąża.

— I to racja! — zgodził się Pantera, ale Coto milczał nieprzejednany.

— Takem się spocił onegdaj, motykując! — zamruczał.

— My też — ruszył ramionami Rosomak. — Trud i praca same w sobie są przyjemne i zdrowe, a za kartofle dziki ci się jeszcze odwdzięczą, zobaczysz!

Po chwili wrócił Żuraw — druga gąbka — i ledwie do obiadu „wałęgi”, jak ich nazwał Rosomak, osuszyli siebie i izbę.

Ale potem ulewa i chłód tak się wzmogły, że nikt za próg się nie wychylił. Zaspany Kuba wylazł ze swego baraniego rękawa i ziewając, przyłączył się do kompanii; zziębły Tupcio zaszył się w posłaniu Pantery, a ludzie zajęli się pilnie robotą. Pantera u okna latał odzież, Żuraw zajął cały stół atlasami i zielnikiem. Rosomak coraz to wyrzucał przed chatę zreperowany kosz. Coto, pomimo bąbli, mozolił się z łożą, ale zamiast wymysłów, pogwizdywał „Koszykarza”.

— Może byś wziął ode mnie lekcję latania, ty derusie, rekrucie! Patrz, jakieś kurtek urządził! Wisiałeś pewnie ma jakimś sęku, zanim całe plecy się podarły.

— Ej! Mnie się nie chce takiej babskiej roboty! — mruknął lekceważąco chłopak.

— Co to jest babska robota? Nie każę ci dzieci rodzić ani karmić, co jest jedynie specjalnie kobiece. Zresztą każda robota każdemu człowiekowi przystoi. Nawet może ja lepiej latam niż Drozdowa.

— Pantera zna tylko jedną kobietę — Drozdową!

— Już piętnaście zim się swarzymy³²: można poznać.

— A Pantera nie miał żony?

— Żony? A ty miałeś?

— Ja jeszcze nie, ale Pantera już gna pewnie trzydzieści lat.

— I siedem, rekrucie. Ale mi to jeszcze nigdy do głowy nie przyszło.

Począł się śmiać i zwrócił do Żurawia:

— Doktorze! Może byśmy sobie pofundowali po żonie?

— *Spirea palustris!* — zamruczał Żuraw, pisząc.

— A wuj był przecież żonaty! — rzekł Coto.

Rosomak milczał chwilę, bo zębami przytrzymywał wić.

— Tak. Miałem żonę i matkę! Obiedwie zmarły, ale żyją w mej duszy czczone i bardzo umiłowane. Dlatego dziwię się, gdy kto lekko o tych rzeczach mówi i w ogóle rozmawia,

³²swarzyć — klócić się.

i równie mi dziwnie, gdy słyszę wyrażenie: baba, babskie. Zdaje mi się, że tacy nie pamiętają, kim jest matka, siostra, żona, albo są nieszczęśliwcami, którzy tych trzech rodzajów istot najświętszych nie mogli kochać ni szanować.

Coto spuścił głowę i poczerwieniał, ale Rosomak dobrotliwie po głowie go pogładził.

— Leśny zakon, chłopcze! Miłować, szanować!

Zapanowało chwilowe milczenie, ale niespokojny Pantera wyjrzał oknem i krzyknął:

— Patrzcie! Nie mówiłem? Dudek wyleciał ze skrzynki.

— Doskonała okazja prysnąć od łatania i jeszcze raz zmoknąć! — zaśmiał się Rosomak.

— Nie! Mam dosyć. Ale nie wiem, dlaczego, jak zwykle w słotę, nie zaśpiewamy chórem! Tylko niech wódz zawtóruje na skrzypcach, bo inaczej nie wytrzymam. Żurawiu! Zaczynaj prym!

— Poczekaj do wieczora! Teraz byśmy na próżno sprzątali, by znowu się roztasowywać. Ja za godzinę kosze oblatam, Żuraw zawalisko roślin uporządkuje. Tymczasem możemy śpiewać niekunsztownie — ot, jak trznadle!

I zaintonował „Koszykarza”, Coto i Pantera przyłączyli się ochotczo, ale bez wielkiego talentu. Żuraw czasami nerwowo ręce do uszu podnosił, aż wreszcie począł spieszenie składać swe rośliny i oswobadzać stół.

— Ratunku, Pantero! Bierzesz jeden ton pierwszy, a potem nagle dwa tony wtóru. Przestań, bo wszystko sobie w uchu poplączesz.

— Co tam, byle wesoło! — odparł figlarz ze śmiechem. — Właśnie tak wyciągałem, żeby ciebie rozdroczyć. Teraz będzie koncert.

Coto bawił się całą duszą. Pieśń po pieśni: ludowe, narodowe, kipiące krakowiaki i oberki, smętne rusińskie dumki płynęły z pełnych płuc, aż dygotały ściany chaty, aż im się śmiały oczy, pokraśniały twarze. Kuba skoczył na piec przerażony, Tupcio stoczył się z łóżka i ukrył w kącie; za płotem ukazały się, zapatrzone ze zdumieniem w okno, głowy Hatory i klaczy. A oni na przemian śpiewali i śmiali się z uciechy.

— Taka słota się nie sprzykrzy — rzekł wreszcie Coto.

Nie sprzykrzyła mu się, choć trwała tydzień. A ile się nauczył. Na trzeci dzień już związał porządny kosz na ryby, wiązał sieć prawie tak prędko jak Rosomak, łąty wstawiał geometryczne, a poza tym ile się nasłuchiwał tajemnic puszczy, ile przewertował atlasów, wykuł teorii z Naumanna, Brehma i Taczanowskiego, a ile się nauczył nowych pieśni, śmiesznych zagadek i przypowieści Pantery, a ile razy zmókł, zmarzł, bez żadnej szkody dla zdrowia, a jak się żył z towarzyszami, jak się czuł swojsko wśród nich, o tyle starszych, a tak młodych duszą!

Aż któregoś dnia dostąpił zaszczytu, że Rosomak posłał go w swoim zastępstwie, by przejrzeć parę bliższych koszy rybnych! Oni z Panterą założyli w izbie warsztat stolarski; obrabiali brzoźową czeczotę na skrzynki, które Pantera fabrykował bardzo kunsztownie zimą.

— Przywiąż sobie od razu dwa pęcherze pod pachy, bo się utopisz! — rzekł chłopcu na pożegnanie niepoprawny kpiarz.

Ale Coto nie był już nowicjuszem. Wylał wodę z czołna i naśladował ruchy Rosomaka powolne, obrachowane. Nawet z braku fajki trzymał w zębach łądygę tataraku.

Parę razy zmylił drogę wodną, ugrzązł z czołnem w szlamie, paru „hatów” nie odnalazł, ale w rezultacie nawet się z głową nie skąpał i ze sporym workiem ryb do domu zawrócił. Nagle, wśród jakiejś gęstwy trzciny, w ciasnej „prości” usłyszał tuż obok głos ludzki.

Jak już zdziślał i stał się ostrożny na wzór tubylców puszczy, okazał to jego ruch, z jakim wiosłem się całą siłą odepchnął i ledwie się obejrzawszy, umknął. Mignęła mu jakaś głowa, wyrastająca nad chaszczę, i tyle.

Gdy wylądował i wszedł do izby z rybami, rzekł „widziałem człowieka!” takim tonem, jakby mówił „widziałem hipopotama”.

— Co znowu! W tę słotę! To chyba jakiś śmiertelnie chory do Żurawia. Kładki muszą być znowu pod wodą.

Żuraw stęknął i czekał na los.

— A może to był leśny duch? Uważałeś, jedno miało oko czy parę? Róg sterczał na głowie?

A Coto szczerze raportował:

— Nie trafiłem do wszystkich „hatów” i dwa razy ugrzązłem na mieliźnie. Ale ryby przywiozłem. Są szczupaki i jazie.

— Ho, ho! Jakie to już mądre i gadające, ten projekt na leśnego „ludzia”.

Pantera wytrzymała ryby w ceberek i zaczął je sprawiać, a Coto się przebiegał u ognia, gdy wtem skrzyknęły drzwi wejściowe i głęboki głos pozdrowił.

Zerwali się wszyscy. Oczy Rosomaka zabłysły tak, jak błyszcząły tylko do jego ukochanych ptaków, uśmiechnął się radośnie Żuraw i wszyscy jednym głosem odpowiedzieli:

— Witajcie, ojcze!

Do izby wszedł olbrzymi chłop. Twarz miał suchą z orlim nosem, parę siwych bystrych oczu, usta osłonięte przystrzyżonym siwym wąsem, na głowie gęsta, krótka, szpakowata czupryna, a w całości swej typ przepyszny, sarmackiej siły i powagi. Miał na sobie burą kapotę, nogi w rzemiennych chodakach; przy jednym boku borsuczą torbę, przy drugim łubiankę, puzderko, na plecach strzelbę pistonówkę, za pasem rzemiennym siekierę. Pozdrowiwszy, podniósł oczy na Królową i odmówił ich zwykłą modlitwę: *Salve Regina*, potem zaczął się rozbierać i zawieszać swe rzeczy w alkierzu Pantery na zwykłych widocznie miejscach, i mówił, odpowiadając na ich pytania.

— Byłbym już u was, synkowie, dawno. Co mi kładki! Ja znam przejścia zawsze dostępne! Ale mi córka wnuczkę urodziła i trochę zachorzała. Musiałem tedy być za gospodynię i niańkę. A potem chrzciny! Trza było całą „okolicę” ugościć. Teraz już z wami zostanę aż przez sianokos. Trawy, widzę, dobre, ale z rybami ubogo w tym roku. Za wielka woda i jeszcze dołało. Ale od nowiu stanie dobra pogoda. Ale widzę, chłopak wam przybył do kompanii. Swój czy cudzy?

— Siostry syn! — odparł Rosomak.

— Jasnooki i czarnowłosy, jak wasz ród. Krzepki w sobie i suchawy, pożyje długo, byle rozum miał. A mądry dzieciuch! Jakiem na niego zawołał, to ino okiem rzucił i umknął. Tak, chłopcze, zawsze czyni, jak w pustce obcego spotkasz. Obcy a wróg — to prawie jedno!

Stary był widocznie u siebie. Zajrzał do spiżarni, do sieni, do komory, umył ręce, rozwiesił swą kapotę na piecu, rozsiadł się ze swą kobiałką³³ za stołem.

— Gościńce przyniosłem. Tytoń swój zeszlóroczny, na podziw się udał. A te nici na siatkę, z samych *płaskuni*, odebrane po żdźble. Nie zerwie się, nie zgnije! A taki pantofel macie?

— Remizowe gniazdo! — krzyknął Pantera.

— A to dla doktora z tej góry piaszczystej nad rzeką! Trudno było żyć wtedy, kiedy tą siekierą trzeba było i drzewo ciąć, i zwierzynę zabić!

— Przepyszny okaz — radował się Żuraw.

— Jasiek tego mnóstwo nazbierał i trzyma dla doktora schowane w swironku³⁴. Są i skorupy, i całe garnki!

— Skarby!

— Jak dla kogo. Dobrze uciechę sprawić. Jako dla mnie kiedyś Chorążego strzelba! Nie znaleźliście przypadkiem?

Potrząsnęli głową; była to mania starego: odnalezienie strzelby ukrytej w czasie powstania.

Pantera dostał parę przepysznych rzemiennych chodaków, a resztę zawartości kobiałki stary zaniósł do spiżarni.

— Magda napchała jaj i manny. Powiada, że czajcze się sprzykrzą! A teraz dajcie no robotę i powiadajcie, jak się wam wiodło do przybycia!

Zaczęły się opowieści. Stary zabrał się do wiązania sieci, oni do swych robót.

Przed obiadem Coto wymknął się za Panterą do obrządku zwierząt i spytał:

— To ów sławny Odrowąż? A on kto taki właściwie?

— Mędrzec nad mędrce w leśnym bycie. On to z nami chałupę stawiał, on nas wszystkiego, co umiemy, uczył. Dla niego nie ma nic nieznanego tutaj.

— A on chłop! Bo mnie się zdaje, jakby z matejkowskich rycerzy ożył.

³³*kobiałka* — nieduży wiklinowy koszyk z wikliny lub z łyka.

³⁴*swironek* (daw.) — schowek, magazyn.

— Jego pradiady byli dworzanami pradiadów Rosomaka kiedyś, jak cały ten szmat łądu i wody do tego rodu należał. No i tak trwało przez wszelkie katastrofy. Ten Odrowąż był ze stryjem Rosomaka w powstaniu, uratował go od śmierci i Sybiru, wywiózł za granicę, i ledwie go ubłagano, zmuszono, by przyjął folwark w nagrodę. Ma tedy folwark, dworek, jedynaczkę córkę tak urodziwą, jak ziemia w maju, zięcia mruka, ale bardzo porządnego człowieka, Szczepańskiego, wnuka Jasia — no i nowo narodzoną wnuczkę, niewiedomego mi jeszcze imienia. Co lato tamci spędzają z nami parę tygodni, bo koszą siano po polach, ile im siły starczy, w czym i my im pomagamy, a stary, byle miał czas wolny, z nami bytuje. Zimą pilnuje naszego raję!

Gdy na trąbkę przyszły do obroku zwierzęta, Odrowąż je obejrzał starannie, uwolnił od kleszczów, których Pantera nie dopatrywał, pochwalił źrebię, dojrzał dziurę w dachu obórki i zaraz ją zapchał szuwarami, a wracając do chaty, rozejrzał się po niebie i ziemi, zawęszył i rzekł do Rosomaka:

— Jutro będzie pogoda, a że woda zgórowała na niższe zalewy, możemy poszukać ryb w szuwarach z nakrywką.

— Wuju, i ja popłynę! — zawołał Coto.

— Tereferę kuku! Popłyniesz, ale po ziemi ze mną i z motyką do kartofli — zaprotestował Pantera. — Kto z garnka żyje, musi do garnka przysporzyć.

Coto milczał, wdrożony do posłuszeństwa leśnego, ale łamał głowę, jak by i robotę załatwić, i rybołówstwa nie stracić. Jakoż, za ledwie sprzątnęli po obiedzie statki, chwycił motykę i pomimo słoty popędził na warzywnik. Wrócił triumfujący przed wieczorem i zastał w chacie tylko Żurawia.

— Odziobałem całe pole. Wolnym na jutro.

— Pantera tego właśnie chciał.

— A gdzie tamci?

— Popłynęli obejrzyć wysokość wody, ot! wracają. Przynieś no wody z krynicy!

Wrócili i wnet się zabrali do porządkowania jakiegoś cudaczego kosza, który Rosomak zniósł ze strychu.

— Podobne do muchołówki, takiej szklanej — zauważył Coto.

— Twój wujko — majster do rybołowu. Zobaczysz, jaka to sztuka.

— To weźmiecie mnie z sobą?

— Popróbujemy, czyś udały. Rybactwo — to jak gra w karty, ślepa rzecz. Bywa kompan szczęśliwy, bywa i złooczny. Popróbujemy, jakiś ty!

— Umieć już kosz nastawić i pływać ma mnie wuj nauczyć, i raczej pieczary znam nad jeziorem, i wiem, jak się każda ryba zwie.

— Nawet i taka, co piszczy? — uśmiechnął się Odrowąż. — I pewnie kielbie umiesz łapać?

— Nie, piszczącej nie znam ani kielbi. Niech mi ojciec opowie o strzelbie z powstania — będę słuchał do północy.

— Hej, gadki się prawi po św. Marcynie albo spoczywając w skwarne, niedzielne południe. O tej porze światła nie wypada świecić wieczorem. Ze słonkiem trza iść spać, na żurawia wołanie wstawać.

Jakoż stary wypił kubek mleka na wieczrę i zaraz poszedł spać do alkierza Pantery, który ulokował się na stryszku chaty.

Coto postanowił świtu nie zasypiać, lecz zbudziły go nie trąby żurawie, ale monotony, przeciągły głos ludzki.

To Odrowąż odmawiał godzinki, a na świecie był pogodny ranek.

— No, odwalona ślota-wiedźma — rzekł wesoło Pantera, zeskakując z góry, i stanął nasłuchując.

— „Tyś niezwykłego plastr miodu Samsona”. — To jeszcze dobrą chwilę potrwa, nim dziad skończy — szepnął. — Chodź, pokaż ci pływanie.

Świat deszczem obmyty, aż oczy rwał krasą. Polecili prawie nadzy do ruczaju i Pantera po swojemu wciągnął chłopaka od razu w głęboką zatokę, że się wnet zaczął topić i bezradnie, rozpaczliwie miotać w wodzie. Tedy go podtrzymał i bawiąc się, sztuki pływakie pokazując, ośmielił, lęk przemógł, sposobów uczył.

— Nie takie to straszne, jak się zdaje — rzekł Coto, gdy po pierwszej próbie na brzeg się wy dostał.

— Nie ma tu nic straszego, bo jakbyś się nawet utopił, to raz śmierć! — zdecydował filozoficznie Pantera, wycierając się garścią szuwaru i naciągając suchą bieliznę.

Gdy wrócili na śniadanie, Odrowąż godzinki odśpiewał i ozuwał się na przyzbie.

— Zaraz ruszemy? — spytał Coto.

— Ryba nie zwierz, nie żeruje o świcie. Lubi słonko, jak owad! Chyba wiosną z luczycywem jej się szuka i bije. I za godzinę będzie czas!

Nie kwapili się. Przy śniadaniu zaczęli sobie opowiadać różne rybackie wydarzenia; potem wypalili po parę fajek i nareszcie ruszyli.

Na przodzie czółna zajął miejsce Rosomak, mając pod ręką cudaczny swój kosz. Odrowąż umieścił się w tyle, a Coto przykucnął w środku.

— Do koszów i zaglądać nie warto — woda poszła wyżej hatów. Od razu płynemy za jezioro w tatarak! — rzekł Rosomak, biorąc się do wiosła.

Coto podziwiał, jak czółno w ich wodzy zwrotne było, zwinne, lekkie. Przemykało przez ciasne przesmyki, kręte prostki. A oni, wiosłując od niechcienia, gwarzyli o zwierzu i o borze, o życiu letnim i zimowym tej bożej głuszy; tylko nie było mowy o ludziach.

Wreszcie wypłynęli na bezbrzeżną połąć zatopionych nizin, porośniętych szuwarami i tatarakiem. Z rzadka, jak bukiety, stały łożowe krzaki i wypryskały nad kobierzec zielony czuby wodnych żabieńców i kobylnika.

Badawcze oczy rybołowców objęły bo wodne pole. Umilkli, fajki wsunęły w zanadrze, przygotowali się do roboty.

Odrowąż wiosło ujął staranniej, Rosomak swoje wziął w lewą rękę i z koszem w prawej stanął na samym czubie łodzi, kędy tylko na dwie stopy było miejsce i najłżejsze zachwianie groziło przymusową kąpielą.

— Może ja pomogę wam wiosłować, ojczy — rzekł Coto.

— Cy! Siedz cicho! Nie przeszkadzaj! — fuknął dziad, wpatrzony w Rosomaka. Czółno posuwało się powoli, prawie dnem muskając o trawy.

Rosomak oczami badał toń i niekiedy ruchem wiosła wskazywał kierunek. Coto oczy wytrzeszczał, ale nic nie widział i nic nie rozumiał.

Nagle Rosomak kosz w wodę cisnął i nogą go przydeptał, jednocześnie wiosłem utrzymując łódź w miejscu. Było to mgnienie oka, ale w tej sekundzie Odrowąż swoje wiosło zaparł w grunt, a Rosomak nogę cofnął, kosz poderwał i wytrząsnął zeń sporego szczupaka.

— Udało się. Dobry czas! — uśmiechnął się Odrowąż, wyjmując wiosło i garnąc znowu wodę powolnym ruchem.

— Jakże to? Jak wuj wiedział, że tam jest ryba? — spytał Coto, aż oszołomiony tą sztuką.

— Uważam na ruch trawy, gdzie ryba żeruje. Nie zawsze się trafi! — odparł Rosomak spokojnie.

— To straszna sztuka, wuju, tak się utrzymać: i siebie, i kosz, i łódkę. Jak wuj to potrafi! — zachwycał się chłopak. — Ja bym się skąpał.

— I jam się nieraz skąpał i z innym sternikiem nie dam rady. Rybactwo takie wymaga, by dwaj byli jak jeden. Widzisz — ot tam! — ryba chodzi!

Umilkł, znowu się cały we wzrok skupił i naprężony do rzutu i skoku, ruchem lewej ręki dawał znaki.

Zapał ogarnął Cota. Podniósł się i aż drżał. Znowu rzut kosza, małe drgnienie łodzi, przedziwna zwinność rybaka w utrzymaniu równowagi i znowu błysnął w słońcu biały brzuch ryby, spadając z kosza do czółna.

— Dzieciuch ma szczęście! — rzekł Odrowąż. — Zbieraj ryby do torby i nie stój, bo mi zasłaniasz!

— Boże, żebym jak tak potrafił! — westchnął chłopak.

Bywały jednak rzuty chybione. Wtedy Rosomak mruczał: — pudło! — a Odrowąż spluwał w wodę. Bywała zdobycz marna; płotka, drobiazg! Wtedy Rosomak mruczał: — szlak znaczy, jakby krynolinę nosiła — a Odrowąż komenderował chłopcem:

— Wyrzuć do wody z powrotem, nie dla nas taki towar!

Po tym zielonym łanie płynęli zygzakiem, nawracając, krążąc, pochłonięci namiętnością łowiecką, nie rachując ani czasu, ani sił. Słońce dogrzewało mocno, po twarzy Rosomaka spływał pot; chłopcu od wpatrywania się latały płatki czerwone przed oczami. Aż wreszcie z kosza na dno łodzi spadło coś czarnego wielkości talerza.

— Ot i „czerepacha”, tfu! — splunął Odrowąż. — Już nic nie złowim po niej.

— Żółw! — krzyknął Coto. — Będę go hodował!

A Rosomak spojrział na niebo, odłożył kosz i zstąpiwszy w środek łodzi, usiadł i wydobyl fajkę.

— Południe, ryby w głąb poszły. Możemy spocząć. Pod ławką jest torba z chlebem. Jedz, chłopcze!

Starsi palili, rozglądając się. Płactwo wodne krążyło z wrzaskiem, czajki i hryce najzuchwalej dopadały i łajały intruzów.

— Dzieciuch ma szczęście! — ozwał się nagle Odrowąż, dając wyraz myślom, które snuł. — Bo i z rodu szczęśliwego ma krew, choć nazwisko inne. Tak to, chłopcze, możesz się górnice nosić. A żebyś wiedział, w czym rodu szczęśliwość: w tym, że umie jednak, bez lęku, tracić i nie rachuje dając. Trzeba dać — wszystko da, ani się zawaha, ani pożałuje. Tego nie potrafi ni głupi, mi cham! Na to potrzeba wiele razy wszystko stracić, wszystko oddać! Powiadał mi mój dziad, co był w insurekcji z panem, że nawet podjezdek w stajni nie ostał, a sprzedali nawet guzy od szat. A jak się mój dziad frasował, to pan się śmiał: „Co się krzywisz, jakbym na marmuzele³⁵ stracił! Rzeczypospolitej dano — skrypt mam”. I szramę głaskał na twarzy! — Zadumał się Odrowąż, fajka mu zgasała i potem jakby do siebie zamruczał:

— Jaśnie wielmożna Pani! Trza jej wszystko dać. Tak się należy!

Wytrząsł fajkę, wstał, wziął za wiosło i pchnął czółno.

— Poprobujemy na Pohybelniku: tam jazie okrutne się trafiają, a może i sum z głębi na mieliznę wyjdzie.

Pokręcił głową Rosomak.

— Tam spód torfowy, jałowizna, zimno. Kierujcie przez jezioro na zalany ług!

Rozpoczęły się znowu łowy.

— Wuju! — zaczął prosić Coto — żeby ja raz spróbował! Już widzę ruch ryby, już rozumiem, jak wuj nakrywał. Raz jeden spróbuję!

— Niech zbędzie ochoty! Tu płytko, nie grząsko. Niech się skąpie: woda ciepła! — poparł go Odrowąż.

— Co się mam skąpać! Potrafię!

— Na wszelki wypadek zdejm koszulę i zzuż chodaki! — rzekł Rosomak.

— Ale ja czuję, że potrafię! — upierał się chłopak. — To tylko zrazu wydaje się takie trudne. Teraz rozumiem.

Rosomak zeszedł ze swego stanowiska, oddał mu wiosło i kosz.

Coto stanął na krawędzi, zachwiał się, podtrzymał wiosłem.

— Na obu nogach twardo i śmiało stój.

— Ja wiem, tylko... o, już stoję.

— Wiosło podnieś, bo czółno trzymasz bez ruchu! — komenderował Odrowąż.

— Zaraz, zaraz! Tak się to zdaje łatwe. O, już!

W tej chwili stracił równowagę i głową naprzód wpadł w wodę.

— Aha! Już! — spokojnie rzekł Odrowąż.

— Mówilem: zdejm koszulę! — dorzucił równie spokojnie Rosomak.

Chłopak zerwał się na nogi i chwycił oddech. Trochę się zląkł, a najbardziej stracił rezon. Wgramolił się do czółna, a Rosomak, jakby nic nie zaszło, wyłowił wiosło, kosz, kapelusze i zajęł znowu swe miejsce.

— Oczom wszystko łatwe się zdaje, jako myśli i językowi! — rzekł Odrowąż. — Nic to! Skąpiesz się raz i drugi, za trzecim dostoisz. Potem, kosz ciskając, znowu się skąpiesz, a wreszcie sposób zrozumiesz i byleś uparcie chciał i rybactwo lubił, to będzie ciebie i łódź, i woda, i ryba słuchała. Władzę nad każdą rzeczą tak można wziąć.

— Ojczy, na lewo, żywo! Tam coś wielkiego chodzi! — szepnął Rosomak.

³⁵marmuzela (gw.) — panna z miasta, która lubi się stroić.

Podał się naprzód, wyprężył i skoczył. Cisnął kosz i siebie zarazem. Woda bryzgnęła pod nim, zakotłowało w koszu; — nie podnosił go, ale przez wierzchni otwór ramię zanurzył.

— Jest! Jakiś ludojad! — zawołał.

Odrowąż czółnem zawrócił. Coto, zelektryzowany, skoczył też do wody i do kosza się cisnął.

Po chwili trudu Rosomak zdobycz przytrzymał, Odrowąż wiosłem kosz podważył, Coto go do czółna wygarnął:

— Sum wąsacz! Osobliwość! Trzymajcie pod koszem, bo wyskoczy! No, teraz do domu wracać. Udało się jak w bajce.

— A czemu wuj nie zrzucił koszuli i chodaków? — zaśmiał się Coto, gdy obydwaj, do cna zmoczeni, znaleźli się w łodzi.

— Bo mi nie poradziłeś! — uśmiechnął się Rosomak.

Teraz dla rozgrzania parli łódź żywo, a Odrowąż takie znalazł prostki i przesmyki, że ani się obejrzeni, jak byli w swej przystani.

Rosomak huknął: nikt mu nie odpowiedział, tylko Kuba przyśmigał po gałęziach i skarżył się, że głodny. Odezwała się też klacz i nawet apatyczna Hatora oznajmiła, że jej się należy południowy obrok. A słońce stało dobrze po południu. Chata była pusta. Na stole leżała kartka od Żurawia, że przyszedł po niego chłop o ratunek dla chorej żony i że wróci zaledwie na noc. Ale Pantera o sobie żadnego nie składał raportu i Rosomak głową pokręcił.

— Figiel jakiś komuś płata, albo zasnął w puszczy. No, bierzmy się do roboty! Rozpalaj ogień, chłopcze, i przebierz się! Ja domowników nakarmię i krowę wydoję. Zaraz trzeba ryby oprawić, bo upał. Naści, Kuba, orzechów, nie lamentuj!

Odrowąż nie dbał o obiad i o spoczynek. Zaraz suma na trawę wywlókł, zabił i jął śluz ze skóry wiechciem i popiołem oczyszczać. Coto skoczył mu do pomocy.

— Pantera opowiadał, że raz w brzuchu suma znalazł żydowskie „bogomolie”. Podobno połknął cyrulika, który się utopił.

— A pantofle strawił! Ho, ho, Pantera widział pewnie i króla węzów z kamykiem, co czyni niewidzialnym. Tego kamyka on często używa!

— On także opowiadał, że dał gadzinie rozdrażnionej gałązkę lipową do ugryzienia. No, i gałązka zrobiła się gruba jak kolek. Czy to być może?

— Wszystko być może, byle znalazł się głupi, co kłamcy uwierzy.

— On mi obiecał to pokazać, tylko zmij nie spotkaliśmy tymi czasami.

— Jak się trafi zmija, to właśnie lipowej gałązki nie będzie pod ręką.

Rosomak przyniósł im mleka i chleba; na gotowanie obiadu nie było czasu.

Zajęli się wszyscy trzej sprawieniem ryby i tego się zmachali, gdy wreszcie ukazał się Pantera, niosąc w ręku przepysznego zielonogłowego kaczora.

— Byłem u pszczół na Puchaczym Ostrowiu! — zagadał swą fugę. — Lada dzień będą się roić! Okrutna siła! A wracając, patrzę: z sosny zrywa się jastrząb i coś błyszczący przyrososze. A to on, szelma, kaczora tego tam przyniósł i zaczął drzeć. Ot, na szyi znaki. Odebrałem! Ale i wam wyprawa się udała. Suma pod nakrywkę wódz wziął! Ot, majster. Dajcie, ojczu, zastąpię was! Palcie fajkę od komarów!

Odrowąż się wyprostował, obejrzał kaczora i krzesząc ogień z fajki, powoli odparł:

— Z sumem też osobliwość się stała. Płyniemy, płyniemy — patrzmy: sokół leci i bęc — coś nam w czółno upuścił. Tenci sum był.

— Ho, ho! Musiał nie sokół, ale nurek być — zaśmiał się Pantera.

— Nie. Sokół i pewnie ten sam, co tego kaczora na wodę ułowił.

I Odrowąż pokazał dziób ptaka rozdarty żelazem haczyka.

Coto na razie nie zrozumiał i patrzył zdumiony, aż go objaśnił wybuch śmiechu Pantery.

— Ot, i dopatrzył. Przed wami nic się nie ukryje. Mówiłem ci, rekrucie, mędrzec nad mędrce ten nasz nauczyciel.

— No, to opowiedzże, jakieś polował? W jeziorze, z herbuzem na głowie?

— Nie. Z brzegu, na Tęczowym Moście. Kaczki tam stadami żerują. Nawłokę kijanek na haczyki, puszczyć na wodę, a sam leżę i czekam. Fatyga niewielka, a sznurki od wędek o nogę zaczepić, to i przespać się można. Jak kaczka się złapie, to sama znać da i obudzi, za nogę ciągnąć!

Rosomak ryby oprował, i ani słowem się nie odezwał, ale milczenie to dobrze Pantera rozumiał, bo po chwili zaczął się usprawiedliwiać.

— Właściwie myślałem, że się szczipak złapie, ale te kaczki takie obżarte, że szuflują błoto, na nic nie zważając. No i te kaczory — to nicponie. Gniazda nie patrzy, samki nie pilnuje, o małe nie dba. Łobuzy błotne! Prawda, wodzu? Rozpustniki to i byłyby pewnie nawet pijaki, żeby kto tam na bagnie wódkę szynkował.

— Jeśliś się uczynił kaczym misjonarzem, to w ten sposób obyczajów nie poprawisz.

— Zawsze o jednego zbereźnika mniej!

— Pozostali cnoty nie nabiorą, ale chytróści w unikaniu misjonarza!

— Gotowe! — zawołał Pantera, prostując się. — Teraz niech nam doktor gotuje głowę suma, a ryby do pieca! Ażeby wódz na mnie nie był krzywy za tego marnego kaczora, to ja powiem, żem odkrył osobliwość. No — mówić?

— Pleć, pleciugo! — zaśmiał się Odrowąż.

— Znalazłem gniazdo kaczki na drzewie. Dalibóg — na sośnie!

Rosomak ruszył ramionami. Coto parsknął śmiechem.

— Bywa! — potwierdził Odrowąż. — Nawet ci opowiem, jak małe wyprowadza, bom widział: brała każde w dziób, zносиła na ziemię i kładła łapkami do góry. Leżały spokojnie na grzbiecie, aż zniosła ostatnie. Wtedy każde odwróciła na łapki i poszły za nią sznurkiem do wody.

Nikt mu nie zaprzeczył, a Coto jął się napierać, żeby go Pantera zaraz do gniazda prowadził.

— W niedzielę pójdziemy. A teraz, Pantero, chatnym ładem się zajmij, bo Żuraw wróci późno w nocy. Zresztą on już swój miesiąc odsłużył. Na ciebie kolej.

Pantera obładował się rybami i ruszył do chaty, pośpiewując:

Oj dej dy dy, oj dy dy,
Zaginali mnie do bidy!
Oj do bidy, do jakiej.
Dali latać przetaki.

Bujne wyprawy, walega po puszczy, cudaczne łowy i pomysły — wszystko trzeba było przerwać, zaprząć się do orki domowego gospodarstwa na cały długi miesiąc.

Przez chwilę osowiały był Pantera, potem coś sobie wymyślił na pociechę, bo zaczął pogwizdywać i uśmiechać się do siebie, i zabrał się do roboty z wielkim rozmachem.

ZNÓJ

Zapanowało nad ziemią słońce w całej potędze. Wieczne zorze nie gasły. Ledwie się stały bursztynowe na zachodzie, już wschód opalowy się czynił i po krótkiej nocy budził się świat do czynu. Bujały liście, kwiaty, słały się dywany coraz barwniejsze, po wszystkich gniazdach samki ogrzewały jajka lub zaczynały karmić pisklęta. Miodowa woń biła ku niebu z polan kwiatnych, upajała szarą chmarę pszczelą, podniecając do rójki. Jak srebrne flety grały po lesie wilgi, ostatni przybysze letni! Nie było to jeszcze lato, ale zaczynał się znój i gorączkowa praca tworzenia owocu z kwiatu, hodowania przyszłości.

Pod sosnami w słońcu zabarwiły się poziomki; w cieniu wystrzeliły pierwsze wielkie dzwonki; łąki zacerwieniwały od smólek.

Wszystkie te oznaki zbierał w myśli Pantera, przykuty do chaty, oczekując na coś, co go uwolni od gotowania i krzątania gospodarskiego.

Obierając kartofle, sprzątając, piorąc bieliznę, rąbiąc drwa, zawsze zerkał w kierunku kładek, które prowadziły do dalekich ludzkich osiedli.

Aż pewnego odwieczera, gdy szykował ryby do suszenia, posłyszał szelest w chaszczach i na polanie ukazał się chłopak wyrostek.

— Jasiek! A gdzie matka? — krzyknął Pantera, czując wielką ochotę do fiknięcia koziołka z uciechy.

— Idzie z ojcem i siostrą. Bo wiecie, mamy dziecko! — Marynka! A gdzie dziadzio?

— W puszczy. Aleście marudzili z przybyciem w tym roku!

— Czekalim na ciotkę, która się aż do Kalwarii pieszo ofiarowała. Nie można było domu bez opieki ostawić! A wiecie? W tym roku już i ja koszę!

Stanął chłopak wyprostowany i dumny, że znoju już jest godny, jak sławy. Na ramieniu niósł już kosę i grabie i spod kresów słomianego kapelusza patrzyły mu zuchwało czarne oczy. Kosę starannie zawiesił w cieniu, pozbył się torby i spencera³⁶ płóciennego i skwarem spragniony, poszedł do wiadra z wodą.

A na polanę wyszło dwoje ludzi. Kobieta smukła, wysoka, z dzieckiem na rękę i mężczyzna czarniawy, obładowany kosami, grabiami, łożową kołyską i torbami.

— Pochwalony Jezus! — pozdrowiła kobieta, uśmiechając się z serdeczną życzliwością.

— Na wieki! Witajcie, matko! — odparł Pantera. — Oczy wypatrzyłem, tak was wyglądam! Łąki czerwone, gotowe do cięcia, a was nie ma i nie ma.

— Ale za to robotnica nam przybyła! — zawołała wesoło.

Pantera zdjął kapelusz, ukłonił się nisko szerokim ruchem.

— Panie ojcze, pani matko! Pięknie proszę o rękę tej panienki.

— Z miłą chęcią. Bierzcie i trzymajcie! — zaśmiała się, podając mu dziecko.

Pantera wziął je na ręce.

— Witam cię, panno młoda, i biorę cię sobie za żonę. Wolno pocałować? Bardzo trafnie w matkę się udała. Oczki masz jak barwinek, a włoski ciemne. Na warkocze i ząbki jeszcze trzeba poczekać, widzę! Proszę panią do chaty, zaraz gniazdo jak dla wilgi uszukujemy!

— Kiedy żona dała wam córkę, mnie wypada dać posag! — rzekł czarniawy zięć Odrowąża, zdejmując z ramion swój ładunek i podając misterny łożowy koszyk na sznurach, pierwotną kołyskę.

W parę chwil instalacja nowo przybyłych została dokonana wedle corocznego porządku. Kobieta z dzieckiem zajęła alkierz, posłanie Odrowąża wyniesiono do sieni. Dla Cota i Szczepańskiego z synem wysłano obficie siana na górze i Szczepańska wnet objęła chatne rządy.

Pantera bawił się dzieckiem, przekomarzał z matką i promieniał radością, że zbył żmudnego obowiązku po dziesięciu tylko dniach dyżuru.

Udawało mu się tak co roku.

Ruszyli też zaraz we trzech obejrzeć trawy i wrócili wszyscy razem, bo się wnet zhukali w puszczy.

Coto wnet się z Jaśkiem zapoznał i zaczął napierać się kosy.

— Jakże to! — nudził Rosomaka — on ma tylko trzynaście lat i kosi, a ja mam szesnasty.

— Ho, ho, ja mam trzydzieści siedem i ledwie się dziś ożenił. Pojąłem waszą wnuczkę — ojcze. Zaraz, ledwie ją poznał, bo bałem się, że mnie Żuraw ubiegnie! — śmiał się Pantera.

— No i na teściową zdałeś swą robotę.

— Ale za to wyreczę żonę w grabieniu. Coto, dostaniesz kosę, nie lamentuj, mam pasową. A dogodzę ci przez wdzięczność, żeś mi doradził małżeństwo. Pyszny wynalazek! Zaraz mi przybyło powagi!

I na zadokumentowanie tej powagi dał susa w gąszcze, zabeczał jak kozioł i krzyknął:

— Hej, Jasiek, Coto! Kto goni Panterę?

Chłopcy pognali.

— On ich godzinę będzie wodził, a wreszcie gdzieś się przyczai, zmami, że i do wieczora będą szukali! — zaśmiał się Odrowąż.

Jakoż, gdy przyszli do chaty, zastali Panterę z „żoną” na rękę i z Kubą na ramieniu. Trochę tylko był zdyszany.

— Gdzie chłopcy? — spytał Rosomak.

— Szukają Pantery po puszczy.

Rosomak i Żuraw powitali Szczepańską, ale Odrowąż nie dał długo gawędzić.

— Póki jasno, narządźcie i poklepcie kosy. Jutro z rosą trzeba zaczynać!

Wziął tedy każdy kowadełko, młotek, kosę bez rękojęści i rozpoczęło się staranne, delikatne kucie.

³⁶spencer (z ang.) — krótka kurtka.

— Hej! Kwiaty, zioła, manny, kostrzewy, tomki wonne i kto was tam zliczy i nazwie! To wasza śmierć kosę ostrzy i zębi! — rzekł Rosomak jakby z żalem i z cicha, że go tylko druh Żuraw słyszał.

— Jedno dla drugiego żyje i ginie. Zostanie w ziemi korzeń, jak dusza! — odparł Żuraw.

Dzyń, dzyń, dzyń, dzyń! — podzwaniały po stali młotki, jakby dawali sygnał roboczego boju, a Odrowąż, jak wódz, każdą kosę, niby klingę szabli, pod słońce obejrzał, za godną uznał lub sprawić jeszcze polecił, a dla Cota sam ostrze wyklepał, w rękojeść osadził.

A właśnie i chłopcy nadbiegli zziązani, zamoczeni, w odzieży podartej, ale rozbawieni i śmiejący się, niosąc w triumfie kapelusz i chodak Pantery.

— Tropiliśmy jak ogary, ale Pantera od ogarów śmielejszy — wołał Coto.

— Rzuciłem wam chodak i kapelusz i widziałem, jakeście lecieli z nosami u ziemi, a ja siedziałem na Proszalnej Babie, nisko nad ziemią, a potem zeskoczyłem i poszedłem do chaty. Z was — rekruci, myśliwi z torbą na śliwy!

Odrowąż skinął na Cota i wyprowadzał go na polanę.

— Masz, dzieciuchu, kosę. Przypatrz się, jak osadzona. Tu oto ostrze założone na dzierzak, pierścieniem żelaznym i klinkiem umocowane. Czasami bywają okazje u nas, że się na sztorc oprawia, i wtedy kosiarze już się kosynierami zwą i koszą wraże łby. Narzędzie to tedy szanowne i nobilitowane, więc trzeba je szanować i utrzymać w takim ochędóstwie, jak żołnierze broń utrzymują, bo nie wiadomo, kiedy i na co będzie potrzebne. Rozumiesz?

— Rozumiem, ojczu! — odparł Coto, mimo woli prostując się, jak szeregowiec przed wodzem.

— To dobrze. Jak nauczysz się ciąć trawę, pokażę ci, jako się robi, gdy na sztorc założysz. Teraz tedy ujmij ot tak, stój prosto, ramionom daj rozmach i za każdym rzutem przy końcu zakosu prawą koniec ostrza nieco w górę poderwij. Ot tak! Nie kręć się cały jak wiatrak, ino w krzyżach, jak na śrubie się obracaj. No! próbuj!

Coto stanął w pozycji, zaczął machać.

— Niczego sobie. Pojmiesz! — zachęcał go stary. — Ramiona rozprężaj, nie garb się. Swobodnie, drobno zagarniaj, grzywy nie zostawiaj, podrywaj u końca. A jak czujesz, że tępieje, popraw *menteszka*. Ot tak! W takt, równo — możesz zagwizdać: „*Ej ostre, ej ostre, ej ostre kosy nasze*”.

— A jak na sztorc postawię, to będzie: „*Bartoszu, Bartoszu, nie traćwa nadziei*” — zaśpiewał Coto.

Uśmiech wygładził bruzdy na licu Odrowąża.

— Umiesz? Pewnie matka nauczyła? No to i chwała Bogu! Zdasz się do roboty.

— „*Bóg pobłogosławi, ojczyznę nam zbawi*” — podchwycił Jasiek.

— Panie! — rzekł Odrowąż do Rosomaka — może już oni doczekają sądu i wolni będą!

— Może oni, może ich dzieci lub wnuki. Sprawiedliwość przyjdzie i sąd być musi — odparł poważnie Rosomak.

Dzyń, dzyń, dzyń, dzyń! wydzwaniała lita stal kos. Chłopaki zawzięcie ślali pokosy. Ledwie ich zwołano na wieczerzę, a potem, leżąc obok siebie na sianie, gwarzyli.

— Ja bym chciał dostać się do Ameryki! — mówił Jasiek. — Ojciec powiada, że tam już jest z naszych wojsko, co tu przyjdzie Mochów i Szwabów prac.

— U nas w szkole jest tajny związek wojskowy. Po nocach się ćwiczą. Mają rangi i odznaki, i przydomki. Ale to wielki sekret i małych się nie przyjmuje, bo mogą się wygadać. A za zdradę kara śmierci. Ten, co stoi na czele, nazywa się Kruk, i tylko dwóch wie, który to.

— Ja bym się chciał nazywać Strzała.

— A ja — Tur!

— Spać, smyki! — zawołał Pantera ze swego legowiska. — Koszulę to jeszcze w zębach nosi, a już spiskuje. Wojaki, Tury, Strzały! A do krynicy po wodę w nocy lęka się iść, a byle za furtką, to już zablądził! Ojczyznę chce odwojować gębą, ale sam sobie w żadnej biedzie nie poradzi!

— To się pokaże przy sposobności — odparł zuchwale Coto i zaczęli szeptać z Jaśkiem.

Zdawało im się, że wcale nie zasnęli, toteż bardzo byli zawstydzeni, gdy ich Pantera wyciągnął z siana za nogi, wołając, że kosiarze czekają.

Ranek był ledwie perlowy i słońce nie wstało, gdy ruszyli szeregiem za przodownikiem Odrowążem, znacząc ślad ścieżki na rosie. Stary półgłosem odmawiał pacierze, a wszyscy milczeli.

— Śniadania nie będzie? — spytał Coto Jaśka.

— Z rosą najlepiej się kosi. Jak słońce wstanie, matka śniadanie przyniesie. W południe będziemy spać.

Wyprowadził Odrowąż swą gromadkę na szeroką haliznę wśród lasu, przeżegnał się i zakos pierwszy położył. Za nim stanął Rosomak i po kolei wyciągnęli się w szereg, siekąc równe sznury, ścieląc jednostajne wały trawy.

To głupstwo! — myślał Coto, machając zajadłe za Żurawiem, który czynił jakby od niechcenia, ruchem swobodnym, bez wysiłku. Doszedł do skraju Odrowąż i zachodząc na następny zakos, po robocie spojrzął.

— Coście się tak zgrzali, chłopcy! Za łakomo zajmujecie, ot, grzywy zostawiacie! Drobniej, wolniej, bo do południa nie wytrzymacie!

— Ale o! Wcale nie ciężko! — odparł Coto, zsuwając kapelusz z czoła i stając w pozycji do ostrzenia kosy.

— Zobaczmy tę łatwość jutro! — ozwał się Pantera. — Machasz jak wiatrak skrzydłami, i znaczny³⁷ będzie twój pokos na każdej polanie. Szczęście, że jutro ani ręką nie ruszysz po tym impecie. A kosę ostrząc, nie gap się na drozdzie gniazdo, ale patrz, jak i po co pociągasz *menteszka*, bo i do południa ostrze bez klepania nie starczy.

Ale Coto w swej zarozumiałości ino ramionami rzucił:

— Pantera zawsze do mnie coś czuje!

Legł jeden pokos i drugi, aż się ukazała Szczepańska ze śniadaniem. Spoczęli tedy w cieniu na krótką chwilę posiłku i wrócili do pracy. Słońce poczęło mocno dogrzewać; kosili tylko w bielźnie, pot spływał po twarzach i rękach, lica gorzały krwią. Nie odzywał się nikt, rozprzężały się płuca pośpiesznym tchem, spiekały się wargi pragnieniem.

Gdy zachodzili na nowy pokos, ledwie był czas obetrzeć twarz rękawem, a już nieustrudzony Odrowąż odsadził się naprzód i słał trawę na nowy wał.

Aż wreszcie na słońce spojrzął i stanął.

— Jedenasta! — rzekł — teraz poleżymy, prześpimy się, posilimy, aż żar spadnie. Na wieczorną rosę trza poczekać!

Na to hasło sformna jego komenda w mig się rozprzęgła, stawiając kosy jak broń na placu boju.

Pokazało się, że kosząc, każdy coś sobie upatrzył. Rosomak odszukał łożowy krzak i wynalazł w nim gniazdo. Żuraw nożem wykopywał jakiś korzeń, Szczepański wyrębał specjalnie zgiętą brzostową gałąź. Odrowąż wycinał hubę dębową. Pantera dopadł do na pół dojrzałych poziomek.

Tylko chłopcy padli na ziemię jak martwi i natychmiast zasnęli.

Nie słyszeli sygnału na obiad; nie było sposobu ich rozbudzić.

— Niech śpią — zdecydował Rosomak — przyniesiemy im tu jedzenie. Ochwacili się doszczętnie.

Gdy się zbudzili, był wieczór. Zerwali się, obejrzeni — byli sami na skoszonyj polanie. Obok nich stały dwojaki z jedzeniem i dzbanek z wodą.

— O Jezu! — krzyknął Jasiak — przespaliśmy cały dzień.

— I jak im się pokazać na drwiny Pantery — jęknął Coto.

Zamyślili się frasobliwie.

— Bo i wstyd! — szepnął Jasiak, bliski płaczu.

— Już lepiej wcale się nie pokazywać.

— A jakże?

— Uciec.

— No i co?

— Gdzieś osiąść osobno w puszczy na jakimś niedostępnym oblewie.

³⁷znaczny — tu: widoczny.

— Ty możesz, ale ja nie! Matka będzie się trapiła — odparł poważnie Jasiak. — Chyba jej powiem.

— No to leć i powiedz.

Pobiegł Jasiak, a Coto zaczął tworzyć plan owego osobnego bytu: schroniska na drzewie, posiłki z jagód i jaj ptasich, zaczął mu się ten projekt podobać, gdy nadbiegł Jasiak.

— Matka mówi, że dziadzio zostawił dla nas rozkaz, żebyśmy poszukali raków na wieczkę. Umyślnie nas zostawili.

— Może to nieprawda?

— Matka mówiła, słyszysz? Matka i za górę złota nie powie nieprawdy! — oburzył się Jasiak i gotów był do bójki, gdyby tamten ośmielił się pisać.

Miał już z sobą siatki i torby i na przełaj ruszyli do jeziora.

— Bolać cię kości? — spytał Coto.

— Iii, nie! Trochę! — bąknął Jasiak.

Woda orzeźwiła ich i brodzili z rozkoszą, a że raki dobrze się brały, po trosze zapomnieli i wstydu, i zmęczenia.

Gdy wrócili ze zdobyczą do chaty, tamci zawzięcie klepali kosy; jakby nikt ich nie zauważył, a przy wieczery Pantera stękał, że rąk i nóg nie czuje ze zmęczenia, a inni mu przytakiwali.

— Po lacku robimy, nie po chłopsku — rzekł Odrowąż — a nawet i chłopci połamani się czują na początku. Nic to, trza się wykapać i przemóc. Za parę dni zapomnimy! Żeby ino ten upał deszczu nie sprowadził.

Pokładli się zaraz spać i Coto śnił, że po dachu bębnią krople ulewy i można będzie leżeć w sianie do południa.

Ale był to tylko sen i zdało mu się, że chwilę zaledwie spoczywał, gdy go zaczął budzić Pantera. Pogodny świt wzywał do znoju.

Ale Coto podniósł się i ze stuknięciem na powrót upadł na posłanie. Okropny ból wszystkich mięśni, kości, ścięgien wyciskał mu łzy z oczu, przyprawiał o mdłości.

— Nie mogę się ruszyć! — wyjęczał z płaczem. — Zostawcie mnie! Chyba to paraliż.

— Paraliż! Czego to się zachciewa? Przemęczyłeś się, niezwyčajny roboty. Teraz się przemóż, bo inaczej tydzień męczyć się będziesz. Każdy z nas trochę nadwerężony, ale to się w robocie rozejdzie! Zęby zatnij i ruszaj się! Ot, i Jasiak skurczony i krzywy, a chodzi.

— Nie ruszę się, nie mogę! — płakał Coto.

— No to leż, płakso, smarkaczu!

— Damy ci imię Robotna Gęba! — zadrwił Pantera i zniknął w otworze strychu. Coto, jakby po policzku, zerwał się i potniejąc z bólu, dopełzył do drabiny.

Zginie, a nie zostanie. Umrze, ale bez wstydu. Ból aż mu kurczył twarz, ale niesłychanym wysiłkiem zszedł na dół. Wszyscy chodzili sztywno: to go pocieszyło.

— Bardzo połamany? — spytał Jaśka.

— Nie pytaj! Strach, jak wszystko boli. Nie chce się słuchać, bo jak uważasz, to aż w gębie kwaśno się robi. Tamci nic po sobie nie pokazują, więc wstyd mazać się! Matka mówi, żeby się wykapać, woda ból wyciągnie. Chodźmy!

Coto zawlókł się do kąpieli i rzeczywiście tyle go to wzmocniło, że mógł iść bez wielkiej męki. Ale gdy stanął w szeregu z kosą, myślał, że zemdleje przy pierwszym ruchu.

Szczęściem nikt go nie pędził. Kosili małe polanki, rozpierzchli się po zakątkach. Za nim kosił Rosomak i folgował. Gdy po chwili stanął, by oprawić ostrze, rzekł:

— Chłopcze, będziesz miał teraz dla trudu ludzkiego zrozumienie i cześć, bo sam to przecierpisz, co inni znoszą. Nie kosić się uczysz, ale przechodzisz szkołę zrozumienia pracy. Jutro już ci lżej będzie, ale pamięć bólu zachowaj!

Coto obejrzał się, że są sami, i rzekł z cicha:

— Ale, wuju, po co my się tak męczymy, żeby bydło Odrowąża miało siano.

Rosomak się uśmiechnął.

— A po coś się obejrzał i z cicha mi to mówisz? Czujesz, że zła to myśl. Przezań robić; jeśli tak czujesz, na nic twój trud.

— No, ale naprawdę tak jest.

— Naprawdę pracujemy dla pracy, z ochotą. Mniejsza o to, czyje bydło przekarmi się naszą pracą, byle sytość stworzeniu-pomocnikowi dał nasz trud. W mróz zimowy to siano da ciepło i siłę bydłociu, które pracuje dla człowieka. Współtowarzysz to pocziwy!

Zagarniaj, chłopcze, starannie tomki pachnące, groszki i tymotki i myśl, jak ci wdzięczne będzie zwierzę za opiekę i pożywienie. A czyje ono? Nasze czy nie nasze? Niech o tym myśli taki, co nie rozumie, że ino dusza jest nasza własna, a wszystko inne — dzierzawne i czasowe!

Umilkli, tylko z cichym szelestem słała się trawa, i Coto wstydził się swego odezwania.

— Hop, hop! Śniadanie! — rozległo się wołanie Szczepańskiej. — A co? Ruszacie się, chłopaki? — spytała.

— Ee, całkiem przeszło! — odparł Jasdek.

— Jutro już im nie nastarczymy! — rzekł Żuraw.

— Jutro wyprawimy ich, żeby ruszyli pokosy.

— Jeżeli pogoda posłuży, w sobotę trzeba stóg złożyć. Siano będzie jak szafran. Trzeba się związać, bo z pełnią się zasłoci! I głuchy święty nas posłyszysz!

— Jaki głuchy święty? — spytał Coto.

— A ten patron od deszczu. Przykazał mu Pan Bóg: idź, gdzie proszą, a on dosłyszał: idź, gdzie koszą. No i byle posłyszał ostrzenie kos, leje!

O południowej przerwie Żuraw zawołał Cota, by mu pomógł w kopaniu leczniczych korzeni, i zaprowadził go na pierwszą skoszoną polanę. Usiedli na pokosie już chrześzczącym i Żuraw rzekł:

— Masz gorączkę, chłopcze, i możesz dostać zapalenia stawów. Weź ten proszek i rozbierz się. Trzeba cię wysmarować! Jak się zaniedbasz, odleżysz tygodnie.

— Jaki doktor dobry! — szepnął wruszony Coto. — Istotnie, ledwie żyję!

I poddał się cierpliwie masażowi, a potem zasnął w cieniu, nakryty z lekka wonnym sianem, i zbudził się, jakby odrodzony.

Przy obiedzie dowiedział się od Jaśka, że i on przeszedł przez umiejętną kurację doktora.

— On taki dobry, że aż strach! — mówił Jasiek. — Dwa lata temu odratował mnie od śmierci! — tyfus miałem. I we dnie, i w nocy mnie pilnował, bo i matka ledwie była wstała!

— No, chłopcy. Wy już do grabienia się bierzcie, a starajcie się nam nastarczyć. Pojutrze całą gromadą stóg stawiamy! — zakomenderował Odrowąż.

Była to folga w znoju, inny ruch ramion i niejednostajny wysilek.

A największa była dla chłopców uciecha, że pracowali pod komendą „matki”.

Matką nazywali Szczepańską wszyscy.

Była dla tych wszystkich mężczyzn symbolem majestatu kobiecego, a zarazem kobiecego czaru i wdzięku. Żeby godnie czcić, a zarazem kochać, dali jej tę nazwę szczytną a pieśczośliwą zarazem.

Więc rano Coto brał na plecy kołyskę, Jasiek grabie, „matka” na ręce „pannę młodą” i szli do roboty.

Kołyskę zawieszano w cieniu na drzewie, dzieciak, osłonięty od owadów, zasypiał, a polany, gdzie grabili, rozbrzmiewały wnet śpiewem i śmiechem.

Coto zaraz zrozumiał, jak się siano zbiera w wały, jak się je potem gromadzi na „szczyńki” i znosi na grabiach wysoko, nad głowę, i kładzie na kopice. Oni znosili, „matka” składała; uwijali się na wyścigi, podnieceni, rozbawieni, ze śmiechem, pomimo że skwar smała ich lica, a pot parował na plecach. A gdy skończyli kopiec i chłopcy odpoczywali, i dopadali chciwie do bakłaszk³⁸ z wodą, „matka” odwiedzała gniazdo, zawieszane na gałęzi, dobywała swe piskłę, karmiła je i ucałowawszy, usypiała, kołysząc i nucąc.

Dzieciak był widocznie zdrow, bo nie grymasił i jakby rozumiał, że nie mają ludzie czasu do zabawy, zasypiał posłusznie.

Czasami od kosiarzy dochodziło ostrzenie kos i pod wieczór zjawiał się Pantera, jak mówił, w konkury do żony. Brał dziecko na ręce i nosił je, pokazując kwiaty i motyle, i prawil różne gadki.

Matka zostawiała ich wtedy i szła do chatnego gospodarstwa.

Umiała je prowadzić i miała czas na wszystko. Chata była umyta i ukwiecona, posiłek zwarzony, bydlątka dopatrzone, odzież i bielizna uprana. Gdy wracali z roboty, mogli

³⁸bakłaszk (reg.) — manierka.

spoczywać, nawet drwa znajdowali urąbane i pościele czysto zasłane, a kobieta uśmiechnięta, jasna wewnętrzną szczęśliwością, miała dla każdego dobre słowo, żart i staranność.

W duszy Cota, którą miasto, koleżeństwo i złe książki już skaziły, odzywały się czasem głosy jakby wstydu i skargi. „Matka”! Jakże on bywał dla swojej zuchwały, lekceważącej, niechętny! A profesorowa! Boże, czy Pantera o niej zapomniał, czy nie zażartuje kiedy wobec tej „matki”, i co ona wtedy o nim pomyśli? A wiersze, które pisał do Wandy Albersonówny, znajomej ze schodów, rozczochranej, rudej zalotnicy-pensjonarki!

Przechwalał się przecie z jej zaczepek, spojrzeń i chichotu przed kolegami, mówili przecie często o rozpuszcieniu i drwili z panien. Coto nie śmiałyby odezwać się o tym do Jaśki, z którym przecie zawarli przyjaźń i zmagali się na różne awanturnicze wyprawy, i snuli fantastyczne życie.

Najbliższym celem tych marzeń było otrzymanie leśnych nazw i przyjęcie w poczet leśnych ludzi.

— Tobie pół biedy, Jaśkiem cię wołają, ale mnie, jak kto powie: Coto! to jakbym w ucho dostał. Już się o nic nie pytam, już wszystko leśne rozumiem i zawsze: Coto!

— Trzeba czymś się wslawić, coś zdobyć! Żeby tak nazwali Lisem.

— Lis, dobrze? Ale jak to zdobyć?

— Czekaj! Jak się z sianem skończy, poszukamy jam. Wykopiemy całe gniazdo! Wódz Rosomak będzie rad, bo lisy tępi. Albo żeby znaleźć orle gniazdo, ale to chyba na przyszły rok! Ot, Orłem się zwać!

Marzenia te przerywały sen, a może i we śnie dalej się snuły, bo często w nocy Szczepański lub Pantera trącał chłopaków i upominał.

— A to rajkocą i krzyczą przez sen jak żaby w błocie.

Chłopcy milkli przestraszeni.

— Ojej, jeszcze nas Okrzakiem lub Bąkałą nazwą! — szeptał Coto.

Gdy kopic postawili kilkanaście, zjawił się pewnego ranka na polanie, gdzie grabili, Pantera oklep na Łatanej Skórze, ubranej w chomąto, i zawołał:

— Coto, przejdziesz z piechoty do konnicy!

— Aha, jutro stogi staną! — ucieszył się Jasiek.

— Nie jutro, ale dziś. Do południa trzeba kopie wszystkie ściągnąć ot, tutaj, a od obiadu cały leśny naród stoży. Rozkaz ojca Odrowąża, bo jutro ulewa!

— Oj, to dobrze! — wyrwało się chłopcom.

— Że pokosy zmokną, to dobrze? Oj, gospodarze z was, co mają tylko stodołę pod kapeluszem, a w niej wróble się gnieźdzą! No, żywo, bierz, Jasiek, linkę, a ty Coto, gramol się na szkapę! A może ci zydelek podać? Zaczynajcie od najdalszych. Muszę, matko, z żonką się przywitać! — Wziął dziecko na ręce i zaczął z nim tańczyć, pośpiewując:

Pada deszczyk, pada po drobnej krzewinie,
Kochajże mnie, żonko, ino nie zdradliwie!

— Oj, zięciu, zięciu, deszczu nie wywołuj, córki mi nie bałamuć, a chłopaków pokieruj! — śmiała się Szczepańska.

— Prawda! Coto pewnie pojęcia nie ma, czy koń ciągnie pyskiem, czy ogonem.

— Są ludzie, co ciągną tylko językiem! — warknął Coto.

Pantera parsknął śmiechem.

— A to ci rekrut pyskaty! Ochrzcę cię na pewno Gęba Rusznica! Zobaczysz! No, jazda, smyki!

— Może pyskować Coto, gdy mu ubliżają! — ujęła się Szczepańska. — Za dwóch robi i składnie mu idzie, na cud!

— No, kiedy matka za nim, to ja już nie ubliżę. Zajeżdżaj, Coto, do tej kopicy. Stój!

Tedy otoczył kopiec linką, przyciągnął na supeł, założył zań orczyk, który się włócił za postronkami chomąta, i uderzył dłonią po grzbiecie klaczy.

— Jazda, kieruj po równym, na polanę!

Zgarnęła się w sobie Łatana Skóra i posunęła się jak żywa kopica. Jasiek z Panterą eskortowali.

Gdy trzy kopice były ściągnięte, Pantera zostawił robotę chłopcom, a sam zaczął łąć rąbać i ułożyć spód pod stóg. Na sygnał obiedni robota była skończona i chłopcy obaj konno ruszyli do chaty, śpiewając.

— Będzie deszcz! Dziadzio się nigdy nie myli. Popłyniemy na jezioro, na raki, na ryby, będziemy pływać, nurkować! — cieszyli się rzetelnie, jak dzieci.

Odrowąż po niebie frasobliwie śledził, nie dał chwili spoczynku. Ledwie przełknęli strawę, już pędził.

— Żywo, widły, grabie! Wszyscy! Chałupę zostawić pustą. Żywo, bo nie skończymy! — Pobiegli wszyscy kłusem. Założono stóg, stary stanął na tym spodzie, a wtedy wszyscy z gorączkowym pośpiechem zaczęli zbierać siano na widły i podawać mu w górę.

I znowu Coto się przekonał, że był głupim rekrutem. Gdy tamci wszyscy nabierali na widły narecza ogromne, że aż się gięli pod ciężarem, gdy wznosząc brzemie, zadawali na stóg, jemu siano umykało, rozsypywało się, że donosił puste widły i rozpoczynał robotę na próżno, bliski płaczu, omdlewając z nieużytecznego wysiłku.

A towarzysze byli tak zajęci, tak się śpieszyli, tak ciężki mieli trud, że wprawdzie nikt zeń nie drwił, ale też nikt nie uczył i nie pokazywał sposobu. Pracowali, milcząc, popędzani jakąś grozą, która się zbierała w niebie, wypełzała z ciemniejszego widnokregu.

Stóg rósł, niknęły w nim kopice: był już tak wysoki, że przystawiono doń drabinę, wbito między szczeble żerdź, na której konno umieścił się Szczepański, odbierał pełne widły i podawał wyżej. Zwijali się zajadle, gorączkowo, bez chwili odetchnienia, aż z góry rozległ się głos Odrowąża:

— Zawieszam. Dobra nasza! Zbierajcie czysto, obierajcie boki grabiami, szykujcie powróśło! Już nam deszcz niestraszny.

A deszcz już leciał, już wichur się zerwał, chmury wychodziły nad las, zaczynało w nich huczeć, jak werbel na bitwę.

Ludzie jeszcze zajadlej pośpieszali.

— Powróz przyrządź! Ot tak! — zawołał Jasiak zdyszany, przypadając z Cotem do stogu i snując zeń siano, które Szczepańska skręcała w powróśło.

A tamci zbierali roztrzęsione resztki kopic i podawali wołając ochryple:

— Zabieraj — hop — odbieraj.

Wichur począł się z nimi borykać, szarpać siano, wydzierać z rąk brzemiona.

— Dawajcie sznur! — krzyknął Odrowąż.

Podano mu dwa, skrzyżował je na szczycie, końce utwierdzono w sianie, z wideł uczyniono parę stopni, po których stary zsunął się na ziemię.

Tedy przeżegnał się i jakieś litery w powietrzu w stronę chmur nakreślił.

— Nad chudobą naszą i nad nami Bóg łaskaw, dał czas i siłę, by dokonać. Niech mu będzie cześć i chwała.

— Na wieki wieków. Amen! — odpowiedzieli.

I stali chwilę wszyscy na widłach wsparci, dech łapiąc i uznojone twarze do wichuru zwracając; a wtem lunął deszcz i grzmot uderzył z chmury.

Tęgo wieczora, gdy Coto chciał wziąć łyżkę do ręki, nie zdołał zgarnąć palców.

Zawstydzził się i spojrział, czy kto to widzi. Ale wszyscy jedli i gwarzyli, tylko Żuraw nań patrzył, głową skinął porowumiewawczo i nieznacznie wywołał go do komory.

Kazał mu się rozebrać, położyć na swej pościeli i jął ramiona i ręce masować. Chłopak usypiał, śmiertelnie znużony, i tylko szeptał:

— O, dziękuję, dziękuję! Byłem mógł jutro z wami razem się znoić! O, byłem mógł.

I zasnął. Żuraw go okrył i rzekł z cicha do wchodzącego Rosomaka:

— Zwyciężył leśny duch. Rodzi się w nim nasza dusza.

— Chwała Bogu! Będzie szczęśliwy! — odparł Rosomak, przesuwając serdecznie ręką po ciemnej głowie śpiącego.

Nazajutrz padał deszcz, ale Odrowąż zaplanował kośbę³⁹, więc chłopcy nie mieli waka-cji, ale za to koszenie mokrej trawy było lżejsze i upał nie obezwładniał, więc dotrzymywali starszym kroku.

Dopiero po dwóch dniach, gdy dużo było zwalonej trawy, a pogoda się nie ustala-ła, kosiarze spauzowali i rozpiierzchli się. Rosomak z Odrowążem popłynęli na połów,

³⁹kośba — koszenie trawy lub zboża.

Szczepański z Żurawiem i Panterą darli łozy i pletli chodaki, a chłopcy pobiegli w las, by wyszukać lisich jam zamieszkałych. I tak myszkując, gapiąc się, zaglądając do gniazd, usłyszeli w powietrzu dziwny szum. Nad polaną nisko leciała szara kula.

— Rój, rój! — krzyknął Jasiak i pognał; skoczył i Coto, i rozpoczął się szalony pościg. Przez krze i zwały pędzili, ciskając na rój garście ziemi, liście, gałązki, krzycząc zdyszani, podrapani a zajadli.

Jakaś pierwotna żądza zdobyczy ogarnęła ich, jakaś pasja praocjów bartników. Darliby się tak przez bagna, trzęsawiska, wody, nie ustaliby, chyba martwi.

Aż wreszcie rój zmęczony opadł na krzew kaliny, na spoczynek.

Ciemne mrowie owadów uczyniło jakby szare grono i znieruchomiło.

— Wody, wody! Kropić, bo się za chwilę porwą! — komenderował Jasiak.

Coto przyniósł wody w kapeluszu i prysnęli na rój.

— A teraz co? Co z nimi robić? — pytał zdyszany.

— Dawaj koszulę, moja podarta! — jękał się Jasiak bez tchu, pomagając towarzyszowi rozebrać się. — Zwiążuj kołnierz i rękawy witką łożową, mocno — ot, tak, prędzej, nim się opamiętają i zaczną ciąć. Podsuń koszulę pod gałąź. Trzymaj uważnie, żeby wszystkie zamknąć. O, już się burzą! Ani drgnij! Trzymaj, niech tną, my przeciw leśni ludzie. Cierp, cierp, zaraz gałąź utnę.

Coto zaciął zęby, spełniał rozkazy; otoczył go szary jakby obłok: poczuł na ciele piekący ból, brzęk gniewny, zapach kwaśny jadu, ale się zapamiętał w postanowieniu, ani pisnął, ani się opędział.

I oto triumfujący stanęli po dokonanym dziele. Obydwaj spoceni, zziązani, brudni, jeden do pasa nagi, i poznaczeni śladami żądeł.

I trzymali, jako zdobyczą, cudaczny worek z koszuli, w którym huczał rozpacznie uwięziony rój.

— Czyja będzie zdobyczą? Bo teraz na pewno dostanie się nazwę! — rzekł Jasiak. — Dobrze będzie, jak nazwą Bartnikiem! Ja strasznie mam do pszczoł ochotę! Ale i tyś gonisz, i wodę przyniósł, i koszulę dał, i ciebie więcej ścięły! Chcesz, to nieś!

Zawahał się Coto, pomyślał. Byłaby to jego pierwsza zdobyczą i pozbyłby się nienawistnego przezwiska, ale czuł, że to by było fałszem.

— Nie, tobie się należy. Ja bym nie wiedział, co to leci, ani bym ścigał, ani wiedział, jak uwięzić! Nie! ty nieś!

— Dziękuję ci! Teraz z nami braterstwo jest na śmierć i życie! — wykrzyknął rozpromieniony Jasiak. — Włóżże moją koszulę, a ja lecę z rojem. To się wódz ucieszy! Świętojański rój — to skarb!

W osadzie zeszli się wszyscy na obiad, gdy wpadł Jasiak, nagi po pas, ze swą zdobyczą w garści i zadyszany wołał:

— Do wodza, niosę zdobyczą!

Rosomak wyszedł z chaty, a chłopak wyrecytował orację, którą sobie ułożył.

— Leciał rój! — ja za nim. On na skrzydłach — ja piechotą — i dognałem. Zebrałem, w com miał na sobie, i przyniosłem. Proszę wodza o borową nazwę i żem jest leśny „ludź” jako wy, starsi.

Coś mu się splątało w oracji, ale Rosomak zrozumiał i biorąc mu z rąk zdobyczą, rzekł bez uśmiechu, bardzo poważnie:

— Zuch jesteś! Rozważymy twe życzenia i dowiesz się wieczorem naszego postanowienia.

— Oszałał chłopak. Nagi biega po puszczy! Nie wstyd ci? — wdała się matka i wepchnęła Jaśka do alkierza.

— Do wieczora barć masz wystroić na przyjęcie twego roju! — zawołał za nim Odrowąż.

— Mam, dziadziu, mam chojar⁴⁰ upatrzone! — odpowiedział chłopak, zdyszany, kręcąc się w rękach matki, byle prędzej się oblec i lecieć.

Umieszczono rój w cieniu, uwieszony u gałęzi, i wnet wszyscy ruszyli, by mieszkanie mu urządzić. Zabrali z sobą długą drabinę, sznury, narzędzia i Jasiak triumfujący poprowadził.

⁴⁰chojar — stare, wysokie drzewo iglaste.

— Będą ludzie z dzieciaka — rzekł Odrowąż, gdy stanęli przy starej, samotniej sośnie wśród leśnej polany. — Ma oko! Dziupla ku wschodowi, konar nad nią jak okap. Byłe wewnątrz nie za obszerne, będzie barć cudna! No, chłopcze, strójże sam!

Jasiek już był na drabinie, a że nie sięgała, „leziwo” ze sznurów urządził i zawieszony u wylotu dziupli, dłutem i siekierą otwór oczyścił i wewnątrz spenetrował.

Nie mogąc bezczynnie wytrwać, Pantera wnet po sznurku z hakiem aż na górny konar się wydźwignął, konno na nim zasiadł i jak dwa dzięcioły kuli!

Podawano im z dołu narzędzia, mech, glinę, wreszcie zatwór z deski i ćwieka.

Po paru godzinach karkołomnej roboty zeszli na ziemię i pokładli się, jak martwi, ze zmęczenia, ale barć była gotowa.

— Będzie ta sosna Piastem się zwać — rzekł Rosomak.

Odrowąż spojrział na słońce.

— Biegaj, Jasiek, po rój! Można osadzać.

Nadchodziła najcięższa próba bartniczego egzaminu: bez żadnej osłony twarzy i rąk, bez skropnienia wodą, bez dymu musiał Jasiek rozdrażniony niewolą rój przeprowadzić do nowej osady.

Gdy wstępował na drabinę, w zębach trzymając huczące pszczoły, Odrowąż komenderował:

— Żebyś się nie śpieszył, żebyś się nie oganiał, żebyś się na nie nawet w myśli nie rozniewał. Po głosie słyhać, że matka jest, więc się nie zerwaj. Za pazuchą łyżkę masz. Pomalutku czerpaj i do oka puszczaj. A uważaj na matkę, żebyś nie uraził.

— Pomogę mu! — rzekł Rosomak, porwany swym amatorstwem, i wciągnął się po sznurze na górny konar.

— Wolę się gapić z dołu! — mruknął Pantera.

We dwóch na górze było lżej. Rosomak związkę potrzywał. Jasiek się wygodnie na leziwie umieścił. Otworzono więzienie, szary obłok ich otoczył, ale już Jasiek pierwszą garstkę do oczka przysunął i z cicha, radośnie szeptał:

— Idą!

Obydwaj wlepili oczy w szarą ruszającą się masę i nagle Rosomak, przechylony zupełnie głową w dół, zanurzył rękę w mrowie i szepnął:

— Matka!

Pieść jego szara była, jak kłębek. Przesunął ją do wrót barci i obydwaj zaśmiali się cicho, radośnie.

— Poszła! — szepnęli.

— Niechże jej będzie szczęśliwie! — rzekł z dołu Odrowąż, kreśląc krzyż nad barcią.

Teraz mądra chmara rzuciła się do barci całą masą, jakby rzeką szarą, jakby armią karną. Szły, szły, jakąś piosnkę nucąc, poruszając skrzydły, jak proporcami, obładowane miodem, kwietnym pyłkiem, błyszczące od blaszek wosku.

Miały ze sobą wszystko, co trzeba, by swe państwo założyć, pobudować, rozmnożyć się na miliony syte, karne i bezmiernie pracowite.

Teraz już tylko trzeba było czekać, by przeszły. Te, co zleciały, opadały i maszerowały niegłownie, te, co były obsiadły ludzi, szły po rękach, nie tnąc wcale.

— Na podziw dobre! — rzekł Jasiek.

— Mądre — dodał Rosomak. — Jakem matkę trzymał — ani jedna nie ucieła. Ależ bogaty naród! Będzie ze dwa garnce.

— Mam dla nich bukiet na nowe osiedlenie! — zawołał z dołu Żuraw, ciskając więź melisy i macierzanki.

Uchwycił Rosomak i zatknął nad zatworem barci.

— No, złaćcie! — wołał Pantera. — Pójdą i same bez waszej namowy.

— Ale! — upomniał Jasiek. — Nie wolno się śpieszyć! Nam tu dobrze. Tak cudnie pachnie żywicą, miodem i ziołami, a tak pięknie patrzeć, jak ordynkiem maszerują i śpiewają.

— Różne bywają przyjemności — trzeba temu wierzyć. Wódz już pół godziny głową na dół leży, a ty siedzisz na pętli bez oporu pod nogami.

— Wiadomo, bartnicka robota i uciecha — rzekł sentencjonalnie Jasiek.

— No to się cieszcie — my idziemy kosy klepać.

Tego dnia, gdy spożyli wieczerzę i zapalili fajki, Rosomak się odezwał:

— Czy jest tu między nami Jasiak Szczepański?
 Chłopak oczy podniósł, ale nim usta otworzył, odpowiedział Pantera:
 — Nie ma tu nijakiego Jaśka Szczepańskiego, jest Bartnik borowy, nasz druh i towarzysz.
 — A czy ten młody Bartnik miłuje pszczoły, nie krzywdzi ich, nie rabuje, nie gniewa się, gdy kłują, nie chowa ich dla przeklętego pieniądza?
 — Nie handlarz, ale miłujący jest! — rzekł Odrowąż.
 — I będę! — szepnął Jasiak.
 — A czy ten Bartnik, co chce naszym być, miłuje Boga, Stworzyciela tego boru?
 — Miłuje, pacierz serdecznie mówi i nigdy nie kłamie! — rzekła matka.
 — A czy ten Bartnik miłuje i nie czyni krzywdy wszelakiemu bożemu stworzeniu, co tu z nami żyje i rośnie w tym lesie?
 — Jako towarzyszy i przyjaciół miłuje i szanuje! — rzekł Żuraw.
 — A czy ten Bartnik nie ma w lesie, czego by się lękał w dzień czy w ciemnej nocy?
 — Ja się ino lękam wstydu! — odpowiedział hardo Jasiak.
 — A czy ten Bartnik umie wszelką leśną robotę, by w boru mógł żyć, choćby sam został?
 — Potrafi! — rzekł krótko zawsze milczący Szczepański.
 — Tedy Bartnik borowy jest naszym druhem i towarzyszem rodzonym! — zakończył Rosomak, wyciągając do chłopca prawicę do uścisku.
 Powstał Żuraw i Pantera, podali także dłonie, a potem chłopak wyrwał się na boży świat, bo nie chciał, by kto ze starszych widział, że mu z oczu leciały łzy, a w piersi tak się tłukło serce, że słowa nie potrafił wymówić. I odtąd nikt nań nie zawołał: „Jaśku”, bo by nikomu nie odpowiedział, ino dla matki czynił wyjątek.
 Po tym chrzcie leśnym mężczyźni zabrali się do klepania kos i Odrowąż rzekł do Rosomaka:
 — Widzi się dziecinną zabawkę, ale taką, co jej chłopak nie zapomni przez żywot. A pokieruje go w pracy i uchroni od podłości. Dzieciuch Bartnikiem zostanie.
 Milczał chwilę Rosomak, zapatrzony w klingę kosy, potem się wyprostował, objął oczami rozkochanymi las i niebo.
 — Dziecinność! — rzekł zamyślony. — Mnie się zdaje wielkim skarbem, że my tu wszyscy mamy dusze i myśli dziecinne. Może idziemy ku Królestwu Niebieskiemu, wedle Chrystusowych słów obietnicy.

JAK COTO ZDOBYŁ LEŚNE IMIĘ

Dziesięć zamożnych stogów stanęło po polanach, owoc ich znoju i trudu. Czerwiec się kończył, słonecznego triumfu i majestatu miesiąc, przepych barw, wzrostu i woni. Las był cały w kobiercach kwiatnych, rozświergotany młodzieżą ptasią, a już owocny, bo jagodniki dojrzały i barwiły ziemię.

Ludzi znoj i trud szcernił, zesuszyl, ale skrzepił, a Coto tak wyrósł, że odzież Żurawia nosił, a w drzwiach chaty musiał się schylać. Gdy skończyli sianokos, Odrowąż posłał Bartnika do domu, by obejrzał zboża, czy gotowe do żniwa, a pozostali zajęli się rybołówstwem zaniedbanym przez pewien czas. Brodząc po wyschniętych zalewach, Pantera z Cotem obmyślili zapalić Kupałny Ogień, bo była to właśnie wigilia św. Jana. Brodzili i wyciągali raki z pieczar. Połów był wspaniały, okazy olbrzymie.

— Ja to miejsce znam od dawna w sekrecie — śmiał się Pantera. — To raczej mactecznik. A spęzło się to plugastwo tutaj od zeszłego roku do zadartego przez wilki łosia.

— Zadarły olbrzymia, bo się walił ciężarem w lód, a one wierzchem się trzymały. Ale jak zadarły, ginąc, w głąb poszedł i tylko rakom się zdał. Przypadkiem brodząc, znalazłem w wodzie łeb i rogi. Siedemnaście miał rosoch. Patriarcha był. Czerep i rogi wydobyliśmy z wodzem, ale co do raków, tom mu się nie pochwalił. Oni czasem trzy dni nic nie dostaną, a ja idę jak do spizarni.

— Co my teraz będziemy robili, jak siano gotowe? — spytał Coto.

— Pomożemy w żniwach Odrowążom, a potem wódz myśli groblę rzucić na tę topiel do starych Puchaczycy Chojnar, żeby tamtą stronę móc zbadać dokumentnie. Tamtędy

można będzie do Żurawich Lęgów się dostać i może remizy znaleźć. Hej! Roboty nam nie zbraknie, ale w dzisiejszy dzień nas wszystkich pierwszy smętek trąca!

— Dlaczego?

— Słońce od dziś mniejsze! Idzie ku jesieni, ku ziemi, ku nocy. Ha, trudno! — stęknął i aby smętek odegnąć, dodał:

— Kupałę zapalim na Wdowiej Górze. Widna będzie aż na stałe łądy, gdzie ludzie mieszkają. No, mamy ćwierć raków — dosyć na wieczrę. Zostawimy matce w chacie i skoczmy stos kupalny przygotować.

Szczepańska, czyniąc wielkie porządki w chacie, przyjęła mile zdobycz, a oni, nie czekając powrotu towarzyszy, pobiegli w bór, a gdy wrócili o zachodzie słońca, Pantera oznajmił:

— Wodzu, palimy Kupałę. Ściągnęliśmy stos pod niebo wysoki.

— Dobrze. Wszyscy pójdziemy! Tylko ryb mnóstwo do sprawienia. Gromadnie trzeba pracować, żeby do wieczora skończyć!

Mniej się to Panterze podobało, ale stanął z innymi do roboty.

— Nie będzie głodu w post — mówił. — Żeby jeszcze grzyby obrodziły, to zimować będziemy jak króle. Ot — i Bartnik wraca.

Bartnik przyniósł więź kłosów żytnich i ciężki toból zapasów, przy tym różne wieści ze świata.

Ziarno wyłuskał na dłoń Odrowąż, obejrzał, w zębach spróbował.

— Dopiero po św. Piotrze można żąć — zdecydował.

— Pobujamy jeszcze tydzień po borze! — szepnął radośnie Bartnik do Cota.

— Jagodny tydzień! — rzekła Szczepańska. — Raki gotowe — chodźcie wieczerzać!

Zasiedli wkoło stołu, gdzie się barwiły misy pełne, i wśród chrzęstu łamanych kleszczy

Pantera rzekł:

— Coto, wiesz ty, że masz sam iść do Wdowiej Góry i stos zapalić?

— Dlaczego?

— Bo pierwszy raz Kupałę palisz i nie masz kwiatu paproci.

— A wy macie?

— Wszyscy!

— Eh! Ja ta w to nie wierzę!

— Przyznaj się, że tchórzysz albo boisz się, że nie trafisz w mroku.

— Nie sztuka trafić ani się lękam.

— No — to idź! Dowiedz tego!

Spojrzał Coto po wszystkich. Zdało mu się, że Bartnik się uśmiecha, a Rosomak bada go wzrokiem wąpiącym, że Odrowąż brwiami poruszył.

— Co to straszego? Pójdę! — rzekł śmiało.

— W boru, po nocy, niesamowito! — rzekła Szczepańska. — Pantera się ino droczy.

Pójdziemy gromadą, śpiewając. Kto niezwyčajny, to może i zabłądzić, i zalęknąć się.

Ale to tylko podnieciło chłopaka.

Zerwał się, wziął kapelusz, zapalki, zatknął siekierę za pas i wyszedł.

— Oświecę wam drogę! — rzucił junacko, zamykając drzwi.

Ale na dworze po jasności izby ogarnęła go ciemność i długą chwilę szedł znajomą ścieżką na oślep. Gdy się opatrzył, nie bardzo rozpoznawał, gdzie jest, ale szedł śmiało polaną, licząc, że przecie na szlak trafi. Jakoż odnalazł przetarty trop, ale zarazem wnurzył się w gęstwę, że już gwiazdzistego nieba nie miał nad głową, i ogarnęły go szmery boru tajemnicze, niepokojące nerwy. Zaczęła go trapić niepewność drogi w mroku, drażnić szelesty, trącania gałęzi, mdle światełka próchna i wreszcie stanął, czując, że mu serce bije na trwożę, a pot występuje na skronie.

I zaczął sobie w myśli powtarzać słowa Bartnika przy leśnym chrzcie: „Ja się lękam ino wstydu” — i poczuł, że mu się dusza krzepi.

I nagle zaczął śpiewać, bo mu strzeliła myśl: „Najlepsza kompania — piosenka”. I strach prysnął jak od czaru; rozejrzał się przytomnie, poznał tuż obok olbrzymi jałowiec — był na ścieżce.

— „Hej, bracia sokoły!” — śpiewał coraz głośniejsze i ruszył naprzód, już opanowawszy trawę. Gdy się z gąszczy wydostał, poznał, że drogi nałożył, ale się na haliźnie po niebie zorientował i pewny kierunku, triumfował:

— Pantera się okpi na mnie! Trafie! Bylebym dobrze ominął tę małą topiel i odnalazł suchy bródek między torfami. — Już się nie lękał. Tylko raz zadygotał, gdy mu spod nóg zwier się porwał i z łoskotem runął w gąszcze. Ale to sekundę trwało i już za zwierzem skoczył, myśląc:

Ten mi bród wskaże, bom niegłupi topielą iść!

Jakoż po chwili odnalazł przesmyk suchy, zatlił zapalną i trop na piasku obejrzał.

— Dziki! Ależ gmach! Odludek, emeryt! — szepnął.

A potem wnrzył się w bród i człapał po wodzie, bezpieczny, że nie ugrzęźnie, i że dopiął swego.

Przed nim wznosiło się Wdowie Wzgórze. Był to najwyższy punkt tej wielkiej polaci dzikiego kraju, jałowe wzgórze piasków, usypane przez prace przedhistorycznej przyrody.

Przez mnogie czasy macierz przyroda, nie znosząca jałowości, zasiała tam żdźbła nasienne, nauczyła rośliny żyć na wydmie. W zagłębieniach osiadły wrzosi, tworząc zwarty kilim; na łysych czubach chwyciły się ziemi szorstkie trawy o siwych wiechach puszystych, mchy i porosty, a wśród nich, jak klejnoty barwiły się w lecie słoneczne żółte nieśmiertelniki, karłowate macierzanki i drobniutki czerwone goździki.

— Patrzcie, jak się nasza Wdowa „wypimpiszyla” — mawiał Pantera. — Nadziała na siebie bursztyny, ametysty i nawet nieco rubinów. Babsko udaje tylko nędzę!

Na najwyższym szczycie wydmy czerniał tej nocy stos olbrzymi, u którego Coto się wyciągnął i czekał przybycia towarzyszy.

Noc była cicha, przejrzysta, bezmiesięczna, ale pełna gwiazd i rozmarzającej lubości letniej.

Lelki i sówki przemykały lotem bezszelestnym, polując na ćmy; z gąszczów odzywały się nawoływania żerującego zwierza, chrzęsty, szmery. Z jakichś bardzo odległych ludzkich osad dochodziły szczekania psów.

Coto zapatrzył się w gwiazdy, zadumał. Pieśni płynęły mu z duszy, jakby wtopionej w to niebo i byt natury.

Czuł się zarazem bardzo mały i bardzo potężny: atomem olbrzymia. A wtem z daleka dobiegła doń melodia.

Towarzysze szli od chaty i Rosomak nocy tej czarownej przygrywał na skrzypcach.

Wtedy Coto zapalił stos.

Płomień jął się suchego igliwia i mchu, zaczął biegać, jako jego obyczaj był, śpiesznie, łapczywie — wydzierać się ku górze, klaskając, pogwizdując, zbierając moc do wybuchu.

A oto do tonów skrzypiec dołączyły się głosy ludzkie: kobiecy, wysoki, górujący — i stare, jak owe bory, nawoływanie odwiecznej pieśni — „Łado, Łado — o Kupało”.

Stos zapłonął. Strzelił ogień ze szczytu, zabarwił purpurą i złotem niebo, oświetlił jaskrawo całe wzgórze.

— Zuch, Coto! — zawołał Pantera. — Północ! Znajdziesz, rekrucie, kwiat paproci.

Obstąpili wszyscy ogień, kończyli obrzędową pieśń, a potem Rosomak rzekł:

— Może przed wiekami to jedno wzgórze sterczało nad masą wód jakiegoś wewnętrznego morza i ludzie, mieszkający nad wodą, krzemieniem uzbrojeni, w skóry i łyka odziani, w tę noc aryjską pieśń do słońca już śpiewali.

— Tu są na szczycie wzgórza odwieczne lisie nory — rzekł Żuraw. — W wygrzebanym piachu znalazłem raz parę krzemiennych grotów.

— Hej, co w tej ziemi nie leży ludzkich kości i skarbów! — rzekł Odrowąż.

— Bośmy się położyli, jako stróże, na szlaku łupieżców, rabusiów i barbarzyńskiej dzicy, albo jak tama, chroniąca łąd od zalewu. Przez wieki ileż razy na tej samej moze górze płonęły nie tylko kupałne ognie, ale znaki płomienne czujności, trwogi — wołania: Orda idzie! Kozactwo idzie! Hetmańskie, starościńskie, wojewódzkie wici ogniste:

„Kto duży — do znaku, kto słaby — w tajnie boru!” Wy jeszcze, ojczy, takie znaki widzieli, my już nie, i dlatego myśmy zawsze w duszy smętni!

Zapatrzył się Rosomak w ogień, a wtem chłopcy poszeptali ze sobą i kopnęli się w las. Rozległ się łoskot siekier i wrócili, uginając się pod ciężarem rosochatego smolnego pnia.

Rozchybotali go i cisnęli w środek żaru.

— Łado-Kupało! — zawołał Bartnik. — Płońże, płoń na nasze młode szczęście, byśmy doczekali ognistych wici — do Znak!

— Ot, i nie smęćcie się, panie! — rzekł Odrowąż. — Doczekacie się i wy. Jak żywie duch, to śmierci nie trza się lękać. Sen-ci to tylko czasowy!

A chłopcy spojrzeli po sobie, wyprostowali się, wyciągnęli po żołniersku:

— „Jeszcze Polska nie zginęła” — zagrzmiało jak sygnał trąbki bojowej.

Wszyscy powstali i odkryli głowy.

Hej, rubieże dalekie Rzeczypospolitej, hej, kresy ciche, puste, zdławione, wyludnione, wymordowane, wysiedlone, zamzarłe dla szpiegowskiego oka triumfującego łupieżcy-kata, kordonami bagnatów i ziemskiej mocy, dokumentami rządów potężnych i kongresów od Macierzy oddarte i z kart wykreślone!

Taki wasz głos i takie w tobie kości i skarby leżą i oczekują na zew od Matki-Pani!

I gdy pieśń przebrzmiała, Odrowąż zaczął opowieść, co była jednym paciorkiem w różańcu dziejów.

— Jak nas rozbili pod Horkami, przedarliśmy się we czterech i zapadli w bory. Pan Seweryn, wasz stryj, ranny był w rękę, ja ino draśnięty po karku, ale było z nami dwóch kolegów z Korony: jeden z Siedleckiego, drugi chorąży, warszawiak. Podlasiak już miał pod czterdziestkę, żonaty i dietny; Chorąży, dzieciuch, gołowas, kędyś ze Starego Miasta łyk, a zwał się Stacho Dziembor.

Małe to było, chude, czarniawe, pyskate, klótlive i szczekliwe, a zacięte i śmiałe, jak jaźwiec, kulę dostał w biodro i wynieśliśmy go na rękach. Krwawił i mdlał, i tylko do mnie szeptał:

— Daruję wam Sagalasówkę moją, tylko wynieście mnie, by psiekrwie Orła nie dostały.

A sztandaru z garści nie popuścił, aż gdy go gorączka do cna zmogła już w bezpiecznej kryjówce, a i to, co się ocknął, wołał: — Mój Znak, mój Znak!

No, dobrze! Zapadliśmy w takie tajnie, com tylko ja jeden znał; i legliśmy. Pan Seweryn, że się na ranach znał, opatrzył wszystkich i mnie wysłano na przesłuchy. Dotarłem do dworu, poszeptaliśmy z kobietami; przyniosłem szmat, chleba, kordiałów, maści, no i tak lizaliśmy się z ran.

Jak gorączka panu spadła, przysła wieść ze dworu, że ucieczka za granicę konieczna i przygotowana, więc złożyliśmy naradę. Podlasiak i Chorąży musieli zostać. Jeden ciężko był ranny, drugi miał go pilnować, aż ja wrócę, pana wyprowadziwszy za kordon. Wtedy bym ich dwóch przeprowadził.

Chorąży tedy mi powiada: — Kolego, pamiętajcie, że Sagalasówka wasza, bo juchom Orła nie dalsicie i mnie na plecach wynieśliście. Coś mi się roi, że na Powązkach nie spocznię, ale tu w waszym borze. Mniejsza o to, żołnierski cmentarz — zielona dąbrowa! Byłe pod swoim Znakiem! Podlasiak mnie dopilnuje i strzelbę doręczy. Daj wam, Boże, szczęśliwie.

A Podlasiak powiada:

— Mnie szpetnie jakaś gorączka nęka, a muszę w swoje strony wracać, bo mam od naczelnika depozyt, całą sakiewkę dukatów mnie przed bitwą zlecił, ostatek kasy partii. I rozkazał pod przysięgą, żebym odniósł do Rady Narodowej wedle tajnego adresu. Tedy pośpieszajcie, kolego, z powrotem.

— A jeśli zginiemy? — powiada pan Seweryn.

A żeśmy żołnierze byli i twardzi, tedy Podlasiak powiada:

— Kto z nas żyw zostanie, będzie tu czekał miesiąc, a po miesiącu sam ruszy, bo snadź śmierć wam stanęła na przeszkodzie. Rachowalim, rachowali — zgodzili się!

Bo nam było, zda się, suto czasu, a im trudno było wytrzymać dłużej przy życiu w borze, bez ognia i ciepłej stawy.

I takeśmy się rozstali — na wieki!

Na granicy w ostatniej chwili postrzelił pana Seweryna *objeszczyk*⁴¹, żem go ledwie uniósł przed pościgiem; trza się było kryć po pustych szopach, mitrzyć ranę goić i dopiero po siedmiu tygodniach wróciłem w swoje strony na śledztwa, areszty, ciąganiny — i baty.

⁴¹*objeszczyk* (ros.) — konny strażnik pilnujący granicy Imperium Rosyjskiego w XIX–XX wieku.

Wykręciłem się jakoś cudem i ledwie wolny, poleciałem w bór. Kryjówka była pusta. Schodziłem, zdeptałem, przeszukałem puszczy, pytałem każdego drzewa, każdej piędy ziemi, zwierza, ptaka, gada: przetrząsnąłem gniazda i schroniska, każdą dziuplę i wykrot zbadałem — i nic nie odnalazłem. Potem i na Podlasie powędrowałem, dopytałem o dzieci naszego kolegi — nie wrócił do domu.

Tak obydwaj tu leżą i czekają bożej chwały.

— Anioł Pański zwiastował Marii Pannie... — zaintonowała Szczepańska.

— I poczęła z Ducha Świętego — odpowiedzieli wszyscy.

Stos płonął, pryskał, luną na niebie kwitł. Po pieśni żołnierskiej żywi wspominali modlitwą bohaterskie kości.

Ale Pantera nie mógł już dłużej utrzymać swej natury w tak wysokim napięciu i gdy skończyli modlitwę, zaczął podjudzać chłopców do skakania przez ogień i do różnych łamanych sztuk. Zaprosił potem „pannę młodą” do tańca i pośpiewując, pohukując, okrążył ognisko.

Potem namówił do śpiewu i przy skrzypcach i fletni Żurawia szła pieśń za pieśnią daleko w ciszy nocnej.

A wreszcie zaczęła Szczepańska prawić baśnie o kwiecie paproci i o skarbach.

Wyciągnięty u ognia, milczący Rosomak słuchał. Dorzucił słowo Pantera, Odrowąż, nawet Żuraw, nawet mruk Szczepański. On zapatrzony w niebo milczał.

— Wódz zadrzemał — odezwał się Pantera. — A pewnie nie byle jakie cuda widział i słyszał. A chodząc nocami po puszczy, może w chodaku miał kwiat paproci.

— Nawet go zawsze mam, a i to wam powiem, że każdy z nas go posiada! — odparł powoli. Wszyscy utkwili weń oczy pytające.

— Bo tak — mówił dalej. — W baśni tkwi cała mądrość pierwobytu, i trzeba baśń w życie wprowadzić. W baśni śmiałki zdobywają królowny i szklaną górę, i żywą wodę, i taką wołę i wytrzymałość trza mieć. Zdobywają szczęście, bo ofiarowują siebie, by słabych, uciemżonych, zaklętych wyzwolić. W baśni silny wspiera słabego, głupi dobry zwycięża silnego złego i w baśni stworzenie boże, ptaki, zwierz, gad, owad, wraca do przyjaźni z człowiekiem, do zrozumienia się, jak być powinno.

W baśni życia siły uzdrowienia, mądrość i jasnowidztwo dają źródła wody, krzepkość daje zbożowe ziarno; na szczycie, na tronie zasiada pastuch rodem, ale bohater z duszy i czynu.

Kto baśń zrozumie i żyć wedle niej będzie, ten posiadał kwiat paproci. Ten ma „oczy, co widzą, uszy, co słyszą”. Ten żyje mądrością przyrody. A jeśli kto z nas, tu bytujących, co by z doli swej nie był rad, drugim zajrzał, czegoś cudzego, obcego, dalekiego, innego pożądał?

Milczeli wszyscy. — No, toć kwiat paproci mamy w zanadrzu głęboko, skąd nie wypadnie: w sercu.

Powstał Rosomak, przeciągnął się, spojrział po niebie.

— Ot, i świt niedzielny. Żurawie-stróże już grają. Do dom!

Nikt nie myślał o śnie. Cudny, pachnący, rośny świt wstawał nad puszcza. Chłopcy z Panterą kopnęli się do kąpieli, a Szczepańska rzekła:

— Niedziela jagodna być powinna. Nikomu obiadu nie dam, kto pełnego dzbanka nie przyniesie.

— Trudno, trza matki słuchać — idziemy! — rzekł Rosomak.

— Ale pierogi na wieczerek sobie zamawiam! — dodał Odrowąż.

Jakoż, gdy chłopcy wrócili po kąpieli, znaleźli chatę pustą, a na progu trzy puste dzbanki i trzy kromki chleba.

— Aha, to znaczy: jazda po jagody! — zaśmiał się Pantera, porywając najmniejszy dzbanek. — Można się będzie przespać, najeść czernic i poprosić drożdżów, żeby pomogły zbierać.

— Do barci zajrzę, bo tam najwięcej poziomek — rzekł Bartnik.

A Coto, widząc Łataną Skórę, idącą wolno na pastwisko, wskoczył na nią i tak ruszył w las, na beztroską wędrówkę.

Za matką dreptała mała Agatka, kropka w kropkę, łatka w łatkę pstra miniaturka klaczy, i bawiąc się, skubała go za chodaki, bo zwykli byli swawolić i uganiać po polanach.

Dzień się zapowiadał upalny i Coto sen morzył, więc się wypraszał:

— Na odwieczarz, Agatko, pohulamy, teraz zaprowadźcie na polanę, pod omszony wykrot, w paprocie, i godzinę się prześpię.

Klacz też kierowała się na odkryte polany i wyprowadziła go na Murawiewską trybę, gdzie rosła dąbrówka wonna, i wtedy zaczęła się pożywiać pilnie.

Coto ześliznął się na ziemię, obejrzał, szukając najwygodniejszego legowiska.

Stare, samotne dęby rosły z rzadka, a zwały porąbanych olbrzymów, oplecione zieliskiem, wyglądały jak zielone, mogilne kurhany. Coto wdrapał się na jeden, między suchymi konarami się umieścił i, wpół siedząc i wpół leżąc, patrzył, czując, jak powoli rozkosznie zasypia. Klacz, pasąc się, oddaliła się znacznie. Agatka pozostała, skubiąc dla zbytku paprocie pod jednym z olbrzymów.

Nastała taka cisza, że słychać było brzęk owadów. Puszcza stała bez ruchu, bez głosu, pławiąc się w słonecznym południu.

I oto nagle Coto posłyszał trzask złamanej suchej gałęzi na dębie, nad Agatką.

Podniósł oczy i zerwał się jak puszczone z luku strzała.

Cały dramat trwał sekundy. Na konarze mignął mu potwór w skoku, piorunem strzeiliły z mózgu myśli, obrazy: Lithuania — śmierć — rys. I cisnął się, jak pocisk, między ten skok zwierza a źrebię.

Zwierz zwał się na niego, wczepił pazury w lewe ramię, obalił na ziemię.

Ból rozdartego do kości ciała, groza tamująca dech, instynkt drapieżny obrony... Przed twarzą zamajaczyła paszcza czerwona, cuchnąca trupem, oczy zieloną źrenicą przecięte i chłopak za gardło uchwycił bestię, dławiąc rozpaczonym wysiłkiem.

Sekundy to trwało i długo trwać nie mogło: ramię traciło moc, krew z rozprutej arterii bluzgała strugą, oczy zachodziły mgłą... Jeszcze sekunda — i będzie koniec...

Walka odbyła się w milczeniu, gdy wtem rozległ się tętent, i gasnącymi oczyma ujrzał Coto nad sobą ostatni obraz: rozdęte nozdrza, błyskające źrenice, łeb klaczy, zmieniony wściekłością. Dziko chrapiąc, dopadła do zwierza i skoczyła obu nogami na krzyże drapieżnika.

Ozwał się chrzęst łamanych kręgow, zdławiony spazmem śmiertelny pomruk bólu, i paszcza zwisała bezwładnie na piersi chłopca, ale on tego już nie widział i nie rozumiał, bo stracił przytomność.

I oto zawrzało w puszczy. Klacz, przygważdżając kopytami wroga, podniosła łeb i rżała dziko, a na to hasło „krwi” pędem z gęstwiny ukazała się Hatora i dopadła miejsca mordy, rycząc dziko, kopiąc racicami ziemię dookoła. Przytulona trwożnie do boku matki, wtórowała dyszkantem Agatka.

Ten sygnał zwierzęcy usłyszeli Rosomak i Żuraw, zajęci obserwacją jakiegoś porostu na zmurszałej osice.

— Domownicy na krew trąbią! Coś się tam stało. Lećmy na ratunek.

I pobiegli; dopadli w porę.

Rozległy się sygnały, trąbki, gwizdki, wołania.

Nieprzytomnego chłopaka w mig przyniesiono do chaty i oddano w ręce Żurawia do ciężkiego, bolesnego opatrunku.

Kręcił markotnie głową Żuraw, a wszyscy stali nad nim bez głosu, przerażeni; dopiero gdy krwotok doktor zatamował i obandażował ranę, Odrowąż rzekł:

— Nie sumujcie! Żyw będzie! Doktor niech swoje robi, a ja do domu zaraz pójdę i przyniosę swoich leków. Mówię wam, żyw będzie, tylko szmat krwi stracił, to i omdlał. A wy, Pantero, ze Szczepańskim skórę rysią pięknie obciągnijcie, a głowę zaraz do mrowiska zakopcie dla oczyszczenia! Rządka sztuka i trza będzie przeszukać: kędyś gniazdo być musi i małe, bo mleczna samica — bestia.

Gdy się Coto ocknął, leżał w komorze na posłaniu Rosomaka i czuwała nad nim Szczepańska. Przy oknie na stoliku Żuraw przyrządzał miksturę.

— Łatana Skóra! — szepnął chłopak.

— Co, dziecko? — szepnęła kobieta.

— Łatana Skóra uratowała. Już było po mnie. Dajcie pić! Doktorze, pewnie lewej ręki nie będzie?

— Będzie, będzie. Na skrzypkach grać będziesz, tylkoś ranny. Jakże to się stało?

— Na Agatkę miał skoczyć z konaru. Więc myślałem, że odepchnę, uduszę! Nie wiem, nic nie myślałem. Małej żal było! Ale to potwór! Żeby nie klacz!...

Mówił szeptem, rwały się słowa i zapadł w jakieś senne majaczenia. Wieczorem dostał gorączki i powtarzał:

— Widzi Pantera, widzi Pantera, pokaże się w okazji, żem nie Gęba Rusznica ani Coto głupi! Aha, Pantero, aha!

Czuwali nad nim na przemiany wszyscy. O świcie wrócił Odrowąż z torbą pełną flaszek i maści, i rzekł do Żurawia:

— Dopuści mnie doktor do pacjenta?

Uśmiechnął się Żuraw i spojrzął w okrąg puszczy.

— Od kilku lat pod waszym rektoratem uczę się w tej Alma Mater. Jakżebym waszej nauki nie czcił!

Stary mędrzec wziął tedy chłopaka w kurację, zlał ramię pięknie pachnącym balsamem, ugotował z ziół napoju, na rozpaloną głowę przyłożył okład chłodzący i to sprawił, że po dwóch dniach gorączka spadła i chory zażądał posiłku, a potem spał jak najspokojniej i po to się tylko budził, by wołać: jeść!

A wreszcie zbudził się pewnego dnia z uczuciem ozdrowienia i jakiejś wielkiej radości życia.

Wokoło panowała cisza i słoneczność, przez otwarte szeroko okna alkierza słało się ciepło letnie i zapach żywicy. Rozejrzał się Coto: był sam, ale za drzwiami słychać było jakiś roboczy szmer.

— Matko! — zawołał.

Ale zamiast Szczepańskiej ukazał się Odrowąż z miską w ręku.

— A co? Jeść chcesz?

— I jeść, i żyć, i gadać, i śpiewać! Opuściła mnie słabość. Tak mi dobrze! Dziękuję, ojczu.

Zaczął pożerać z wilczym apetytem polewkę, gęstą od ryb i kartofli, zaprawioną obficie śmietaną.

— Matki nie ma?

— Nikogo nie ma. Wszyscy u żniwa, ale co wieczór jeden przybiega o ciebie się dowiedzieć.

— Mój Boże, a czy dla mnie żniwa starczy? Już wstanę, ojczu, tylko lewa ręka jeszcze nie słucha!

Usiadł na posłaniu i poczuł pod stopami futro. Spojrzął.

— Bestia! — zaśmiał się.

— Należy ci się pod nogami ją mieć, a i czapkę ci Pantera zdobył.

I pokazał Odrowąż dwie małe skórki kociąt.

— Znalazł w dziupli dębowej. Podrapały mu szpetnie ręce, ale całe gniazdo szczelno dzięki tobie. A ot! i czerep masz na pamiątkę boju: mrówki oczyściły cudnie.

— Straszny zwierz, chyba mocniejszego nie ma w puszczy?

— Nie ma, tylko szczęściem rzadki. Dawniej bywało, że i niedźwiedzia zadarł. Teraz niedźwiedzi nie ma, ale łos mu się też nie obroni.

— Wyście go, ojczu, bili kiedy?

— Mało. Ostatni był lat dziesięć temu. Zadarł łanię i tak się przeżarł, żem go śpiącego na drzewie dopatrzył i zabił.

Coto siedział zasluchany.

— Jak dziwnie cicho! — szepnął.

— Bo już lato, lipiec. Ptaki skończyły gody, owady tylko w skwarze hulają i brzęczą.

— To już dawno leżę?

— Trzeci tydzień.

— O Boże! Tyle czasu bez roboty.

— Niewiele. Zdrową masz krew! Po kłach i pazurach rany jadłem jakimś zachodzą i ciężko się goją. Bogu dziękuj, żeś miesiąc nie odleżał.

Ujął go za rękę i począł jakimś tłuszczeniem maścić i rozcierać.

— Będziesz władzę miał, ale nie zaraz. To nic. Grzyby zbierać zdołasz, a to będzie pierwsza robota. Z nowiu już powinny się wysypać, bo ziemia kwitnie.

A wtem prędkie kroki rozległy się w ogródku i w progu stanął Bartnik zdyszany i uśmiechnął się radośnie.

— Już uciekasz z posłania! Chwała Bogu!

Uściskał dłoń chorego, pocałował dziada w rękę i prędko raportował:

— Wódz przysłał po miód, bo jutro u nas dożynki.

— Już? Tak prędko! — zdziwił się Odrowąż.

— A bo tak! Jak ludzie zobaczyli doktora z kosą, zaraz się zlecieli z chorobami, a on powiada: „Zboże nie może czekać; niech mnie kto wyręczy przy kosie, to idę”. Zaraz się rzuciło pięciu i kobiety do wiązania. A potem znowu przyszła gromada do wodza, żeby jakiś spór graniczny rozsądził, i w mig go wyręczyli. No i położyliśmy żyto i jęczmień, i rychlik już koszą. Ino huczy u nas na polu, a śmiechu, a śpiewu, a ochoty — że ha! Wódz kazał miodu przynieść i skrzypce! Zaraz do barci po miód skoczę, ino bym chciał mleka się napić, bo straszny skwar, a doktor krzyczy, żeby wody nie pić, bo ludzie zaczynają na biegunkę chorzeć. Ojciec już mendle zwozi na gumno!

I poleciał chłopak, a Coto też zaczął napierać się na boży świat, ale ino na przyzbie usiadł, tak jeszcze był słaby, i na płacz mu się zbierało, że lecieć, pracować, znoić się i cieszyć z nimi nie może.

— Nic to! — pocieszał go Bartnik, gdy wrócił z lipówką pełną miodu, i dał mu na miseczkę kawał plastra, jeszcze przejętego ciepłem i wonią ula — nic to! Ale co się dla ciebie szykuje, żebyś wiedział. Pantera z wodzem szepce, alem podsłuchał.

— Co? Powiedz!

— Nie wolno mi gadać! Zobaczysz!

I śmiejąc się, chłopak tobołki zabrał, pożegnał się i poleciał z powrotem.

— Ojczu! Co mnie czeka? Pewnie wiecie? — napadł Coto na Odrowąza.

— Nie wiem! Ale myślę, że cię czeka to, co się należy zuchowi: chwała i honor! — odparł stary, głaskając go po głowie.

Minął jeszcze jeden cichy, skwarny dzień letni. Coto już od rana wyszedł na podsień i rozkoszował się życiem. W naturze czuć było przesilenie, koniec jednego okresu. Wśród gałęzi drzew i krzewów ćwierkała młodzież ptasia, dopominając się u rodziców pożywienia, przelatując nieśmiało z konaru na konar; w skwarnym powietrzu bujały wielkie bąki, gzy i motyle, monotonnie gruchały turkawki, czasem przerywał ciszę krzyk sójki zwia-
stującej jastrzębia, a tło letniej muzyki utrzymywały świerszcze, bezustannie strojące swe jednotonowe skrzypce.

Słońce stało w potężde dojrzewania.

Na jarzębinach poczynały się barwić paciorki i wielkie liliowe dzwonki kwitły pod pniami brzoź, na których już gdzieniegdzie błyskały pojedyncze złote liście.

Świerszcze, owady lotne, turkawki śpiewały kołysankę, co wreszcie uspiło Cota, który się w ogródku na derce wyciągnął i dał się słońcu wzmacniać i goić. Aż gdy się ocknął, miało się na odwieczny i z puszczy wynurzył się Odrowąż i z zawiniętej poły kapoty wysypał na przyzbę kupę żółtych lisic i syrojadek.

— Ot, i pierwsze grzyby już są. Będzie urodzajny rok.

— Myślałem, żeście, ojczu, poszli na dożynki.

— A ciebie miała lania karmić, jak świętych na puszczy! Zanimbym zaszedł, to i oni wrócą. Pewnie na noc będą.

Zaczął stary grzyby na wieczerzę obierać i prawić leśne baśnie, i tak im zeszło do wieczora.

Chłopak upierał się, że doczeka towarzyszy, ale musiał po wieczerzy już spać iść do alkierza, bo jednak jeszcze go ten dzień zmęczył. A zresztą chciał przespać niecierpliwie oczekiwanie tego, „co się dla niego szykowało”.

Nazajutrz chata zawrzała zwykłym gwarem. Od świtu rozlegały się rozprawy Pantery przy obroku i doju, rozhovor Rosomaka z Odrowązem o żniwie, pogwizdywania Bartnika, klótnie Kuby z Żurawiem o orzechy i Coto począł do nich wołać, witać.

Ale przede wszystkim odbył się opatrunek kalectwa z wielką pociechą i radością, bo rana bliźniła się świetnie, a potem Pantera wziął się do toalety chorego.

— Na gody, panie młody, na gody! — mówił, strzygąc go, czesząc, szorując, oblekając w czystą bieliznę.

— Co za gody? Na jakie gody? — pytał Coto dopomagając, jak mógł, jedną ręką.

Ale Pantera stroił cudaczne miny, a potem po swojemu „prysnął” w las, stęskniony za bujaniem i swobodą.

Rozeszli się wnet inni, każdy do swej namiętności: Odrowąż z Rosomakiem na połów, Bartnik do pszczół, tylko Żuraw pozostał na gospodarstwie, ale się też zatopił w segregowaniu mnóstwa okrzesek, krzemienych grotów i siekier, skorup i glinianych paciorków, zdobywszy z dalekich łądów.

Po południu przybiegła Szczepańska. Zawiesiła kołyskę z „panną młodą” w alkierzu, jęła się po swojemu do roboty, napełniła weselem i śpiewem całe obejście.

— Bez kobiety śmiecie się u was gromadzi! — śmiała się do Żurawia.

— Nie może być ładu bez matki! — potwierdził.

Zaczęła tedy Szczepańska szorowanie gruntowne, umiała kwieciami izbę, bieliznę brudną wyniosła do wody, a pomagał jej Coto wedle sił, oczekując niecierpliwie wieczora.

Nareszcie, gdy obsiedli wszyscy stół z wieczerzą, ozwał się Rosomak:

— Jest tu wśród nas Coto?

W chłopcu zabiło na gwałt serce.

— Nie ma u nas żadnego Cota! — odparł Pantera. — Jest leśny nasz druh, Orlik bojowy, co z gołymi rękami na rysia się rzucił.

— A dlaczego się rzucił? Czy życia swego bronił?

— Nie bronił swego, ale cudzego życia, i takiego słabego stworzenia-zwierzęcia, co człowiekowi służy ciche i posłuszne, a bywa przez ludzi zwykle wyzyskiwane tylko i krzywdzone. A Orlik bojowy, jako bratu i przyjacielowi, skoczył na ratunek i omal swego życia nie postradał. Przeto mu cześć i chwała za taką duszę miłosierną.

— Chwała! — powtórzyli wszyscy.

— A czy Orlik bojowy czci w tej puszczy Boga Mistrza, co te cuda uczynił, i bratem się czuje każdego stworzenia, co z nami tu żyje?

— Czczę i szanuję! — szepnął wzruszony chłopak.

— A czy Orlik bojowy opanował nocny lęk puszczy i nie trwoży go wodna toń ni bezdeń trzęsawisk?

— Śmiały jest i spokojny! — rzekł Żuraw.

— A czy Orlik bojowy trzodzi się i pracuje z umiłowaniem trudu i pracy?

— Radosny pracownik jest — poświadczyła Szczepańska.

— Tedy Orlik bojowy jest naszym bratem i druhem serdecznym! — rzekł uroczyście Rosomak, powstając i wyciągając prawicę.

Powstali wszyscy, ale w tej chwili rozległ się za chatą ruch, szamotanie i rżenie końskie.

Nikt poprzednio nie zauważył, że Pantera z izby się wysliznął. Teraz rozwarły się szeroko drzwi chaty i tupiąc hałaśliwie kopytami wkroczyła Agatka, cudacznie przystrojona.

Miała na szyi wieniec z nieśmiertelników złotych, na grzbiecie rozpostartą rysią skórę, a u grzywy przy uszach skórki kociąt. Stała na środku izby trochę wystraszona i zarżała.

Na to hasło w otwartym oknie ukazał się łeb Łatanej Skóry, patrzącej dobroduszenie i odzywającej się uspokajająco.

Za Agatką ukazał się Pantera i rzekł:

— Domownicy proszą wodza za swym przyjacielem i obrońcą i polecają mi złożyć mu łup zdobyczny.

Coto nie znał słów na odpowiedź, tylko objął Agatkę za szyję i całował ją w chrapy, wycierając nieznacznie o sierść łzy wzruszenia.

A potem wyprowadzili się razem na polanę i poczęli harcować we troje, bo i Bartnik przyskoczył do kompanii.

Patrzała na tę swawolę z pobłażaniem Łatana Skóra, a z pewną krytyką flegmatycznie przeżuwająca Hatora.

I patrzył radośnie z płotu Kuba, ale się trochę bał przyłączyć do harców.

I odtąd nikt już Orlika bojowego nie nazwał Cotem, bo drogo swą leśną nazwę oplotił.

DZIEWICZY ŁĄD

Wedle przepowiedni Odrowąza w kilka dni potem wysypały się grzyby. Pantera pierwszy zjawił się z pełną kobiałką i dał hasło zbioru.

Jakaś zaciekle chęć zdobyczy opanowała leśnych ludzi. Był to przecie dar natury, szcudry do przeobfitości, dar puszczy, owoc ziemi pierwotnej i pierwotna była ich radość z owej manny cudownej.

Zaniedbano wszelkie zajęcia, nie pilnowano godzin posiłku, nie odczuwano trudu. Ledwie świt, pustoszała chata, rozbiegali się pojedynczo, bo każdy miał swe rewiry i zakąty, o których nie mówił innym, chcąc się największym zbiorem pochwalić.

Tylko Bartnik towarzyszył Orlikowi, by mu pomóc w dźwiganiu kosza, i Rosomak trzymał się w pobliżu Szczepańskiej, wyręczając ją czasem w piastowaniu dziecka.

Grzyby znoszono do ogródka na osobne stosy, które wieczorem rachowano i przygotowywano do suszenia.

Stanowiły też codzienny posiłek, bo na połów nikt nie wyżywał, a obierać kartofli nikt nie chciał, tak wszyscy bywali zajęci i zmęczeni.

Po paru dniach Rosomak jednak dzielenia i rachowania zabronił.

— Zsypywać będziemy na jedno miejsce, a jeśli chcecie, wszystkie wieczorem rachujcie. Nie nasz obyczaj przechwalać się jeden przed drugim.

— Bo i prawda! Bóg daje każdemu i wszystkim! — rzekła Szczepańska.

Milczał przecząco Pantera i chłopcy, ale ulec musieli.

Co wieczór palono w piecu i co rano, ale zbiór się nie mieścił do suszenia, i trzeba było nadmiar wysłać wozem za Tęczowy Most lub dostawiać do kładek, skąd zabierał do folwarku Szczepański.

Ludzie byli zapracowani, ale rozpromienieni robotą, pomimo całodziennych marszów, dźwigania ciężkich koszów i całodziennego głodu, gdyż brali z sobą tylko chleb, a pragnienie tłumili jagodami.

W chacie zapanowało takie gorąco, że nocowali na dworze, na pomoście, który wśród konaru starego jesionu zbudował z żerdzi i desek Pantera.

Szczepańska z dzieckiem sypiała na podsieniu.

Z wypraw tych, z bobrowania po wszelkich zakątkach przynosili zarazem i inne trofea: mchy rzadkie, węzowe skórki, narośle drzewne, czeczoty — gniazda, pióra, a wreszcie Orlik z Bartnikiem znaleźli losie siedmioletnie rosochy i przydźwigali z trudem, mając do roboty we dwóch tylko trzy ręce.

Urodzaj grzybów był bajeczny i ogarnął cały ten kraj. Szczepański przybył też z folwarku, opowiadając, że wsie były puste i roboty polne zaniedbane; wszyscy wybiegli w lasy.

Opowiadał też, że chłopci zachodzili nawet na tę stronę trzęsawisk, ale że pewnego dnia wrócili w popłochu, bo się im ukazał i gnał strasznie wyjął diabeł leśny czy wilkołak.

Oczy Rosomaka podniosły się na Panterę.

Nad stosem grzybów, oczyszczając je i sortując do suszenia, klęczeli we trzech, Pantera i chłopcy, szepcząc coś tajemniczo. Po twarzach latały im śmiechy. Zdawali się wcale nie słyszeć, co mówiono na podsieniu.

— Jednego diabła tylko widziano? — rzekł Rosomak, głos podnosząc. — Ja bo widziałem trzech.

Orlik nie wytrzymał, podniósł głowę, a Pantera podchwycił:

— Wódz to nawet jasnovidzenia miewa.

— Za trzy dni grzyby się skończą, już robaczeją. Dopiero za miesiąc znowu się wysypią! — zdecydował Odrowąż.

— Mam na ten miesiąc wielką robotę — rzekł Rosomak, gdy zasiedli do wieczerzy.

— Takich suchych błot nie było lat wiele. Moglibyśmy się do Pohybelnika dobrać. Jak myślicie, ojczce?

— Można spróbować! Tam nawet zimą w krąg są oparzeliska. Trzeba będzie łozy słać i mościć przesmyk. Siła nas teraz, to dokonamy.

— Przede wszystkim do Puchaczego Ostępu się dostać: tam jeszcze grzyby nie tknięte czekają.

— Na jutro zatem wyprawa!

— Bo i po drodze na Pohybelnik.

Ruszyli nazajutrz o świcie wszyscy szczęśliwi na całodzienną wyprawę. Las był cichy i zadumany, jakby w sobie skupiony i ciężki dojrzewaniem nasienia i owocu. Ćwierkała nieuczenie młódź ptasia, z jagodników porywały się drozdy spalone, pod stopami

chrzęściały zioła i mchy, poschnięte od skwaru, a z brzóz oblatywały już pozłoczone liście. Jarzębiny stały strojne w purpurowe korale i różowym nalotem poczynają się barwić kaliny i borówki.

Wrzosa były już w pęczkach, a po polanach kwitły tysiączniki i goryczki — późne kwiaty.

— Jesień idzie! — rzekł z westchnieniem Rosomak.

— Trzeba zacząć zbierać jarzębiny i zioła — zauważył Żuraw.

— Ba, jeszcze orzechy nie są gotowe. Jeszcze zabawimy ze sześć niedziel! — pocieszał się Pantera, coraz to wychodząc z szeregu i zbierając grzyby.

Chłopcy wypatrywali gniazd, ale wszystkie były już puste, tylko znaleźli mchową chalupe wiewiórczą, a w niej późny lęg, czworo rudych wyrostków, które się rozpierzchny błyskawicznie po gałęziach.

— Kuba, to pewnie twoje dzieci! — zawołał Pantera.

Ale Kuba, siedząc na ramieniu Żurawia, obserwował tylko leszczyny.

Stanęli wreszcie nad halizną torfowiska, naprzeciw Puchaczego Ostępu, i zabrali się do roboty. Błoto pożarło już wiosenne przejście, zaczęli tedy łozy rąbać, w pęki wiązać, a Odrowąż ścieżkę słał, wybierając wedle swego doświadczenia mniej przepastny szlak.

O południu, trochę pełznąc, trochę się topiąc, przedostali się do sosen i rozłożyli obozowisko; spoceni i obłoceni posilali się chlebem i mlekiem, i rzucili się, zamiast spocząć, do zbierania grzybów. Nikt tu dotąd nie był. Grzyby rosły jedną masą zwartą, całymi koloniami, różnego wieku i wzrostu. Bez trudu, bez szukania brano je i zrzucano na stos.

— Ale jak je stąd wydostać? — pytał Orlik.

— Posuszmy na miejscu! Palcie ognisko! — zakomenderował Odrowąż.

Wedle jego instrukcji wykopano szeroki a płaski rów i zapalono w nim ogień. Stary pozostał, by go pilnować i zasilać, a oni się rozpierzchni, żeby zbadać cały ostęp.

Rosomak z młodej sosny zrobił pierwotną drabinę i dostał się do barci, Pantera z chłopcami zaszył się w gąszczu, i wnet z triumfem przynieśli dwa już puste remizowe gniazda; Żuraw wydostał się na dalsze halizny błotne i znalazł kolonię kwiczolów, kilkadziesiąt gniazd po brzozech i chmarę ptaków żerujących na jemiolach.

Rosomak, znalazłszy pszczoły syte, bogate i bardzo wojownicze, ruszył też na wyprawę. Poskoczył za nim Orlik.

— Wuju, mogę razem pójść?

Skinął głową Rosomak. Zaszli się w gąszczu i chłopak mówił szeptem:

— Jakoś mi tu dziwnie! Inaczej niż tam, u nas. Jakbym był w kościele. I cisza tu inna.

— Chram natury! Rzadko i dawno tu ludzie bywali. Uważasz też szczeliny w gąszczu? To łosie i sarnie ścieżki. Idźmy cicho i milczkiem, możemy coś pięknego zobaczyć.

Ostęp stawał się coraz dzikszymi. Stare świerki cieniły się olbrzymimi, nawisłymi gałęziami, przesytyimi u ziemi gęstwą młodych brzóz, osik i zwałami drapieźnych jeżyn. Małe halizny czyniły powalone drzewa, osnute całe pełzającymi chmielami i powojem. Trzciny pokrywały nize, kłębiąc się w ściany zielone, w fale nieruchome, w okopy roślinne.

I wśród tego wiły się ciasne przetarte szlaki, którymi leśni ludzie przesuwali się powoli, starając się stąpać bez szelestu, nie trącać zielonych ścian. Cisza była tak głęboka, że słyszeli kucie dzięcioła za topielą, brzęk pszczoł, żerujących na kruszynie, i bicie swych serc. Nie odzywali się. Czasem Rosomak stawał i pokazywał to gniazdo rzadkie, to kwiat, to wiewiórkę na świerku, to sowę, przytuloną do pnia i prawie niewidzialną, to lelka złożonego we śnie, jak sęk drzewa. Tak szli, czytając księgę lasu.

Nagle drgnęli i znieruchomieli w cieniu świerku. Gdzieś na prawo w gąszczu coś się odezwało. Było to jakby pobekujące, głuche stęknienie i trzask łamanych gałęzi.

Rosomak wziął za ramię Orlika i wsunął go za sobą pod nawisłe gałęzie. Niewidzialni zastęgli w nieruchomości, w oczekiwaniu, w napięciu wzroku i słuchu.

Gąszczu ożyły. Jakaś moc druzgotła krze i młode drzewa, jakiś huragan je chylił i roztrzącał. Głuche, ponure mruczenie i trzask, jakby drewnianych kołatek...

Na roziskrzony, pytający wzrok chłopca Rosomak szepnął prawie bez dźwięku:

— Łoś idzie. Olbrzym!

I nagle rozwarły się gąszczu, znikły, jakby zdmuchnięte wichrem, i na haliznę o dziesięć kroków przed nimi wynurzył się kształt potworny i fantastyczny.

Na razie Orlik nie mógł zrozumieć.

Zwierz to był czy ruchomy roślinny gąszcz?

Nogi tonęły w krzakach, a potworny łeb był jedną masą zieleni, oplątany wokół kilkunastoramiennych rogów.

Masą tą zwierz rył, tarł wokół siebie, zbierając coraz więcej chmielu, jeżyn, gałęzi. I oto, czymś zaniepokojony, stanął na haliźnie i wyprostował się w całej potędze.

Parsknął i zawęszył. Ciemne, poważne oczy rozejrzały się wokoło, nagie, rozdęte chrapy zdawały się pytać, badać, myśleć. Doleciała go woń nieznaną, tajemniczą, a instynktowi groźna — dymu.

Nie spłoszył się jednak, ufny w swą mocarność, śmigłość nóg, znajomość puszczy.

Parsknął raz i drugi ze wstrętem, z pomrukiem jął znowu drzeć nogami pnące i powoli ruszył dalej, klekocąc racicami.

Za nim, korzystając z trzasku łamanych odrośli, ruszyli ludzie.

— Godowa pora! — szepnął Rosomak.

— Wieniec sobie nałożył na łeb! Ale mocz! Szpetny zresztą, ale jakby zjawa bajeczna — cudny.

— Prawdziwe bożyszczę leśne. Zaprowadzi nas w najtajniejszy matecznik.

Łoś nie trzymał się szlaków. Parł przed siebie, miażdżąc łoży, młode drzewa, krze, trzciny sążniste, jakby szedł po gładkiej łące.

I tak doszedł do skraju szerokiej połaci oparzelisk i topieli, otaczających, jak morze, tę wyspę leśną.

Stanął, zawęszył, zabczał donośnie.

Patrzył na drugą wyspę, czerniejącą w oddali.

Chwilę jakby słuchał stamtąd odzewu, potem skręcił w bok i zsunął się w wąską wodną strugę, wijącą się zygzakami wśród kęp i niskich zarośli.

Brodził, zagłębiał się, wytryskiwał nad błotem jego łeb umajony i wreszcie znikł w szaryźnie trzciny i mchów.

Jeszcze chwilę słychać było chlupot wody, coraz cichsze parskanie, i zjawa zginęła jak sen prabytu.

Rosomak za jego śladem zsunął się w wodę i spróbował gruntu.

— Nawet Odrowąż o tym brodzie nie wie. Możemy brnąć, a gdzie głębiej — płynąć. Ale to bezpieczny, starodawny przesmyk ciężkiego zwierza. Jutro możemy się dostać tam bez fatygi. Żurawie łęgi spenetruje Pantera, a wiosną przyszlą dostaniemy tam pewnie jaja głuszka, bo tam ich toki grają co rok.

Zawrócili z powrotem, rozmawiając głośnie, podnieceni, uradowani. Nie szukali drogi: prowadził ich zapach mocny suszących się grzybów.

Jakoż Odrowąż już stworzył pierwotną suszarnię. Nad żarem zasunął ruszt z prętów i rozłożył grzyby.

— Do jutra przywiędną, potem się znowu żaru napali, i skończone. Czego my nie zabierzemy na wóz, poniesiemy w torbach.

Towarzysze zebrali się już wszyscy. Żuraw czyścił jakieś korzenie, Bartnik plótł chodaki, Pantera rozłożył ognisko i piekł na żarze rydze.

— Coś taki milczący, Pantero? — zagadnął Rosomak, wyciągając się na ziemi.

— Nie widzicie, co robię?

— Widzę. Rydze przypiekasz. Tylko nie wiem, dlaczego nie solisz.

— Łzami solę! Czerwone jarzębiny, złoty liść z brzozy lejący i rydze! Toć jesień!

— Milknie wszystko i tęsknieje. Ale żeby spoczynku nie było i ponurości jesieni, i grozy zimy, nie byłoby szczęścia zmartwychwstania. Trzeba mieć ufność i mądrość ptaka, rośliny, zwierza. Mijamy, a trwamy.

Tu się zwrócił do Odrowąza i spytał:

— Czy znacie, ojczy, zwierzy bród przez Pohybelnik do Medwidły?

— Nie! — zdziwił się Odrowąż. — W Medwidle leżeliśmy wtedy, po powstaniu, aleśmy dobrnęli tamtędy, od jezior.

— Dziś nam łoś drogę wskazał. Jutro spróbujemy. Zanicujemy tutaj. W domu matka jest, to domowników dopatrzy.

— Dwadzieścia lat w Medwidle nie byłem, bo tam potem rzeka się zabagniła, i odcięty ostep ze wszech stron, a nie łakomy, bo ani łąki, ani grzybów nie ma. Matecznik

odwieczny. Na głuszce kiedyś się wybrałem, ale po barki wpadłem i ledwie żywy wróciłem.

— Spróbujemy losiego brodu. Teraz, chłopcy, trochę gałęzi na szałas urąbcie i przepłoszcie żmije, bo ich tu pełno. Powieczerzamy i spoczniemy!

— To może tam leży Chorąży? — szepnął Orlik do Bartnika — i może ten łoś, i te głuszce, co tam mieszkają od wieków, znają jego mogiłę.

— I może tam żyją pszczoły po odwiecznych barciach, i całe drzewa pełne są miodu?

— I może tam rysie się łęgna i siwieją ze starości?

— I może jeszcze są niedźwiedzie?

— A jedno pewne, że orzechów tam jest pewnie moc! — rzekł Pantera, układając na liściach pieczone rydze na wieczerzę.

Zmęczenie pracy i skwaru wnet objęło wszystkich. Zakopali się w mech szałas. Odrowąż u wejścia rozpalil dymne, z mokrych gałęzi świerkowych, ognisko, i tak zabezpieczeni od komarów i żmij posnęli, marząc o jutrzejszych odkryciach i cudach.

Zbudził ich rzeźwy chłód poranka.

Biała rosa leżała na ziemi; Odrowąż, mruczając godzinki, zbierał z rusztów grzyby. Żuraw szukał na próżno na brzegu bagna wody do mycia. Rosomak obierał z pleców Bartnika leśne kleszcze, pozbierane w gąszczach, Pantera już skwarzył na węglach rydze. A wszyscy się śpieszyli, gnani ciekawością.

— Prowadź, Orliku! — zakomenderował Rosomak.

— Byłeś trafil! — zaśmiał się Pantera.

Ale Orlik, już się nauczył kierować, bo już umiał czytać las jak książkę. Poskoczył na czoło szeregu i bez wahania ruszył, w myśli sobie wczorajsze obrazy odnajdując.

— Przechodziliśmy obok olszyny, tej tam, co ma złamany średni konar, potem na tę czerwoną jarzębinę, potem na osinę z dziuplą, z której grzywacz wyleciał: ma tam pewnie małe! A teraz przez ten zwał, co na nim były pióra z jastrzębiego mordy, a potem na ten świerk, co na nim hulala wiewiórka, i na ten zawrót ścieżki, co na suchej łozie ma pęczek sarniej sierści.

Przypominał, odnajdywał i prowadził bez wahania, aż wreszcie stanął i rzekł:

— Tu, z tych gąszczy wychynał i stał. A myśmy byli...

— A widziałeś srocze gniazdo za plecami? — spytał Pantera.

— Nie! Patrzałem na niego jak na zjawę. A wtedy runął na przełaj do brodu.

Stanęli wkrótce nad czarną ścieżką wodną. Rosomak na czoło się wysunął i zaczął się rozbierać.

— Odzież w tobolek i na głowę, bo może miejscami i nie zgruntujemy.

— Ba, ale nas pijawki żywcem pożrą — zaprotestował Pantera.

— Dobrnijemy żywi, tam się oczyścimy z plugastwa. Odzież bardzo będzie zawadzała.

Rozebrali się tedy i Rosomak zsunął się w czarną, wstrętną, gęstą wodę.

Spód był grząski, ale posuwali się naprzód, krzywiąc się i parszkając z obrzydzenia do zgniłych, cuchnących wyziewów bagna. Woda sięgała do pasa, następnie do ramion, wreszcie Rosomak zaczął płynąć. Błotniaki pozrywały się z kęp, krzycząc z podziwu i z trwogi. Bród się łamał i zakręcał. Zdawało się ludziom, że chyba nigdy się nie skończy. Orlik czuł, że lada moment wyciągnie się na kępę i umrze, taka go ogarnęła niemoc i rozpacz.

Aż wtem rozległo się wołanie Rosomaka:

— Już dopływamy! Mam grunt pod sobą i Medwidła tuż.

Szczeliną wodną ścieżka wnurzała się w dwie ściany leśne, utworzone z trzciny, kolących krzów i bezkształtnych trupów jakichś zwalonych drzew. Na pierwszy pień wypełził Rosomak i odsapnął.

Po kolei wynurzali się inni i obsiedli omszały czarny konar, dysząc i milcząc.

Wszyscy byli czarni od mułu aż do twarzy i wyczerpani zupełnie.

Odrowąż spojrział na słońce i rzekł:

— Brnęliśmy półtorej godziny. Musi być ze dwie wiorsty. Tęga przeprawa.

— Obierajmy pijawki! — zawołał Pantera. — A tu nawet nie ma gdzie się oplukać!

A cuchnie to plugawe bagno! Chwilami chciałem nos schować do kieszeni, ale kieszenie w tobolek na głowie.

— Od dziesięciu lat nie było takiego suchego lata i dlatego bród się uczynił. Inaczej dostępu by nie było! — rzekł Odrowąż.

Ubrali się śpiesznie i zeskoczyli poza pień na stały łąd. Ale tam utonęli wnet po ramiona w splątanej masie zielska i krzaków i stanęli bezradnie.

— Szczęśliwy Kuba! Bo tu nie wiadomo, jak się posuwać po ziemi.

— Można wodną ścieżką.

— No nie! — zaprotestował. — Wolimy siekierą i nożem wyrąbywać przejście.

— Żeby choć zobaczyć co osobliwego! — stęknął Bartnik, zaczynając rąbać i krzesać.

Zaczęli wszyscy pracować, w nadziei, że przecie dotrą do rzadszego porostu. Ale ostęp był jednolicie zwarty dołem, bo gdy się wydostali z nadbrzeżnych łoż i oczeretów, znaleźli przed sobą ścianę olbrzymich leszczyn, czeremchy, kruszyny, jarzębin, kalin — wszystko splątane chmielem.

Gdy słońce zaczęło dopiekać, pokładli się na zwalonych pniach, wyczerpani zupełnie.

Z zapasów mieli tylko chleb i suszone ryby; na szczęście gąszcz barwił się mnóstwem dzikich malin i jeżyn, i bez trudu można było ugasić pragnienie, a leszczyny oblepione były mnóstwem na pół dojrzałych orzechów.

Odrowąż i Rosomak zamiast jeść i spoczywać ruszyli dalej.

— Tu w głębi — wtedy — była wśród świerków polanka. Ale to już temu lat czterdzieści! — mówił stary, ogarnięty wspomnieniami.

Na pół pełzli pod zwałami. Prostowali się czasem, wydrapywali na zmurszałe kłody, starali się zorientować w kierunku, nie błądzić z powrotem. Aż zagroziła im znowu drogę wodna żyła brodu.

Zniecierpliwiony Rosomak zsunął się w błoto.

— Ostatecznie losie do czegoś dążą, do jakichś dalszych rewirów — ku jeziorom! Bród coraz płytszy.

Mieli ręce i twarze we krwi od kolących roślin i żudeł bąków i komarów, odzież zabłoconą i podartą; było lżej brodzić niż wojować z gąszczem.

Patrzyły na nich ze zdziwieniem węże, wylegające się po pniach, pomykały z wrzaskiem sójki i orzechówki. Nagle posłyszeli plusk i beczenie.

Ledwie się wtulili do brzegu, przeleciało obok nich stado saren z rogatym kozłem na czele.

— Ładny rogal! — rzekł Odrowąż z żalem myśliwskim.

A Rosomak z uśmiechem radości patrzył za nimi.

Wydostali się z błota na zwierzę ścieżkę. Rosomak dobył swą gwizdawkę i dał sygnał towarzyszom.

— Dziki tu gdzieś niedaleko leżą: barłóg czuć! — zauważył Odrowąż i wnet wskazał przemykający niski, rudy cień.

— Co tu może liszka szukać o tej porze? Łup jakiś ma! Ot, i drugi smyrną!

Ruszyli żywiej naprzód i wynurzyli się nagle na stratowaną haliznę.

— Ot, co jest! — zawołał stary, wskazując.

Na środku polanki, na wędnących ledwie zielskach zdeptanych jak tok, leżał nieżywy miody łoś. Miał złamane kręgi, wyprute wnętrzości i całe ciało stratowane raciami.

Pochylił się nad nim Rosomak.

— Ten olbrzym go pewnie zamordował, ten, com go widział wczoraj. Ale bitwa była ciężka: udeptali ziemię jak na turnieju.

— A ile tu śladów! Rachuję, że kłęp było ze siedem na godach. Spory młokos siedmiolatek! Już go liszki napoczęły, tej nocy wilki dokończą. Żeby mieć strzelbę, zasadzkę można by zrobić, tylko że skóry nic warte.

Rosomak zaczął gwizdać w pewien znany towarzyszom sposób, by ich zwołać co rychlej.

Odpowiedziały odzewy coraz bliższe, wreszcie wszyscy się zebrali i gwar nappełnił puszcę.

— Patrzcie, smyki, do czego doprowadzają amory! — Śmiał się Pantera do chłopców. A Żuraw badał po naukowemu zwłoki i rzekł:

— Szkoda, żeśmy nie widzieli turnieju. Bronił się po bohatersku. Jedną rosochę ma zupełnie utraconą i przednią nogę złamaną. Upadł i wtedy tamten rozpruł mu jelita i zdeptał.

— I poprowadził stado za sobą tamtędy! Ławą szli, jak prawdziwe weselne grono!

Praktyczny Pantera z Odrowążem już rozpalili ognisko, już stary zabierał się do zdjęcia skóry.

Chłopcy gapili się ciekawie. Żuraw badał obsady rogów, tylko Rosomak opodał się wyciągnął na ziemi i oczy od tych jatek odwrócił.

I ozwał się nagle po długim milczeniu:

— Uważam, że chcecie urządzać dziką indyjską ucztę, pożreć tego trupa, no i ten grzech odchorować. Wolna droga! Ale uważam zarazem, że chcecie, jak łup, zabrać skórę i rogi!

— Rozumie się! — zawołał Pantera.

— W takim razie zastanówcie się, jak tę zdobycz przeprowadzić przez łośi bród?

Zatrzymali się wszyscy w robocie mocno strapieni.

Aż Pantera, nawlekając kawał combra na drewniany rożen, rzekł:

— Jak się posilimy i spoczniemy, coś się wymyśli.

— Z żarcia rozumu nie przybywa! — mruknął Rosomak, zapalił fajkę i poszedł ścieżką w głąb ostępu.

Orlik dognał go po chwili.

— Zupełnie mi wuj apetyt odjął!

— Od dawna już mięsa nie jadam i coraz większy czuję doń wstręt. Nad cielskiem tym, jakieśmy przyszli, krążyły już wielkie muchy-robaczarki, a po ziemi zbiegały się wstrętne żuki-grabarze. We wnętrznościach gospodarowały już lisy cuchnące, a po gąszczach węszą już i zęby ostrzą wilki. Nie, w tej kompanii nie będę współbiedniakiem. Zresztą niegłodnym. Mam chleb, jagód nie brak. Zobaczę, dokąd weselnicy poszli; utowrowali wygodny szlak.

Jakoż szlak wyprowadził ich poza ostęp znowu na niezmierną bagien płaszczynę.

Łosie poszły błotem na przełaj ku dalszym czerniejącym leśnym ostępom.

Ale gdy tam wynurzyli się z gąszczy, nagle na prawo, blisko, potrwało się stado żurawi z ogłuszającym wrzaskiem bojowym.

— Ot i żurawie legi — ucieszył się Rosomak.

Szara chmura ptaków podniosła się w powietrze, zataczając koło; i oto z tej chmury jeden raptem spadł pod nogi ludzkie.

Instynktownie Orlik rzucił się ku niemu i porwał w ręce.

— Bacność! — krzyknął Rosomak.

Ale już było za późno! Ptak uderzył chłopca dziobem tak silnie w głowę, że ten jęknął z bólu i puścił go. Żuraw roztoczył skrzydła do wlotu, ale spadł powtórnie. Lewe skrzydło miał złamane. Tedy chciał umknąć piechotą, ale Rosomak z błyskawiczną szybkością cisnął mu na głowę swą bluzę, obezwładnił, skrępował i wziął pod pachę.

— Skazany na śmierć głodową. Niech idzie do nas na domownika. Taką zdobycz warto brać i trzymać. Możemy wracać i rozkładać na noc obozowisko. Daj, Boże, jutro na wieczór wrócić do domu.

— I ten okropny bród do przebycia! — stęknął chłopak.

— Widziałem, żeś ledwie dobrnął. Wrócisz wygodniej. Zwiążemy tratwę z leszczyny, naładujemy skórę, rogi, ciebie i przepchniemy do Puchaczego Ostępu.

— A tamci się głowią tymczasem.

— Odrowąż już pewnie leszczynę rąbie! — uśmiechnął się Rosomak.

Znaleźli towarzyszy śpiących kamiennym snem. Skóra łośia wisiała na gałęziach w dymie ogniska. Czaszka i rogi leżały na olbrzymim mrowisku, już czarne od mrowia naturalnych preparatorów. Resztki ofiary zawleczono w gąszcze i obozowisko przybrało porządną wygląd. Od ujścia brodu rozległ się odgłos siekiery: znaleźli Odrowąża przy pracy nad tratwą.

Obejrzał kalekę-żurawia.

— Trzeba go umieścić w ciemnym szałasie, dać wody, ryb, ślimaków, robaków, często zaglądać, żeby się z człowiekiem zapoznał. Za parę tygodni się oswoi, do ręki przyjdzie po

jadło i można będzie po trosze na swobodę puszczać. Dobry towarzysz, miałem takiego kilka lat na podwórzu. Nawet stróż bywa dobry.

— Tratwę robicie? — spytał Orlik.

— A cóż! Doktor by żałował czerepu i rogów, a Pantera nie porzuci skóry. Jakoś to urządzimy! A trzeba jutro wracać, bo chleba nie ma, a woda do picia obmierzła. Noc będziemy mieli z wilczym koncertem. Dziki dym poczuły i poszły. Tędy szły. Maciora z siedmiu warchlakami i dwa spore wycinki. Lisy czatują po chaszczach. Szykujcie łożę do wiązania drzewa i mchu do zatkania szpar nadrzyjcie.

Do wieczora związali tratwę bardzo wąską i pierwotną, ale trzymała się na wodzie, i Orlik, odpychając tyką, przeprowadził ją cały kawał drogi na próbę.

— Wytrzyma — zdecydował Odrowąż.

Wrócili do obozu i pobudzili towarzyszy.

W cieniu puszczy już zapadła noc.

Na hejnał żurawi odpowiadał żałośnie jeniec, spróbował poszarpać więzy, aż uznał bezsilność i znękany skulił się do snu, odmawiając jednak zuchwale przyjęcia posiłku.

— Głupiś! — rzekł mu Pantera. — Żeby mi w tej chwili nawet Moskał chleba dał i czystej wody, to bym wziął.

— A ja bym go „kujnął” w sam łeb wraży! — zawołał Bartnik, spuchnięty na całą twarz.

— Widzę, żeś barć znalazł — rzekł Rosomak.

— Dziwaczną, w zwałonym pniu. Bogata strasznie, ale...

— Zrobiły z ciebie księżyc w pełni, jak na obrazku.

— Przyleciały za nim aż tutaj i doktor, Bogu ducha winien, też oberwał. Ledwieśmy dymem je przepłoszyli.

— Narąbcie i znieście drzewa na całą noc! — rozkazał Odrowąż. — Stróżować trzeba będzie po kolei, bo wilki mogą i skórę zepsuć. O trzy mile zwęszą i przyjdą. Kto się w dzień wyspał, zacznie stróżę. My we trzech zaśniemy z wieczora.

Gdy ściemniało zupełnie, u ogniska zasiedli do czuwania Żuraw z Panterą.

Pantera, który się nie ruszał, nie psocił, nie pracował, wnet zasypiał, zaczął pleść chodaki, by nie zadrzemać. Żuraw słuchał.

Nie było pięknej ciszy odludzia. Z szalasu rozlegało się chrapanie Odrowąża, stękanie obolałego Bartnika; wokoło puszcza żyła niesamowitym ruchem i głosem drapieżników.

Słyszało się stąpania, szelesty suchych trzcin, czajenie się trwożne a żarłoczne, klekot krzywych dziobów sów i przeciągania ich skrzydeł, aż kędyś bardzo daleko rozległo się ponure krótkie zawycie, jakiś sygnał czy groźba.

Jakby na „baczność” odpowiedziało beczenie czujnych kozłów i pomruk mocarny łosi.

I znowu po chwili zagrało posępne wycie, jakieś chrapliwe szczekanie i plusk wody.

— Błotami szelmy idą, jak gościńcem! — mruknął Pantera. — Żeby nie ogień, zjadłyby i łosia, i nas na deser. Chmara tego ściąga ze wszech stron. Już są i tu na ostępie. Słyszysz, jak chrobocą gąszcze? Szkoda, że nie zatruliśmy mięsa — miałyby stypę!

— Jeśli w przyrodzie istnieją i żyją, widocznie są potrzebne.

— Et! — wzruszył ramionami Pantera. — Każdy ma bzika albo parę! Ale w takim razie nie trzeba by było nawet pchły zabijać. Żebyśmy spytali o zdanie bezbronych i słabych, skazanych na śmierć w zaraniu życia!

— Niebezpieczeństwo kształci obronę. Zresztą my mamy wrodzony wstręt do mordu pod wszelką postacią.

Poprawił ognisko i cisnął polanem w gąszcz, bo mu się zdało, że „coś” już ruszyło wiszącą skórę.

Wycie powtarzało się coraz częściej i bliżej.

Była w nim wściekłość i lęk, czasami łączyło się w chór posępny, wstrętny.

— Żeby jeden strzał! To by dopiero ścichły! Dłuży mi się ta noc! — ziewnął Pantera. — Ciało piecze od potu, brudu, owadów i pijawek. Niech sobie ten łąd zostanie dziewiczy, ja go nie poślubię! Wiosną warto przybrodzić po gniazda; widziałem nawet puste orle na dębie. Zbierzemy jaja żurawi, paszkotów, kwiczolów, krzywodziobów, puchaczy, gąszców! Ale żeby tu bytować, nie, za duszno i ponuro! Doktorowi też tęskno za kąpielą w ruczaju!

I westchnął za swoim rajem, a potem zaczął się kiwać i zasnął.

Po północy zajęli straż Rosomak z Odrowążem i o świcie pobudzili wszystkich. Pomimo ognia i dymu znaleźli losie jelita już rozwleczone po gąszczu i zabrali się śpiesznie do powrotu.

Ciężka była, długa i mozolna przeprawa.

— Moglibyśmy wszyscy odegrać rolę leśnych diabłów! — zdecydował Rosomak, gdy dobrnęli do Puchaczego Ostępu i odpoczywali przed ostateczną przeprawą na swój ład.

A gdy wreszcie wieczorem stanęli przed chatą, Szczepańska załamała ręce:

— O Boże! Jak ja tę bieliznę dopiorę? A kto was pokrwawił, o Jezu?!

— To nic, to tylko pijawki! — uspokajał ją Bartnik. — Ale cośmy zdobyli! O! I żurawia mamy do chowania! A co tam orzechów!

— Jeść! — jęknął Pantera.

— Kąpać się! — zawołał Żuraw.

— Skórę solą i popiołem wytrzeć od robactwa! — troskał się Odrowąż.

A Rosomak w kącie szałasów lokował jeńca.

— Mnie teraz nasz bór wydaje się jak Marszałkowska ulica w porównaniu z tamtym ostępem! — mówił Orlik, idąc z Żurawiem do kąpieli.

— A co sobie myśli mój imiennik w stajni?

A właśnie w tej chwili rozległo się wieczorne granie żurawich surm i odpowiedział im żalony głos kaleki-niewolnika.

HASŁO Z MOGIŁY

Skrzydlatego żurawia nazwano Doktorem, wedle pomysłu Pantery i ze zgodą imiennika. Odrowąż zdecydował, że jest najwyżej trzyletni i że można go będzie łatwo oswoić.

Ale parę tygodni przebył tak ciężkich, opornych, że go Rosomak musiał gwałtem karmić i poić.

Najeżony, skulony trwał w buncie bezsilnym, sycząc jak żmija, gdy się kto zbliżał.

Aż wreszcie, jakby przetrawiwszy swą rozpacz, zmęczony ciemnością i głodem, przyjął z rąk Rosomaka pierwszy posiłek.

— Nasz będziesz! — uśmiechnął się doń człowiek.

Jakoż przełamany został instynktowny strach i nienawiść stworzenia do odwiecznego kata.

Przestał syczeć i nastawiać dziób od razu i wreszcie pewnego dnia, słysząc gwizdanie, które mu zwiastowało przybycie człowieka, postąpił na spotkanie i odezwał się krótkim powitaniem.

— No widzisz, braciszku, że możemy być druhami — zaczął doń przemawiać Rosomak. — Nie ważyłbym się pozbawić cię największego skarbu, wolności, gdybyś był zdrów, cały i mocny, gdybyś mógł w waszym wędrownym szyku za morza lecieć i na tutejsze wasze wyraje wracać. Aleś, braciszku, na głodową i mroźną śmierć skazany! Twego młodego życia mi szkoda, i dlatego cię do nas przyjął. Ale ci ślubuję, że z wiosną odniosę cię do rodzinnych łęgów, żebyś z braćmi latem się ucieszył.

Ptak słuchał, z ręki posiłek brał, patrzył spokojnie, a wreszcie pewnego dnia Rosomak szalas zostawił otwarty i pogwizdując poszedł ku chacie.

Więziń wyszedł na polanę, na słońce, i zaczął się bacznie rozglądać. Rozwinął i złożył skrzydła i zaczął w trawie żerować, a wreszcie pióra dziobem przebierać i chędożyć się.

A potem, zwabiony znanym gwizdaniem, poszedł powoli ku chacie.

— Nasz jest! — ucieszyli się wszyscy.

Sezonowym zajęciem leśnych ludzi były teraz orzechy.

Rosomak z Odrowążem wyjeżdżali co dzień na połów rybny, ale reszta bobrowała w leszczynach i co wieczór znoszono do chaty całe wory.

Przeobfitość jesieni owocnej wyczierała zewsząd i zajęcia było mnóstwo. Wieczorem w ogródku i na podsienu piętrzyły się stopy zdobyczy: orzechów i grzybów, jagód, rydzów, ryb.

— Do obróbki! — wołał Pantera.

Musieli przed spoczynkiem ryby oprawiać, orzechy łuskać, rydze solić, a piec chlebowy ledwie radził suszeniu tych zapasów zimowych.

Suche, pomyślne, urodzajne było lato, przerywane z rzadka potężnymi burzami. Nagromadzone gorąco wybuchalo straszną mocą gromów, krótkich nawałnych deszczów, i znowu wracała promienna pogoda.

Rosomak z Odrowążem miewali bajeczne połowy, bo susza przecięła szlaki rybie i uwięziła ryby po głębszych dołach. Razu pewnego przywieźli pełną łódkę przepysznych jaziów i okoni, a kiedyś w sadzawie, odciętej od rzeki, wzięli szczupaka potwora, „ludojada” chyba, którego siekierą trzeba było zabić, a potem polecić mrówkom spreparowanie muzealnego okazu. Przy sekcji Żuraw znalazł jakąś bezkształtną masę wielkości pięści; gdy ją rozcięto, ujrano wewnątrz resztki metalowego medalika.

Odrowąż zadumał się nad tym i oddał Rosomakowi.

— Lepsze macie oczy! Przypatrzcie się, może to Kodeńska Matka Boska. Miał taką nasz Podlasiak.

Ale najostrzejszy wzrok ani lupa nie wystarczały.

— Niemalo ludzi na żer ryb poszło w tych bagnach — rzekł Pantera.

— I wielu takich, którym by się pomniki należały.

— Z tamtej strony pomniki tutejsze niewiele więcej warte, co ta blaszka pewnie! Służbowe księgi tam też prowadzą, trwalsze! — rzekł Rosomak, chowając do zbiorów dziwną zdobycz.

Po jednej ze strasznych burz nocnych rybacy ruszyli na połów około południa i zapędzili się do jeziora w nadziei zdobycia suma. Ale dzień był niepomyślny i po raz setny zastawiali brzeg siecią podwójną bez żadnej prawie zdobyczy.

Nagle Rosomak głowę podniósł, nasłuchując.

Gdzieś daleko zagrała trąbka, umówione hasło, dwa krótkie, po sobie następujące, tony.

— Znaczyło to: „Wodzu”!

Rosomak swoją specjalną świstawkę kościaną do ust podniósł i odzew dał.

— To chłopcy czegoś chcą! — rzekł wracając do wiosła.

— Nogę który złamał czy rękę! — mruknął Odrowąż.

— Nie. Wołaliby doktora. Oni nie wzywają do siebie, któryś do nas leci z wieścią. Coś znaleźli!

Trąbka powtórzyła znowu wołanie, potem ścichła, widocznie poszukiwacza doleciał odzew, i oto z gęstwiny wynurzył się Orlik spocony, zziąjany, ubłocony i począł coś krzyczeć z daleka.

Odrowąż zwrócił ku niemu łódź.

— Ojcie, wodzu! — wołał chłopak, dech łapiąc. — Znaleźliśmy mogiłę. Chorąży, strzelba i Orzeł! Nasz znak! Znaleźliśmy! Chodźcie! Tamtych już zawołaliśmy. Bartnika zostawiłem na honorowej warcie. Lećmy!

Bez słowa, pod wielkim wrażeniem wysiedli na brzeg i poszli za chłopcem. A on, opanowany tym ich skupieniem i milczeniem, ścichł także.

Aż stanęli na miejscu, w czarnym borze, nad sennym zalewem wodnym. Nocna burza powaliła olbrzymi, na pół suchy, prawieczny dąb. Legł szczytem aż w wodę i rozdarł się jego pień, otwierając zmurszałe wnętrze.

Przy nim stał Bartnik, wyprostowany, zastygły w pozycji żołnierskiej, w kapeluszu na głowie, i z nieruchomym, skupionym wzrokiem warty, i stali Żuraw z Panterą, obnażywszy głowy w milczeniu.

Pochylił się Rosomak i Odrowąż.

We wnętrzu dębu ujrzeli ludzki szkielet. Mały, szczupły kościec wyrostka, zachowany w całości, jako był ujęty w ściany drzewa. U prawego boku leżała stara, rdzą przeżarta strzelba, a u lewego, przy sercu, zetlała szmatka amarantu z przebłyskującymi srebrnymi nićmi.

Ku słońcu patrzyły głębokie oczodoły, a trochę rozwarte, zdrowe zęby zdawały się uśmiechać. I tak leżał z bronią u nogi, z chorągwią swą u serca — Chorąży...

Wyprostował się Rosomak i odkrywszy głowę zaintonował:

Boże, coś Polskę przez tak długie wieki!

Ramiona Bartnika drgnęły, jakby chciał sprezentować broń, a zbiorowy głos pochwycił:

Otaczał blaskiem potęgi i chwały...

Odrowąż klęczał i modlił się, a po zmarszczkach płynęły mu łzy jak paciorki dusznego różańca.

A gdy skończyli, Rosomak kazał świerkowymi gałęziami zasłonić te prochy bohatera. Zebrali się wszyscy na radę i nawet Pantera miał twarz uroczystą.

— Rozumiem, jak to było — ozwał się Odrowąż. — Gdy im zabrakło żywności i chłód ścisnął, musieli dążyć do osad. I tu gdzieś ranny oddał Bogu ducha, a Podlasiak wynalazł dąb spróchniały i zwłoki w nim ukrył, a potem dalej poszedł i nie znając przejść, w bagnie utonął.

— Co teraz mamy zrobić — zagadnął Pantera.

— Pogrześć go, jako na to zasłużył, w tej świętej ziemi! — odpowiedział Rosomak.

— Na tej górze, gdzie sygnały bojowe palono! — zawołał Orlik.

— Będzie całemu krajowi stróżował — dodał Bartnik.

— Słusznie! — potwierdził Rosomak.

Zamyślił się Odrowąż i nagle wstał, na wnuka skinął i na Panterę.

— Pójdziemy do folwarku i nocą tu przyniesiemy deski cichaczem, żeby do Moskali nie doszło.

— A przy nim noc przewartujemy.

— Rankiem trumnę zbijemy i przeniesiemy prochy na górę. Ruszajmy!

Trzej wartownicy zostali. Orlik tę noc na całe życie zapamiętał. Księżycowa była, cicha i pełna duchowego majestatu. Rosomak się rozgadał, opowiadał mu, co od rodziców wiedział, o czasach owych, o bojach, ofiarach, ruinach, we krwi utopionych nadziejach zmartwychwstania.

A potem milczeli, przetrawiając bóle, nienawiść do kata, gorycz bezsilności, rozpacz niewoli.

Aż niespodziewanie ozwał się Żuraw:

— Słuchajcie! Moglibyśmy i słusznie rozpaczać, i beznadziejności się oddawać, żebyśmy wartowali przy grobie zdrajcy! Ale ten czego innego nas uczy! Spadek ojczysty wziął, obowiązek spełnił, wiary dochował. My żywi nic więcej nie mamy do roboty. Wiarę zachować, obowiązek spełnić, trwać i przetrwać. No i tyle! Resztę decyduje Bóg!

— Dzięki, bracie, za to słowo! — rzekł Rosomak. — Zawinił się względem niego. Pieśń mu się należy bohaterska, nie bezrozumne ludzkie rozważanie. Masz swoją fujarkę, zaintonuj hymn konfederacki.

Silnie, twardo, na cały żywot ryły się w duszę Orlika: ta noc, ten grób wśród puszczy i te słowa:

Ze skowronkami wstaliśmy do pracy
I spać pójdziemy o wieczornej zorzy,
Ale w grobowcach my jeszcze żołdacy
I hufiec Boży!

Na długo przed zorzą wrócili z folwarku Odrowążów z deskami. Szczepański przyniósł narzędzia i rano już drobna trumienka była gotowa.

Na posłanie z ziół i kwiatów ułożono kości i pokryto je szczątkami sztandaru. Po źdźble srebrnej nici wziął każdy na pamiątkę, a z grubego, starego modlitewnika Odrowąż odczytał modlitwy.

Potem Rosomak podał mu strzelbę, a stary ją przyjął, jak święty spadek, i oddał Bartnikowi.

— Masz! Twoja jest. Użyć trzeba, jako on używał.

— Słucham! — rzekł, prostując się, chłopak.

Ale Pantera przeszukiwał wnętrze dębu i wy dobył spore pudełko blaszane.

— To leżało w nogach — rzekł, podważając nożem wierzch.

Pudełko rozpadło się i na ziemię prysnął deszcz złotych monet.

— Dukaty węgierskie! Kasa partii! — zawołał Odrowąż. — Nie ufał swym siłom Podlasiak i zostawił Chorążemu pod strażą! Co z tym zrobić?

— Rozważmy! — rzekł Rosomak, zbierając do chustki dukaty i szczątki pudełka. Na dnie były ślady papieru, może wskazówki, polecenie, ostatnia wola, już nie do odczytania.

W próchnie drzewnym znaleziono jeszcze parę sprządek, guzików, resztki skórzanej torby, częstochowski medalik i dano zmarłemu do trumny; a potem wzięli ją na barki i zmieniając się, nieśli na górę.

Skoczyli naprzód chłopcy do chaty, a gdy pochód wolno i ze śpiewaniem przybył na Wdowią Górę, na samym szczycie znaleźli już dół wykopany i pełno wokół kwiecia.

Czekała też Szczepańska z dzieckiem i stali chłopcy na warcie: Orlik ze strzelbą Rosomaka, Bartnik ze swą dziedziczną Sagalasówką.

Gdy spuszczone trumnę do grobu, Orlik dał dwa strzały i sprezentował broń.

Poczęły padać na trumnę kwiaty i Odrowąż odmawiał modlitwy, a gdy skończył, spojrzeli wszyscy na Rosomaka.

A on tak mówić począł:

— Pozdrawiamy cię i cześć ci niesiem, przodowniku nasz, któryś boju dokonał.

Nie zmarłeś przecie i nie milczysz, a my słyszymy twe hasło i raport, bośmy jednej broni i powołania. Mówisz nam te same słowa, które przez wieki mówili ci, co legli na polach chwały, imienni wodze i bezimienne tysiące, a jednakie, jednej idei bojownicy.

Mówisz nam: Bóg, Honor, Ojczyzna!

Mówisz nam: Bóg mi powierzył honor Polaków, Jemu go oddam!

Ze wszystkich rubieży Rzeczypospolitej, ze wszystkich walk o wolność i całość, przez wszystkie wieki jedno hasło słyszymy, panie Chorąży, i powtarzamy, jako pacierz ojczysty.

Stanie tu twoja mogiła, jako graniczny kopiec i jako gród do straży i obrony.

Utrzymamy go, póki życie — i oddamy następnej po nas młodzieży!

Mówisz i do nich, panie Chorąży, i jako my, oni słyszą.

— Słyszemy! — potwierdzili chłopcy.

— Zlecamy wam tedy tę mogiłę! — zwrócił się do nich. — W Bogu wiara, że dane wam będzie doczekać chwili sprawiedliwości bożej i że oczy wasze ujrzą na tej ziemi polski huf i polski znak na sztandarze. Tedy im się zameldujcie i złożcie raport swego trwania i gotowości służby, a pierwszemu polskiemu naczelnikowi oddacie siebie do szeregu, a złoto owo, w mogile przechowane, na skarb ojczysty.

Słyszysz, panie Chorąży, i ślubowanie nasze przyjmij! Niech żyje Ojczyzna!

Jak grzmot, rozległ się okrzyk zbiorowy.

Rzucił pierwszą garść piasku Rosomak — niech ci lekką będzie ta ziemia ukochana! — i skinął na chłopców.

Wyciągnęli się jak struny i z żywiołowym rozmachem zaśpiewali:

Jeszcze Polska nie zginęła...

Rwała się pieśń w zdławieniu wrażenia potężnego, w łzach, co znają tylko miłujący i mężni, i i kwitła pieśń nad mogiłą, jakby proporzec biało-amarantowy, a cichy bór słuchał i dawne czasy wspominał.

Mogiła wyrosła, złocąc się z daleka, a obecni pożegnali ją ostatnią obrzędową pieśnią „Anioł Pański”.

I został Chorąży na siwym posterunku samotny, a oni, wracając do chaty, radzili:

— Dąb mocarny posadzić mu na mogile!

— Brzozę, co by go gałęziami tuliła jak matka.

— Krasną jarzębinę, żeby mu ptaszki śpiewały.

— Lipę, żeby mu pszczoły gwarzyły.

— Głaz znam w gąszczu! Przywlecjemy i wykujemy, kto leży pod nim.

— Każdy uczyni dar, jaki zechce! — zdecydował Rosomak. — Ja wam, chłopcy, złoto zdaję. Obmyślcie schronienie!

— Ja już mam! — zawołał Bartnik. — Złożymy na spodzie barci. Uchowa drzewo i pszczoły.

— Cieszę się, że nie ja je będę wyciągał, jak pora przyjdzie, ale zresztą zgoda na pomysł — rzekł Pantera.

Oddał Rosomak złoto powstańcze i chłopcy zaraz je pszczołom pod opiekę ponieśli.

W tydzień potem głaz już leżał na mogile i Odrowąż znaki jakieś na nim wykuwał, i chłopcom tłumaczył:

— Nie powinien nikt rozumieć, tylko wy. Nad karkiem Moskal jeszcze siedzi i szpieguje. Drzew też nie warto sadzić, chyba krzepki jałowiec, żeby uwagi nie zwrócić. On i tak zmartwychwstanie, a tamci Bożego Sądu nie doczekają. Jaki siew, takie żniwo, ino Bóg nierychliwy, jako że wiekuisty.

I pokazując niezdarne kształty, mówił:

— To jest krzyż, a to orzeł i korona, i drzewce, a tu 63. Stacho się zwał, to pamiętam, a nazwiska — nie. Więc to S — to jakby podpis, a tak się czyta: Chrystusowy wyznawca. Chorąży z powstania — Stacho, a jeszcze dodam W — to znaczy z Warszawy. I głaz bokiem odwrócimy, żeby napis dla wiedzącego tylko był widoczny. Obejmą go wrzosa i mchy utają!

Wiatr rozwał biały piasek i obsypał ziemię igliwem i liśćmi. Wkrótce mogiła Chorążego stopiła się i wsiąkla w barwę ziemi, została tylko pamiętna w duszach leśnych ludzi.

ODLOTY

Pewnego dnia Rosomak wrócił z samotnej wędrówki i rzekł, siadając za stołem:

— Odleciały już wszystkie śpiewaki i wrzosa w całej krasie płoną.

Nikt nie odpowiedział, bo rozumieli, co to znaczy. Dopiero po chwili Pantera stęknął:

— Dobrze ptakom! Który wytrzyma drogę, do słońca się dostanie i ciepła! Ale ja wrócę do Drozdowej.

Mimo woli zaśmiali się wszyscy.

— Ja — do sztuby⁴² — rzekł Orlik.

— Ja — do roli — dorzucił Bartnik.

— Ja — do laboratorium! — mruknął Żuraw.

— Ja — do bibliotek i ksiązek! — zakończył Rosomak. — Ale każdy do pracy, więc nie wolno wyrzekać.

— To czemu wódz nie śpiewa z uciechy? — warknął Pantera zbuntowany.

— Bo o tym czasie nikt w boru nie śpiewa! — i dodał, zabierając się do jadła:

— Naszykuj, Pantero, wóz. Trzeba odstawić do ludzi zapasy i zdobycze.

— Wolałbym psy łapać niż tę drogę. Przecież zabawimy jeszcze trochę?

— Zabawimy do dnia, gdy ruszą nasze żurawie! Lada dzień z północy dalsze już popłyną.

— Tak! Żegnania nadszedł czas! — westchnął Orlik.

— Ba! Co ci za bieda! Wrócisz do profesorowej! — zaśmiał się Pantera.

— Pantera zapomina, że już nie rekrut Coto, ale Orlik bojowy! — hardo chłopak odpowiedział.

— On zawsze jesienią jak mucha cięty! — przeciął możliwą sprzeczkę Rosomak.

Opróżniła się chata. Szczepańska wróciła do domu lny zbierać. Odrowąż z Bartnikiem do pasieki swej i młocki nasiennego ziarna.

Na połów rybny wypływał Rosomak sam i ściągał z dalekich *batów* na strych do chaty kosze i wiewiórki. Reszta rozprasała się po borze; zbierali jarzębiny, żołądź, orzechy, szyszki i klecili powietrzne szalasy, gdzie tę zdobycz składali na żywność dla zimujących ptaków.

Pracował Orlik z Żurawiem, bo Pantera, o ile nie odwoził zapasów za Tęczowy Most, po całych dniach „żegnał znajomych”, jak mówił. Słońce wyczarowało ostatni swój kilim i rzuciło go na wszelkie halizny, góry, pustkowia. Zwarta, puszysta, subtelnie jesienna szata wrzosów ustroiła ziemię. Na tym tle panoszyły się olbrzymie muchomory, krasne kozaki i syrojadki — ostatnie grzyby.

Ranki wstawały leniwe, w mgłach chłodnych, pod stopą chrzęściły zaschłe mchy, zioła i paprocie, a cisza była taka, że wieczorem z oddali wielkiej, gdzie były wsie, słychać było przeciągłe, smętne, monotonne granie surm jesiennych pastuszych.

⁴²sztuba (daw.) — szkoła.

Bór stał zadumany i żegnał lato całą tęczą barw liści gasnących.

— Na śmierć się stroją, jak na gody! Nie tak, jak głupi ludzie, co się jej boją — mówił Rosomak, patrząc na złote i purpurowe drzewa.

Co wieczór Pantera nasłuchiwał żurawi i każdy ciągnący sznur oczami przeprowadzał, aż raz rzekł szeptem do Orlika, gdy szli spać:

— Dziś na łęgach naszych było cicho, a nasz domowy cały dzień krzyczał. Pewnie je poznał na niebie. Odleciały.

— Może wódz nie zauważył! — odparł Orlik.

— Oho, na to nie licz! On wszystko słyszy! Boję się o jutro!

Ale owo jutro była niedziela i Rosomak po pacierzach zakomenderował wyprawę.

— Weźcie chleba do torb, bo wrócimy na wieczór. Trzeba żerowiska zimowe obejrzyć, wszystko zlustrować, wszędzie dotrzeć.

— Ostatnie odwiedźmy! — rzekł Pantera.

Nic na to nie rzekł Rosomak i poszli swym lekkim, wprawnym chodem, co bez trudu polykał mile. Odwiedzili pszczoły, jeziora, zakąty, tajenka ptasze, borsucze i lisie nory, obeszli stogi, ścieżki swe letnie, przesmyki po bagnach, o południu spoczęli we wrzosach, ukołysani brzękiem pszczół biorących pilnie ostatni pożytek.

Porywały im się spod nóg stada cietrzewi, a towarzyszyły po drzewach stada zimujących drobnych ptasząt żerujących gromadnie.

— Patrz — pokazywał Pantera Orlikowi. — Zbierze się taka różnobarwna czere-da: bogatki, modraczki, sosnowki, raniuszki, sikorzy lud. Dobiorą sobie parę zięb i parę dzięciołów i plądruje to gromadnie całą jesień i zimę. Całą puszcę z robactwa obiorą. Włóczy się to, ćwierka, a dzięcioły na alarm krzyczą jak jastrzębia trwoga.

Czasami ciszę lasu przerywał chrapliwy krzyk sójki lub orzechówki, zresztą szli w ciszy i tylko szeleściły liście i trzaskały suche gałązki.

Wracając z obchodu ku domowi, skręcił Rosomak na mogiłę Chorążego i odśpiewali mu pieśni narodowe, a potem, milcząc, skierowali się do chaty.

Słońce gasło. Żurawie nie grały, chłodne mgły wstawały z bagien, długie cienie kładły gąszcze. Spotkali wracające z paszy swe bydłatka i wyszedł na ich głosy ku nim żuraw chowany, radośnie witając.

Znaleźli też Bartnika, który przyniósł miodu i świeżego, nowego chleba.

— Jasny jest i jakby jeszcze polem pachniał. Potem nabierze stęchlizny spichrzowej i już zimą go czuć. Więc matka mnie pchnęła, jak jeszcze ciepły był, żeby wam smakował! A miodu tośmy trzy faski⁴³ naleli i ojciec już wczoraj pierwsze żyto zasiał. Umiem już cepem walić. Cztery dni z dziadem młóciliśmy: Łupu, cupu, cupu, łupu!

— Ale aż tu słycać było!

Tu Bartnik trącił Orlika i szepnął:

— Surmę przyniosłem, leży w łożach. Zadmiem po wieczery. Ja cię nauczę!

Zasiedli do posiłku. Jasny chleb pożywiali i złotą patokę i mieli wrażenie, że karmią się słoneczną mocą lata, co tę pierwotną żywność człowieczą wyczarowało z ziemi-rodzicielki.

A potem Pantera dzban pieniącego się mleka na stół podał i zbyteczne było rozpalanie ognia na kuchni.

Cichaczem wymknęli się z izby chłopcy i po chwili zajęczała żałośnie surma.

W chacie zapanowało milczenie, a wreszcie po chwili Rosomak zdjął skrzypce ze ściany i począł do tonu tego coś snuć...

— Rapsod naszego lata — rzekł Żuraw.

Bez tchu wrócił Bartnik i Orlik, i wszyscy słuchali.

W izbie było ciemno, tylko rubinowa skierka lampki oświetlała koronę Częstocho-wskiej, ale oto nad polaną wypłynął miesiąc i srebrną ścieżkę rzucił przez okno.

Przeciagłym akordem surmy zakończył Rosomak swe granie i wstał. Chwilę jakby się wahał, zapatrzone w miesiąc, aż wreszcie spokojnie rzekł:

— Bartniku, skoczysz jutro rano do dziada i powiesz, że odjeżdżamy.

Nikt się nie odezwał.

— Czas nam! Popłynęły nasze żurawie. Dobre było boże lato. Iles znalazł nowych roślin, Żurawiu?

⁴³faska (daw.) — drewniane naczynie, beczułka.

— Sto trzydzieści siedem — odparł ścisły Żuraw.
— Moja zdobycz jest mniejsza. Tylko jedenaście nowych gatunków ptasich jaj i gniazda puste remiza.
— Ale za to zbadamy dziewiczy ostęp i tam na przyszłą wiosnę zdobędziemy puchaczę jaja i głuszce i przypatrzemy się, jak remizy budują — rzekł Pantera.
— Tom rad, że już o wiosnie marzysz.
— A cóż! Gryzłem się, aż się przegryzłem. Zresztą sam nie zostanę na zimę. Bartnik mi przybył. Będziemy tu dojeżdżać i we dwóch na wiosnę się szykować.
— O! Jużem się z matką rozmówił! Co dni parę do was przylecę. Mamy źróbkę młodą, co mi będzie służyć. Wódz pozwolił czytać książki o borze i zwierzach, i pszczołach.
— Ile i jakie zechcesz.
— Ja na każde ferie do was przyjadę — rzekł Orlik.
— No, to i

Precz, precz od nas smutek wszelki

— zaśpiewał fałszywie Pantera.
— Ucieszymy się miesięczną nocą! — rzekł Żuraw.
Wyszli z izby i obsiedli dębową podwalinę.
— Jako w kwietniu! Pamiętacie? — rzekł Pantera.
Polana była przesycona srebrem miesiąca, a drzewa stały we mgle, jak nieziemskie.
Tylko cisza i skupienie, i wielka powaga panowała nad nocą jesienną. Wszystko żywe skupiało i tailo siły, by przetrwać do nowego zmartwychwstania, by przeżyć pozorną śmierć.

Tak było cicho, że słychać było spadanie liści, co się słały po ziemi na ochronę mocy odrodzenia, zawartej w korzeniu, i szelest robaczka, co rył sobie pod korą kryjówkę, by ożyć w niej na wiosnę.

Milczeli i ludzie, też o przetrwaniu myśląc; tylko Rosomak, w dal srebrną zapatrzony, miał oczy promienne i czasami drgnęły mu wargi wewnętrznym słowem.

Trącił go Żuraw w ramię.

— Mów! — szepnął.

Cicho i powoli zaczął, jakby z głębi duszy odrywały się myśli i skrzepowane ubóstwem wyrazów szukały dla uczuć dźwięku.

— Pozdrowiony bądź, Mistrzu cudów piękna i mądrości — Stworzycielu! Tyś jest tu z nami w każdym kształcie, dźwięku, woni i z Tobą myśmy to lato przebyli. Niech Ci będą dzięki za dzień każdy i za każdą chwilę, niech Ci będą dzięki, żeś nam otworzył oczy i uszy, by Twoje piękno zrozumieć i żyć nim, jak chlebem. Niech Ci będą dzięki za zdrowie duszy i ciała, za słońce i źródło, kwiat i jagodę, za znój i spoczynek, za pogodę naszych serc!

Zachowaj, Ojcze, nas, co odchodzimy, i to, co tu zostaje, a z czym żyliśmy tego lata jako bracia, w całości i mocy, i zdrowiu, byśmy przetrwali i odnaleźli się w radości nowego życia, na bytowanie w tym Twoim chramie⁴⁴!

Serca nasze, Ojcze, na światy rozszerzaj, myśli nasze ku Twej mądrości kieruj i jako w tym borze, bądź naszym władcą i prawem!

— Amen, amen, amen! — potwierdzili uroczyście, zapatrzeni w niebo, zasluchani w ciszę.

I tak się skończył ostatni wieczór lata leśnych ludzi.

⁴⁴chram — świątynia.

Ten utwór nie jest objęty majątkowym prawem autorskim i znajduje się w domenie publicznej, co oznacza że możesz go swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać. Jeśli utwór opatrzony jest dodatkowymi materiałami (przypisy, motywy literackie etc.), które podlegają prawu autorskiemu, to te dodatkowe materiały udostępnione są na licencji Creative Commons Uznanie Autorstwa – Na Tych Samych Warunkach 3.0 PL.

Źródło: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/rodziewiczowna-lato-lesnych-ludzi>

Tekst opracowany na podstawie: Maria Rodziewiczówna, *Lato leśnych ludzi*, z. 1-2, wyd. Książka i Wiedza, Warszawa 1984.

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Reprodukacja cyfrowa wykonana z egzemplarza pochodzącego ze zbiorów Marty Kierepki. Publikacja sfinansowana ze środków pozostałych ze zbiorów, które nie zakończyły się sukcesem.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Paulina Choromańska, Paweł Kozioł, Sylwia Budzyńska.

Okładka na podstawie: Frank Douwes, CC BY 2.0

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Nowoczesna Polska – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przeznacz 1% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Nowoczesna Polska, KRS 0000070056.

Pomóż uwolnić konkretną książkę, wspierając zbiórkę na stronie wolnelektury.pl.

Przeznacz darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](#).